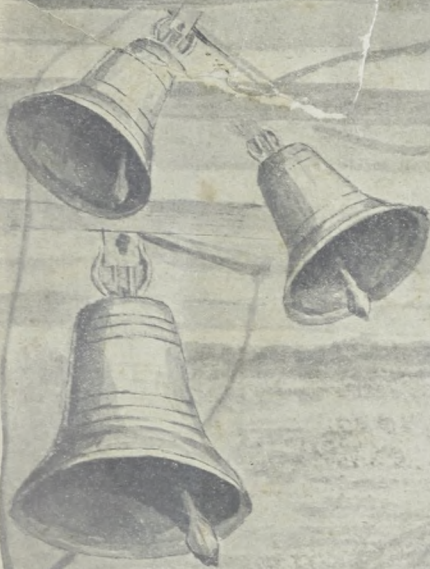
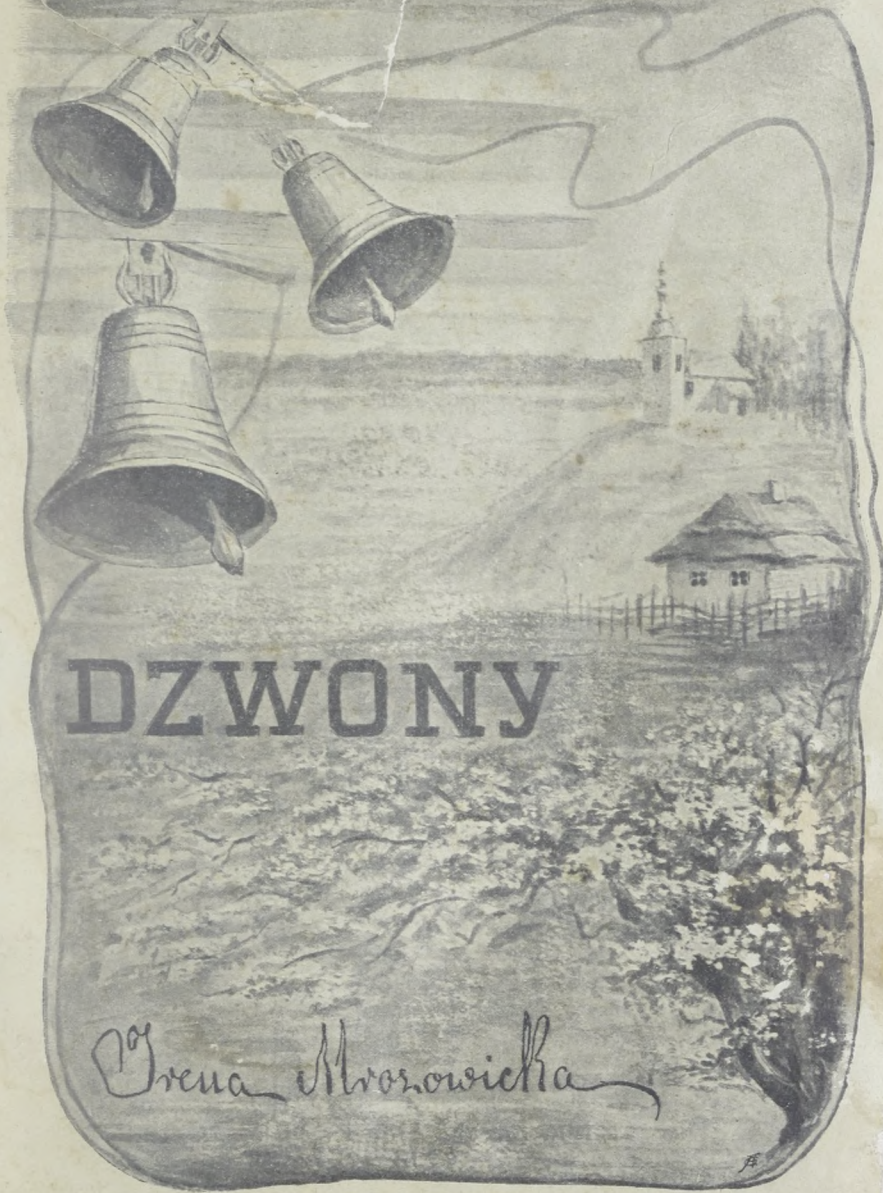


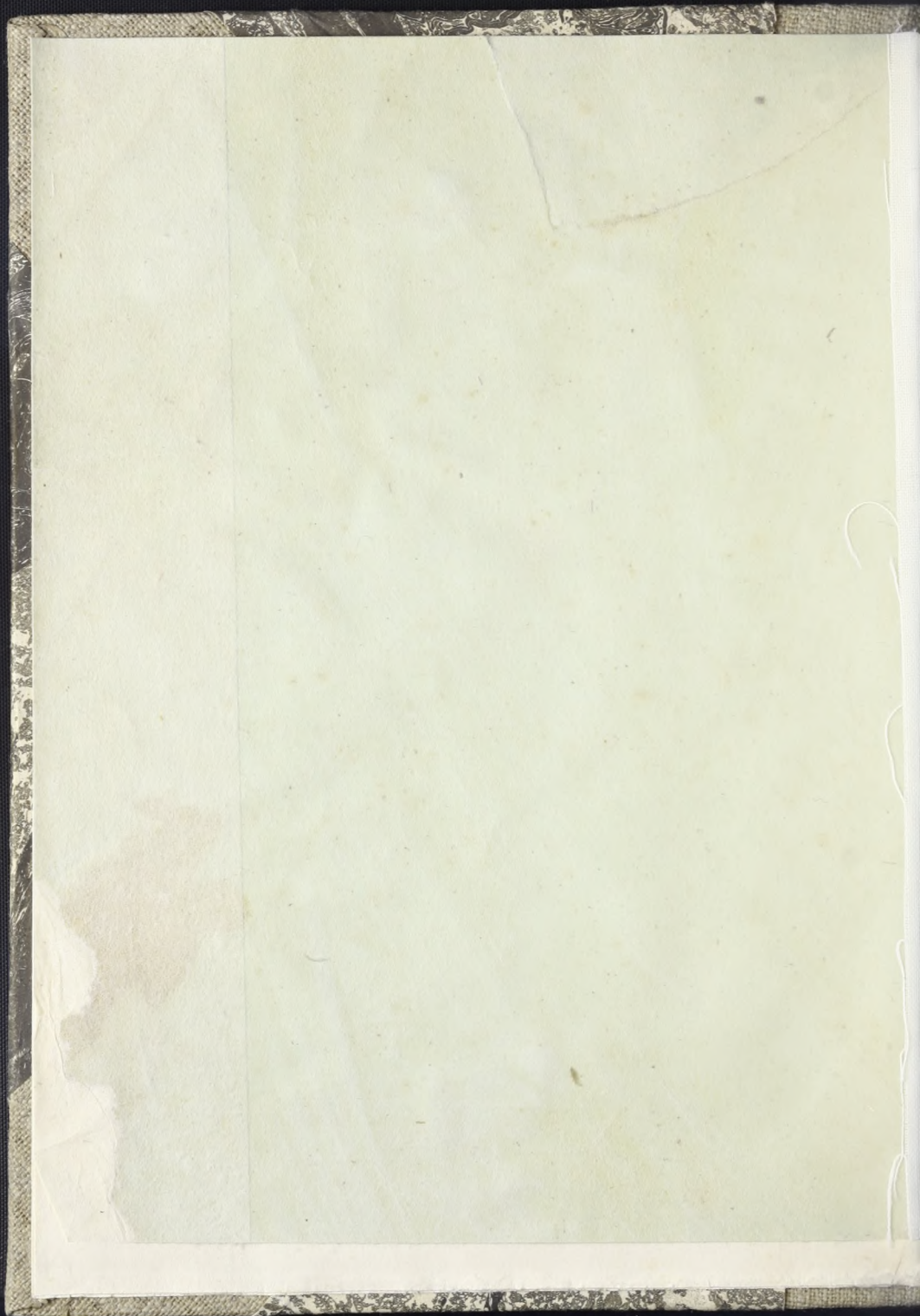
1. 465.898



DZWONY

Grana Mrozowicka





DZWONY

24.

TEJŹE AUTORKI:

Własnymi oczyma. Lwów — Gubrynowicz i Schmidt.

Jak wszystkie. Warszawa — Paprocki.

Jurek. Warszawa — Gazeta Polska.

Złote mosty. Kraków — Polska Spółka wydawnicza.

Po zwycięstwie. Lwów — Księgarnia Polska B. Połonieckiego.

Pod prasą:

Utwory dramatyczne.



IRENA MROZOWICKA

□□□

DZWONY



LWÓW 1911

KSIĘGARNIA POLSKA BERNARDA POŁONIECKIEGO

WARSZAWA E. WENDE I SPÓLKA

BIBLIOTEKA



I 1.465.898

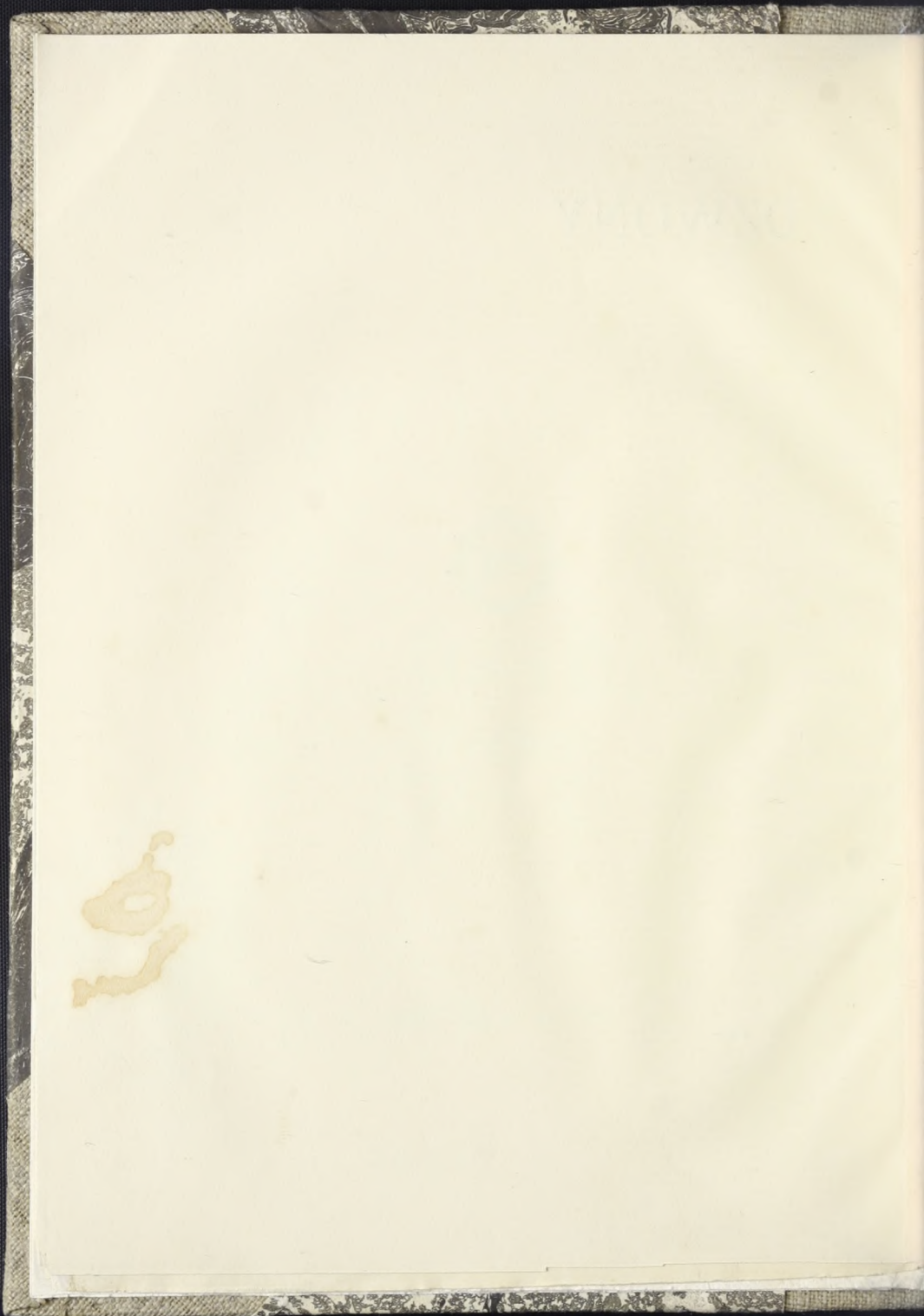


KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1986 k 825/13

DZWONY





.....
— Dobry wieczór Pani! Otom jest przy Pani duszą, sercem, pragnieniem — co wszystko razem nie wystarcza mi ani trochę i wołałbym, zaiste, znaleźć się przy Pani, choć na jedno mgnienie oka, materialną moją istotą, aniżeli ulatywać wkoło Ciebie na skrzydłach mej nagiej duszy i wysyłać do stóp Twoich ultra-lazurowe, daremne aspiracje.

Czy Pani zadowolona z takiego wstępu do mych podróżnych notatek? Czy zastosowałem się do programu, aby pisać tak, jak myślę, a myśleć tak, jak mówię? (co, ile wiem, zdaniem Pani, równa się określeniu: bez składu, ładu, rozumu, ni dowcipu). Bo jeśli Pani niezadowolona, to proszę: kominek tak niedaleko! Wiem, że Pani czytać mnie musi, spoczywając malowniczo w swoim paryskim szlafrocuku, na swej tureckiej otomanie, zasłanej perskim kobiercem, ocienionej chińskim parasolem, otoczonej atmosferą czysto-angielskiego komfortu, zaprawionego wiedeńskim szykiem, a ogrzanego w cza-

rodziejski sposób tym cudownym, staropolskim kominkiem, który zawsze budzi we mnie przekonanie, że Pani, nawet z naszych narodowych szablonów potrafisz wyciągnąć jakąś indywidualną i pełną powabną kwintesencję.

Podziwiam, podziwiam i podziwiać wiecznie będę ten subtelny takt, z jakim Pani, swój pietyzm patriotyczny umiesz przystosować do kosmopolityczno-estetycznych potrzeb swej wykwiśniętej natury. Ze skarbcza narodowego bierzesz Pani mazurki Szopena, które tak cudownie, z taką czysto-polską zalotnością i zacięciem śpiewać umiesz — klejnoty rodzinne, którym równych nie łatwo znaleźć na zagranicznych targach — no i... staropolskie kominki. Zdaje się, że to już wszystko — resztę życia wypełnia Pani szczerze zagranicą, ta uprzywilejowana nad-ojczyzna ludzi kulturalnych; nie pozostawiając ani jednej chwili w dniu, ani kąta w mieszkaniu, ani echa w duszy na te wszystkie patriotyczne oklepanki, któremi inni, tak bezpotrzebnie ładują sobie taczki na drogę.

Ale prawda — Pani nie lubi, gdy osmielam się ją analizować, jakkolwiek przy tej czynności dusza moja bije zawsze frenetyczne brawo duszy Pani — przepraszam zatem i powracam, skąd wyszedłem, t. j. do kominka. Jeśli moje notatki podróżne nie znajdą łaski w oczach Pani, proszę: spal je Pani jak najprędzej, zaraz po przejrzeniu

pierwszej ćwiartki. Gotów jestem bez zadrżenia iść w ogień i przepalić się doszczętnie u drobnych Twoich stóp — zdaje mi się, że lepszym odemnie już się coś podobnego zdarzało. — Ale na miłość Boską, nie czytaj mnie Pani z tym grymasem znużenia, którego tak znieść nie mogę na Twych azaliowych usteczkach, że — przysięgam! — choć o tyle mil oddalona, dusza moja odczułaby go i zawyłaby ze zgrozy.

Racz Pani przyznać, że, dzięki Twym wskazówkom i delikatnej ironii, z jaką krytykowałeś zawsze moje biedne bileciki, zaczyna mi się wyrabiać styl dosyć nastrojowy. O tak! Pani mogłabyś ze mnie dużo zrobić — gdybyś tylko chciała... A nawet, choć nie chcesz, to i tak, krążąc w Twym systemie planetarnym (niestety, jest to cały system, z plejadą planet, ulegających Twojej słonecznej atrakcyi!) — i tak jeszcze złocę się Twoim blaskiem i ludzę się nadzieją, że matematyczne prawa ładu i symetrii, rządzące w świecie ciał niebieskich, nie rządzą przecież wszędzie — że z kobietą, choćby tak wyjątkową, jak Pani, można liczyć zawsze na coś nieobliczonego — że dzień łaski można zakląć na swoim niebie, choćby samem gorącym upragnieniem i wiernem wyczekiwaniem.

Oto znów padłem na temat tak surowo mi wzbroniony, że mówiąc do Pani nie śmiem go muśnąć najłżejszem słówkiem, aby nie wywołać tego

zimnego, pełnego ostrzeżeń spojrzenia — jakim Pani umiesz mnie zawsze powstrzymać nie wół, ale w ćwierć drogi. — Ach, urocza Dyano! jakaby z Pani była pyszna pogromicielka lwów i jakbym ja się chętnie dał przemienić w lwa, ażeby widzieć Panią, wchodzącą do mej klatki, ze szpicrutą w rękę i płomieniem bohaterstwa w oczach, a jednak z bezwiednym dreszczem lęku utajonym w duszy! żebym Panią przez jedną sekundę miał na swej łasce lub niełasce. — O, bądź Pani pewną, że ta sekunda starczyłaby mi za całe wieki rozkoszy, że potrafiłbym się na niej ograniczyć z prawdziwie lwią wspa-
niałomyślnością.

Uśmiechasz się Pani — Twoje przejrzyste oczy, w których możnaby się kochać całkiem osobno, bezinteresownie, nie kochając się nawet w Pani — zdają się mi mówić, że niestety, daremne moje marzenia, bo z królem zwierząt nie mam nic wspólnego, nawet lwiej czupryny... być może, iż jest w tem pewna racya — choć bądź co bądź, jednego przynajmniej lwiego przymiotu: odwagi, nie możesz mi Pani odmówić, odkąd tak śmiało puściłem się w tę podróż, u której kresu czyhała na mnie hydra rodzinno-tradycyjno-narodowo-społecznych zobowiązań i przywiązań!

Takiemu smokowi rzucić się w paszczę, i to jeszcze na samą Wielkanoc, gdy, jak wiadomo, wszystkie apetyty są dziwnie zaostrzone — i co

gorsza pozostawić Panią samą w naddunajskiej stolicy — o, Bogi! nie samą przecież, ale co stokroć tragiczniejsze, wśród całego systemu planetarnego, (w skład którego, naturalnie, jowiszowego męża Pani nie ośmieliłbym się zaliczyć...), to, raczy Pani przyznać, jest przecież dowodem, że męstwa mi nie brak i że mógłbym już być wreszcie pasowanym na rycerza... Pani.

Północ bije! Czy Pani słyszała kiedy takie wydzwanianie północnej godziny w starym, wiejskim domu, gdzie wszyscy od paru godzin śpią już, wypoczywając po całodziennym trudzie, a nad głowami śpiących krążą sny, wiele cichsze od tych, jakie nas nawiedzają po pustym gwarze stołecznych zabaw? Czy Pani zauważyła, jak taka północ wiejska uroczyście się ogłasza, jaka w niej powaga i spokój, jaki korowód duchów dawno zeszyłych ze świata zdaje się spływać na ziemię w każdym jej dźwięku i zaludniać pokoje o muślinowych firankach i sprzętach prostych — i bez sesyi spirytystycznych szeptać coś do ucha tym, co tu są dziećmi ich mienia, imienia i... całej reszty spuścizny.

Może i do mnie, po promieniu księżycowym zleciał tu duch jakiś i szepce mi ciche słowo, którego zrozumieć ani pragnę, ani mogę, bom już zapomniał tej gwary w wędrówce po świecie — a jednak drażni mnie ono, jak brzęczenie upartej mu-

chy. Wogóle, czuję się dziś dziwnie rozstrojony; może nieznośną podróżą (sześć mil koni po sannaokich pagórkach, nie licząc przyjemności, jakie nastęcza miejscowa kolej prywatna), zapewne bardziej jeszcze tem, że już całe dwadzieścia cztery godzin i trzydzieści siedm minut, nie miałem boskiego szczęścia, widzenia Pani — dość, że doznaję wrażenia, jakby mi nerwy, bardzo pomalutku, ale bardzo wytrwale, ktoś wyciągał poza ich przyrodzoną długość. Jest to uczucie tak miłe, że radbym przed niem uciec choć na koniec świata! a że tego nie mogę uczynić, więc uciekam do łóżka.

Buona notte, Signora! — i obyś Pani raczyła śnić... o swym wiernym słudze.

Ach prawda! spostrzegam, że jak na notatkę podróżną, zbyt mało włożyłem w list ten szczegółów topograficznych i ludoznawczych. — Uzupełniam ten brak i donoszę, że dworu, ogrodu i wogóle miejscowości tutejszej, dotąd tak jakby nie widziałem, bo dowlokłem się tu późnym zmrokiem. Mieszkańców obejrzałem mniej więcej, ale nic o nich ciekawego do napisania nie mam. Z psami zawarłem najściślejszą znajomość, bo mi już poszarpały hawelok — ten londyński — widocznie nie znoszą angielszczyzny. Muszą sympatyzować z Boerami, bo też mają czysto boerską zaciekłość w bronieniu węglów swojego domu. Jest ich cztery: Harfa, Smyczek, Cytra i Bęben. Ale może Panią skład tej

orkiestry nie obchodzi? Mnie bardzo — ze względu na haweloki etc., które prawdopodobnie będę mógł ocalić od zagłady, jedynie za cenę bardzo ścisłego zaprzyjaźnienia się z Harfą i Cytrą, wodzącymi rej w całej gromadce (jak zawsze: *cherchez la femme*).

Pani się chmurzy — żart nie dosyć prima-sorta dla Jej wykwintnego smaku? zatem przepraszam i raz jeszcze... do jutra!

.....

Nie, nie! daremnie mi Pani zaręczała, że wobec kwesty wielkanocnej i innych, mniej lub więcej pobożnych obowiązków, nie starczy Pani czasu na napisanie do mnie słów paru — ja temu nie uwierzyłem, nie wierzę i wierzyć nie chcę; dzień cały wyglądałem choćby najmarniejszej »*ansicht*« z Wiednia, i jeżeli mi jutrzejsza poczta nie przyniesie, najdrobniejszego dowodu pamięci i tęsknoty Pani, to doprawdy — nie wiem, co zrobię.

Czy Pani obejmuje duszą cały bezmiar tajemniczych zagadek, ukrywających się po za takim szablonowem: nie wiem co zrobię — i czy Pani wyczuwa grozę, jaką te słowa tchną, gdy są zastosowane do człowieczego organizmu mojego typu? Z mojej strony wszystko jest możliwe, bo nie uznaję granic możliwości — mogę jutro, w przystępie rozpacz, zarówno spać dzień cały, jak powiesić się zaraz zrana. (Pani krzywi się na wzmiankę o tak nieestetycznej śmierci — ale, mój Boże, gdy już raz

będę tam... na haku, skrzywienie lub uśmiech Pani utracą już dla mnie swą moc wszech-rozstrzygającą i w tem będzie właśnie dla mnie tryumf, który mnie kusi).

Jednak, niech Pani nie wylewa naprzód łez nad mą samobójczą mogiłą — powtarzam, że sam nie wiem co zrobię. — Mogę, zamiast się wieszać z rozpaczy, cały dzień grać winta z wujaszkiem do brodziejem — mogę, asystować przy walnej kampanii obierania rodzyneków i migdałów do wielkanoconego pieczywa — mogę, chodzić po wilgotnych ścieżkach, niemo wyjąc z tęsknoty za Panią i z przeziębienia dostać zapalenia płuc, lub co gorsza, kataru, którego się oboje tak obawiamy. (Jak to słówko »oboje« słodkiem mi jest, nawet w takim zastosowaniu!...) Mogę wreszcie... flirtować z kuzynką.

Aha! przecież drgnęła Pani. Wiedziałem, że na to da się Pani wziąć, jak każda najprostoduszniejsza śmiertelniczka, i umyślnie chowałem ten pocisk na sam koniec.

Bo, gdybym się powiesił — mniejsza o to! zapewne wyczuwanie mojej śmierci, spowodowanej okrucieństwem Pani, dałoby Jej szereg sensacyi nieznanych dotąd, szereg nowych dreszczów, z którymi zapoznałaby się Pani bez wielkiej przykrości. — Ale żebym miał zdala od Pani flirtować? i to z kim? z dziewczynką białą i świeżą jak sasanka, której nawet wykwintny krytycyzm Pani nie potrafiłby

odmówić specjalnego, wiośnianego czaru — o, na to nie zgodziłabyś się nigdy dumna Dyano, która »nie znosisz rywalek«.

Tak, słyszałem niejednokrotnie te słowa z ust Pani i głęboko zachowałem je w pamięci — to też szanując ten przesąd Pani, od lat trzech nie zbliżyłem się do kobiety młodej i pięknej, inaczej, jak ze sztucznie wystudyowaną miną drewnianego kołka, któremu najcudniejsze twory Boże są zupełnie obojętne. — Co mnie ta wstrzemięźliwość kosztowała — sam wiem najlepiej — a jak zostałem za nią wynagrodzony — to Pani znowu wiesz najlepiej.

Proszę jednak nie posądzać mnie, że ja tu coś wymawiam, że mierzę i ważę swoje ofiary i że czegokolwiek żałuję — nie, stanowczo — ja niczego Pani nie wyrzucam — ja tylko uwielbiam i... czekam.

Co do kuzynki, niech się Pani uspokoi — nie będę z nią flirtował: po pierwsze, że szanuję przesady Pani, tembardziej może, iż Pani ich masz tak mało — jedno nic, w porównaniu do wszystkich tych moralno-towarzyskich kajdan, któremi okuwają się inne kobiety — powtóre, że kuzynka — ta właśnie — nie nadaje się do flirtu.

Powiedziałem już Pani: to nie królewska kamelia, której zwycięska purpura nie blednie nawet wśród żaru balowych kinkietów — to sasanka, wy-

chylająca swą główkę z pod śniegu, biorąca od niego swą białość i przedziwną świeżość. Po kwiat taki, napotkany na drodze życia, może się ręka prawie bezwiednie wyciągnąć, aby go zerwać i unieść gdzieś w dal, jako skarb własny, jako posłannika wiosny i słońca — ale śnieżną jego koroną nikt się nie bawi, w obawie pomięcia i zbrudzenia tych wiotkich płateczków, których jedyną zaletą, że takie wiotkie i świeże... Estetyka życia nie pozwala na to.

Boję się, że moje botaniczne zestawienia wywołają na usta Pani ironiczny uśmiech — to zresztą rezultat, który najczęściej osiągam, wysilając swój rozum i dowcip na to, aby Panią zabawić, olśnić, zdobyć! I z tym rezultatem tak Pani do twarzy, że mi to znacznie osładza moje fiasko!

Mia Cara! (wszak tego rodzaju określenia są Pani łatwiejsze do zniesienia w jakimkolwiek cudzoziemskim języku, niż w tej brutalnej, polskiej mowie, która, zdaniem Pani, wszystkie kwestye stawia na ostrzu noża) napisz Pani do mnie koniecznie, choć słów kilka, choć jedną sylabę, któraby się przesunęła po mojej duszy, jak dotknięcie anielskich skrzydeł. Nie sądzę Pani mnie i moich uczuć podług tej nędznej ramoty, bo ja — mówiąc słowami poety — (przypuśćmy, że któryś tak powiedział) »drwię, ale serce we mnie płacze«. Doprawdy, chyba nigdy tak nie kochałem Pani, a przynajmniej

nie pragnąłem tak gorąco miłości Pani, jak w obecnej dobie, w oddaleniu, które dzieli nasze oczy — nie serca — wszak prawda, Ubóstwiana?

Dziwnie mi tu tęskno i pusto; przyjechałem między swoich a czuję się samotny, jak na Saharze — słucham tych ludzi, nie rozumiejąc ich — mówię, a czuję, że oni mnie nawzajem nie rozumieją.

Po co mnie Pani namówiła do tego? bo cała ta moja wycieczka jest wyłącznie dziełem Pani, tak jak wszystko co robię, myślę i czuję od lat trzech, natchnione i kierowane Twoją tylko wolą i kaprysem. — Mówiłaś mi Pani: »Nie trzeba dziwaczyć! nie trzeba stronić od rodziny, która pana wzywa, i od interesów, które potrzebują pańskiej głowy i ręki. Nic się panu nie stanie. Posiedzi pan z dziesięć dni w krainie białych niedźwiedzi (dla geograficznych poglądów Pani, podgórze Sanockie, puszcza Białowieska i biegun północny — to na jedno wyjdzie — zawsze to nie Europa), nazbiera ciekawych wzorków i przywiezie mi w prezencie wszystkie wrażenia podróży, które będziemy przepatrywać razem siedząc w blasku kominka — i śmiać się i może ronić łzy nad tą wiejską idyllą, którą pan przeżyje«.

Niestety — Pani, którą wszyscy (począwszy od Niej samej) uważają za wyrocznie, tym razem omyliła się we wszystkich swoich twierdzeniach. Bo najpierw, skąd ta pewność, że mi się nic nie



stanie? Otóż właśnie stało mi się, stało się to, że przez cały tydzień ani razu nie zobaczę Pani — a to jest właśnie najgorsze ze wszystkiego, co mnie spotkać może. — Następnie ten drugi wniosek, że w wycieczce mej będę zbierał ciekawe wzorki, z których za mym powrotem razem, w blasku kominika, śmiać się będziemy: Fiasko, łaskawa Pani! najzupełniejsze fiasko! Nie zobaczyłem tu dotąd nic a nic godnego uwagi i cudownego śmiechu Pani — przeciwnie, obracając się wśród tych ludzi, doznaję od czasu do czasu wrażenia, że to ja sam raczej, wobec nich wyglądam jak wzorek... nie bardzo ciekawy.

Dziwi Panią obiektywizm tego spostrzeżenia i szczerość, z jaką je wypowiadam — Panią, która wymawiasz mi zawsze, iż jestem zarozumiałcem, iż pozuję na brylant, gdy inni widzą we mnie co najwięcej: cristal de roche. — Może sobie Pani wyobrażasz, że powrócę stąd upokorzony na duchu, ubrany we włosienicę, gotów uwierzyć Pani od pierwszego słowa, że nie jestem wart, abyś mnie Pani zaszczyliła jednym łaskawem spojrzeniem?

O, nic z tego nie będzie! Powrócę do Pani z tem samem, szczytnem poczuciem swej wewnętrznej i zewnętrznej wartości — stanę się znów brylantem, choćby dlatego, że gdybym nim nie był, czyż śmiałbym się u stóp Pani składać w ofierze? — Ale tu, brylanty takie nie mają kursu; brak im wy-

staw jubilerskich i odpowiedniego oświetlenia, aby olśniewać mogły. To też i ja staram się olśniewać jak najmniej; przybrałem na siebie skromną postać najpospolitszego piaskowca, a wszystkie fajerwerk i brylantowe ognie mej przeszlifowanej inteligencji chowam do salonów Pani.

Jutro mam z wujem dobrodziejem jechać obejrzyć moje dziedzictwo; ponieważ to tylko trzy kilometry stąd, chciałem się wybrać sam, piechotą, bez żadnej ostentacyi, ale mi nie pozwolono. Zdaje mi się, iż wszyscy tu spodziewają się z tej mojej wycieczki »wielkich rzeczy«; oni tu są tak dziwnie zacofani, tak nie rozumieją, aby można bez ataku sercowego i innych objawów szaleństwa, odnaleźć zakątek ziemi, w którym się spędziło »błogie dni dzieciństwa« — aby ściany rodzinnego niegdyś, ale już od lat piętnastu niewidzianego domu, mogły przejść tylko pustką i chłodem kogoś, co przywykł do japońsko-chińskich buduarów i wypełniającej je cieplarnianej atmosfery.

Próbowałem im to lekko tłumaczyć przy dzisiejszem śniadaniu, ale kuzynka Miła — a raczej, jak ją tu wszyscy nazywają, Miła — śmiała się tak srebrzyście z tych moich dowodzeń, biorąc je za bardzo dobry żart, że i ja sam w końcu śmiać się zacząłem — i oto teraz, ile razy zacznę frazes jakiś od słów: »gdy wrócę do Wiednia« — a czynię to często, bo stwierdzanie tego faktu sprawia mi nie-

zaprzeczoną przyjemność — zaraz wszyscy przerywają mi w pół słowa: Nie mów nic, nie projektuj nic, póki nie będziesz w Borowianach...

Wujaszek zaczął mi nawet kiedyś, bardzo szeroko i długo, z tą samą dokładnością, z jaką wydaje dyspozycje gumienemu, tłumaczyć, że wprawdzie niewątpliwie, człowiek z mojami zdolnościami (patrz Pani i tu się na mnie poznano!) może i w Wiedniu zająć stanowisko bardzo wybitne, dające pole do pracy pożytecznej i zaszczytnej, (oh, moje prace!), ale jednak... w każdym razie... bądź co bądź...

Tu urwały się pocziwemu staruszkowi i myśli i słowa, ale na szczęście Mila była w pobliżu — ona zawsze jest w pobliżu, bo ma dziwny dar wszechobecności: można ją prawie równocześnie spotkać w ogrodzie, w kuchni, w salonie, przy fortepianie — otóż Mila dokończyła za ojca:

— Niech się tatuś nie wysila na argumenta, my go i tak nawrócimy, bez żadnych perswazyi. Zostanie z nami, choćby na razie nawet sam dobrze nie wiedział, czemu zostaje.

— A kto to jest: my — zapytałem — bo jeśli mam słuchać, sam nie wiem czemu, niechże wiem przynajmniej, kogo słucham.

— My, to... wszyscy i wszystko, co tu jest: ja, rodzice, Borowiany, wiosna, nasze baby wielkanocne, pan Antoś...

Ach, prawda, nie wspomniałem Pani jeszcze o owym panu Antosiu, jakimś dalekim krewnym czy wychowanku wuja, a jednak jest to bardzo interesujący chłopczyk, nie żaden »cristal de roche«, tylko brylant prawdziwy, który niesłuchanie nadałby się Pani do oszlifowania. Chciej Pani sama osądzić: lat dwadzieścia dwa lub trzy, postać słowiańskiego Antinousa, inteligencya dostateczna, wykształcenie fachowo-agronomiczne, wrażliwość ośmnastoletniej panny (piecze raki, ile razy ja się do niego zwrócę w rozmowie — cóżby to dopiero było wobec Pani!), a rycerskości tyle, że możnaby z małą biedą wykroić z niego dwóch Don-Kiszotów.

Pani, która zawsze wyrzekasz na brak wyżej wymienionych zalet u dzisiejszej młodzieży (któż temu winien, że Pani do młodzieży raczysz zaliczać takie osobniki jak ja np.). — Pani, byłabyś niezawodnie zachwycona, gdybym go Pani, przywiózł i jako trofeum podrózne złożył w Twym japońskim buduarze. Ale niestety, nie mogę tego uczynić — mam na to za wiele miłości bliźniego i... miłości własnej. Zresztą wydaje się on tak zrosnięty z tym zakątkiem świata, w którym wychował się i dorósł swoich sześciu stóp wysokości, że gdyby go stąd jaka złośliwa wróżka porwała (piszę umyślnie: złośliwa, aby ta rola nie wydała się Pani nazbyt tentującą — zresztą kwalifikacyi Pani nie brak), byłoby to chyba

dla niego i dla całego otoczenia katastrofą, równającą się trzęsieniu ziemi. On tu, zdaje się należeć do węglów domu — w buduarze Pani byłby tylko bibelotem, bardzo ozdobnym, przyznając, ale trochę niewygodnym do codziennego użytku.

— A zatem nic mi Pan nie przywiezie z tej swojej podróży? — zapytuje Pani w tej chwili, i już widzę jak cudowna minka rozkapryszonego dziecka ilustruje to pytanie.

— Nic? niewdzięczna! Przywiozę Pani siebie — *et c'est-ce que j'ai de mieux à vous offrir.*

.....

A więc to tak! takie bileciki pisuje się do stęsknionych przyjaciół, których się samoświadcząc wygnało w krainę białych niedźwiedzi, marcowego błota i t. p. przyjemności. Mogę Pani powinszować! styl tak pensyonarsko-poprawny i moralno-sztywny, że możnaby list cały zamieścić w podręczniku szkolnym dla panienek kończących edukację. Ani jednej sylaby, kropki zdradzającej, że Pani jesteście kobietą w pełnym rozkwicie lat i najbujniejszych uczuć — a ja, bądź co bądź, jestem także boskiem stworzeniem, którego nie kraje się żywcem takimi pytaniami: Jak też Panu w podróży dopisuje pogoda? — albo: Czy się Pan zamierza dobrze bawić przez Święta?

Naturalnie! zamierzam się bawić doskonale, bo drugiego dnia Świąt, żywy lub umarły stawię

się u Pani. Dotąd myślałem, że uczynię to z tęsknoty za Panią — teraz widzę, że uczynię to Pani na złość. Dlatego właśnie, że mi Pani nie pisze: przyjeżdżaj! — już nie mówię: czarno na białem wszystkimi literami i należytą ortografią, ale choćby jakimś nieujętem tchnieniem, które mogłoby się wyłonić z pomiędzy słów na pozór najobojętniejszych tak, jak purpurowy kwiat kaktusu wyłania się z pomiędzy kolczastych, zielonawo-szarych liści — dlatego przyjadę i będę trwać przy Pani.

Szkoda, że mi zimny list Pani zmroził dzień dzisiejszy, bo tu się tej nocy, pomiędzy wczorajszym zmierzchem a dzisiejszym świtem, narodziła wiosna i świat się do niej śmieje, a ona do świata! W ogrodzie jeszcze nie ma nic, oprócz masy powietrza i słońca, którego nie kradną dotąd ubezlistnione korony drzew — oczyma nie dojrzałyś ani jednej trawki, ani jednego fiołka, ale w oddechach ziemi już się czuje to wszystko i pierś ludzka jest dziwnie poczuciem tego wezbrana i bogata.

Chciałem dziś chodzić długo po ścieżkach ogrodu, grzejąc się w promieniach słońca i w myślach o Pani — chciałem podrzeć wszystkie kartki tego pamiętnika podróży, bo mi się nagle wydało, że w nich za wiele ironicznych zgrzytów, a zamało hymnów miłości — przynajmniej takiej miłości, do jakiej dziś uczułem się zdolny, spojrzawszy zaraz po obudzeniu w ten kawał błękitu, który się przez

okno mego pokoju tłoczy do mej duszy — chciałem podzielić się z Panią tą wiosną, która jest tutaj.

List Pani opamiętał mnie w porę: na co Pani tutejszej wiosny i stąd wysyłanych hymnów uwielbienia, gdy Pani masz tam przecie »swoją« wiedeńską wiosnę, z corsem kwiatowem w perspektywie — i masz... boski flirt — o tak! musisz go mieć, bo przecie żyjesz Pani, a bez tego wątpię, abyś dzień jeden wyżyć mogła.

Mimo całej nienawistnej urazy, jaką dziś piałam do Pani, muszę się przed nią pochwalić odniesionym przed godziną tryumfem, który niezawodnie olśni Panią więcej, niż gdybym np. otrzymał nagrodę konkursową za napisanie opery lub stworzenie projektu jakiegokolwiek pomnika. — Tego rodzaju intelektualno-szablonowe tryumfy olśniewają dziś już tylko umysły przeciętnych kobiet, które dają się suggestyonować pospolitym uniesieniom tłumu. Pani, jako istota wyższa, jako nad-istota, czujesz głęboko, że wszystkie razem wzięte sztuki piękne są mniej warte, niż ladajaki (byle z należytym oddaniem i zrozumieniem uprawiany) sport — i że nawet genialny artysta jest poprostu dzikim Samojedem w porównaniu z wytrawnym, ucywilizowanym sportsmenem.

Otóż ja dziś właśnie uprawiałem sport — biegania do mety! i jako biegacz okryłem się wiekopomną chwałą. Prześcignąłem długonogiego pana

Antosia, który jednak chodzi tak szybko, jakby wskrzeszał tradycję siedmiomilowych butów i lotną Miłę, zdającą się, gdy biegnie, ledwie dotykać stopkami ziemi — zdystansowałem nawet Cytę i Smyczka, które również stanęły do startu (prawda, że te odbiegły z prostej drogi na manowce) — i zaimponowałem wszystkim a najbardziej sobie samemu.

Postanawiam od dziś kształcić systematycznie ten talent, który w sobie niespodzianie odkryłem. Może kiedyś odniosę jeszcze zwycięstwo na jakim międzynarodowym rekordzie szybkobiegów — i wtedy, gdy Pani wyczyta moje nazwisko wydrukowane tłustym drukiem w sprawozdaniach sportowych, wtedy może i w cudnych oczach Pani nabiorę niejakię wartości.

Może Pani raczy być ciekawą, skąd nam przysłała myśl urządzania tu, w Wielki wtorek, tak płochej, światowej zabawy? Powód był niezmiernie ważny: Chodziło o to, kto z nas trojga dogoni posłańca jadącego do miasteczka, któremu zapomniano kazać kupić szafranu do bab. Bo trzeba Pani wiedzieć, że tu królują jeszcze baby z szafranem, posty wielkożygodniowe, mazurki lukrowane na biało, a przybrane czerwonemi różami z pseudo-cukru, tak sztywnymi i dziko ubarwionymi, jak ostatni wyraz secesyi — że w poniedziałek wielkanocny ludzie oblewają się tu, jakby ktokolwiek w dzisiejszym świecie potrzebował jeszcze być sztucznie

chłodzonym — a idylliczna gra w zielone rozkwita razem z pierwszymi pączkami i roznamiętnia uczestników jak najpyszniejszy hazard. Istna kartka życia, wydarta ze średniowiecznego, ośmiotomowego romansu.

Gdybym miał koniecznie przeczytać wszystkie ośm tomów, to prawdopodobnie wolałbym daleko unicestwić się tanim kosztem — choćby trucizną na szczury — ale że tu chodzi tylko o przerzucenie paru kartek, to, ostatecznie, nawet mój ustrój nerwowy wytrzyma bez wielkiej szkody, tembardziej, że pomiędzy temi pożółklemi kartkami, tchnącymi pleśnią przestarzałych przesądów, przesuwa się biała sasanka (ogarnia mnie botaniczny skrupuł, czy saskanki nie są raczej niebieskie?) postać dziewczęcia, która w każdym czasie i miejscu byłaby à propos.

Miła jest miła, a widocznie usiłuje być jeszcze więcej miła dla mnie, co — nie zdziwi to Pani — jest mi bardzo milem.

Niechaj to wyznanie nie ściąga olimpijskich chmur na Botticelowskie (przynajmniej w terażniejszym uczesaniu) czoło Pani. Miła nie jest dla Pani żadną rywalką: mogę na nią patrzeć z upodobaniem — czasem nawet bardzo wielkiem — nie uchylając w niczem kultowi, który zaprzysiągłem Pani. Ręczę, że gdyby ją Pani zobaczyła, wzruszyłaby Pani ramionami z najwyższą obojętnością. Bo też jej uroda jest tego rodzaju, że na kobietach nie

robi najmniejszego wrażenia — a na mężczyznach... hm, to zależy.

Właściwie, jeśli na mnie zrobiła pewne wrażenie, to Pani sobie to wyłącznie przypisać musisz. Gdybym Pani nie uwielbiał tak wytrwale i wyłącznie przez ostatnie trzy lata (rok jeszcze, a dopełnimy okresu igrzysk olimpijskich), to może nie zauważyłbym tej drobnej dziewczynki, z twarzą wcale nie klasyczną i oczyma jak najpospolitsze, polskie bławaty. Co w niej najpierw zwróciło moją uwagę, co skłoniło mnie i skłania jeszcze ciągle do rozwijania dalszych spostrzeżeń, to ogromna moc kontrastu zachodzącego pomiędzy nią a Panią. Ponieważ jej żywą postać mam wciąż przed oczyma, a Pani obraz noszę głęboko wryty w duszy, nastęcza mi się nieustanna sposobność do zestawień i porównań. — O różnicach czysto fizycznych zewnętrznych nie będę nic mówił, bo Pani i tak wiesz dobrze, że jesteś najklasyczniejszą pod słońcem kobietą — spróbuję zatem tylko określić różnicę duchową, jaką na podstawie fizycznych danych moja naga dusza wyczuwa w zbliżeniu się do Was obydwóch.

Zacznijmy od oczu: srebrno-fioletowe źrenice Pani, to potęga, to moc idąca w wszechświat na zdobycie wszechświata; na kogokolwiek lub cokolwiek Pani patrzysz, oczy Pani starają się żądać i brać. — Przeciwnie, zroszone bławatki, które ku-

zynka Mila ma w miejsce oczu, zdają się każdym spojrzeniem oddawać coś z duszy właścicielki. Przytem, w zastosowaniu do mej osoby, zachodzi i ta różnica, że Pani stale spoglądasz na mnie z góry — kuzynka Mila (może dlatego, że jest tylko drobną dziewczynką) patrzy na mnie w górę — a to, wierząc mi Pani, sprawia tak odrębne wrażenie, że nietylko ona mnie, ale nawet ja sam sobie wydaję się wobec tego inną istotą.

Uśmiech Pani w cudowny sposób okrąża Twoje pastelowe usta, zatrzymuje się na nich, jaśniejący rozkoszą życia i jak iskra uwięziona w brylancie odbija się w Twoich oczach. Uśmiech Mili zbiega z jej ust małych i wezbranych młodością, jak skory promień, wybiegający naprzeciw drugiego, bratniego uśmiechu. — Nawet te same piosnki umiecie śpiewać tak odmiennie, jakby Szopen inaczej dla Pani, inaczej dla niej stworzył swoje mazurki.

W sympaty, jaką obie Panie raczycie dla mnie uczuwać — nie zaprzeczysz Pani, że jestem Ci sympatyczny, przynajmniej o tyle, o ile biedna, mała myszka jest sympatyczna kotowi angorskiej rasy, któremu jego królewskość i wypieszczenie nie pozwala puścić się w pogoń za tak marną zdobyczą, ale który przecież, z pod zmrużonych powiek śledzi z zajęciem przemykającą się lekliwie ofiarę i magnetyzuje ją i ubezwładnia swem spojrzeniem. — Otóż w tej sympaty zachodzi także ultra-kolosalna

różnica: Pani, promienie swej łaski wydzielasz mi wprawdzie bardzo systematycznie i wytrwale, ale tak oszczędnie, że w mej duszy panuje wiecznie zbawienny mrok niepewności — za wiele światła, aby wpaść w granatową rozpacz, za mało aby się rozpląnąć w błękitach ukojenia, zlewających się na krańcach z mleczną nirwaną zobojętnień.

Sympatya i serdeczność Mili bije z jej duszy jak żywy źródło światła i ciepła — mogę sobie z niego czerpać wiele chęć pociechy i słodyczy — nikt mi kropel tego źródła nie mierzy i nie waży, i wszyscy wkoło zdają się uważać za bardzo słuszne, że my się tak lubimy, bo przecież serca ludzkie na to są, aby lgnęły do siebie.

Widzisz więc Pani, że Mila nie jest dla Ciebie żadną rywalką; jeżeli piszę o niej tak długo, to tylko dlatego, aby Panią więcej zainteresować sobą; wszak najmarniejszy osobnik męski, na który życzyliwie spogląda piękna kobieta, wydaje się zaraz Najpiękniejszej, interesujący i pożądanym.

Racz pomyśleć nad tem, najpiękniejsza Pani.

Jutro jadę z wizytą do siebie — za powrotem skreślę Pani wrażenia tej wycieczki, którą tu wszyscy uparcie upowijają w aureolę pobożnej pielgrzymki. Do jutra!

.....
Ave Caesar! morituri te salutant!

Jestem tak unieczystwiony materyalnie i du-

chowo, jakby mnie już całkiem nie było — jeżeli wyczuwam jeszcze niejakie tętno życia, to ogranicza się ono wyłącznie do dotkliwego niesmaku, jaki mnie ogarnia na wspomnienie wszystkich godzin, minut i sekund, przeżytych przezemnie w najświeższej przeszłości.

Gdybym miał duszę nastrojoną, jak harfa o rozbolątych strunach, powiedziałbym dzisiaj: »Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło...« Ale że mam tylko postrzępione nerwy, więc knę po prostu: A niech ich dyabli porwą z ich owacyą! — i myślę sobie: jakie też jeszcze niespodzianki gotuje mi ta idylla, która w programie Pani wyglądała tak niewinnie?

Proszę sobie wyobrazić, co mnie dziś w moim własnym domu, bez mojego przyzwolenia, uwiadomienia, przygotowania, spotkało: Owacyjny bankiet, z formalnym najazdem panów braci, z banderyą chłopską, z niemożliwym obiadem, ugotowanym przez mojego, in spe, kucharza i z pół tuzinem toastów, w których moje, in spe, zasługi podnoszono tak forsownie do góry za oba uszy, że we mnie aż dusza piszczała. Jednym słowem: kompletny jubileuszyk, ofiarowany mi a conto mej przyszłej, obywatelskiej pracy, — jak się to Pani podoba? ho mnie... brr!

Dławiłem się własnymi, nie położonemi jeszcze zasługami, oraz własnym, choć nie zadysponowa-

nym przez siebie obiadem, całe cztery godziny i miałem taką ochotę prosto od stołu czmychnąć na stacyę kolei, a stamtąd choćby bumelcugiem do Wiednia, jakby to było najbardziej kuszącą, a najnieodstępniejszą z rozkoszy, jaką czara życia może jeszcze dla mnie zawierać. Niestety, ulegając mej nieudolności życiowej, nie objawiłem tej ochoty najlżejszem nawet ruszeniem brwi; z podłością niewolnika, trzymanego na łańcuchu dobrych manier, uśmiechałem się do wujaszka i do całej tej bandy sąsiedzkiej, która mnie wzięła w antreprzyę, i... ująłem sobie wszystkich moją uprzejmością.

Okropna to jest rzecz wpaść w niedźwiedzie uściski — nieraz już dokuczono mi w życiu, nawet bardzo boleśnie (pani coś wiesz o tem), ale dokuczono z taktem — a na dokuczliwość beztaktowną moje nerwy są doprawdy za cienkie.

Kuzynki Mili nie widziałem dziś wcale, ale doznaję wrażenia, że i ona przez ten dzień zbrzydnąć musiała. Antoś, który wybiegł naprzeciw nam na ganek i powitał mnie uściskiem ręki tak rozczulonym, jakbym powracał z własnego pogrzebu lub wesela, oświadczył mi, że tu pogoda była cudowna, że chodzili z panną Milą do sadu szukać fiołków i wszystkie sześć, które znaleźli (co za wspaniałość!) umieścili w wodzie na mojem biurczku.

Sześć fiołków! tu doprawdy nie znają miary w gościnności — patrzę na te biedne sześć ofiar,

które na moją intencję zerwano, zanim się zdołały z paczków w kwiat rozwinąć i myślę, czy to tu-tejsze kwiatowe corso włożyć w kopertę i express przesłać do stóp Pani? Pani wprawdzie masz tam teraz moc fiołków parmeńskich, granatowych jak twoje oczy i odurzających wonią — ale nie są to fiołki... odemnie.

Nie — nie pošlę Pani tych fiołków — one by tam zmarniały, niezrozumiane.

.....

Czy Pani wie, czy Pani sobie wyobraża, czy Pani może mieć pojęcie o tem, co się tu dzieje? jaki nastrój, jaka cisza skupiona i ostrożna, a od chwili do chwili wybuchająca radosnym szmerem: rosna! rosna!...

Co rośnie? Naturalnie baby wielkanocne, z szafranem, z wanilią, z cynamonem — cóż innego może rósć w Wielki czwartek, w tradycyjnym wiejskim dworze, coby w takie niespokojne drzenie wprawiało wszystkie, bez wyjątku, serca mieszkańców? Może, w głębiach tych samych serc, utajone poza troską o udanie się bab, rośnie jeszcze tysiące pragnień, tęsknot, zachwyków, obudzonych pierwszym tchnieniem wiosennego wiatru i pierwszym promieniem słońca. Ale tamto wszystko wstydliwie kryje się w mroczną głąb duszy — niepokój o to, czy baby rosna zdrowo i hożo, tryumfalnie osiada na wszystkich czołach.

Pani uśmiechasz się ironicznie i niedowierząco, pomimo Twojej całej subtelnej wrażliwości i prawdziwego wirtuozostwa, z jakim umiesz wyzuwać i pobudzać w sobie wrażenia wszelkiej kategorii — ten niepokój wydaje Ci się bardzo marnym albo zgoła nieprawdopodobnym. — Nie śmieję się Pani! w czemże baby wielkanocne mają być gorsze od owej klamerki do paska, którą zapisałaś sobie Pani aż z Paryża i której nadejścia pocztą oczekiwaliśmy oboje z takim niepokojem w dzień rautu u baronostwa Hohenwegów? Klamerka uosabiała dla Pani modę, będącą najwyższem prawem i wyrocznią Twego życia — dla tutejszych ludzi baby wielkanocne uosabiają tradycję, której oni znów za nic sprzeniewierzyłyby się nie chcieli.

Miła, w białym fartuszku, z gorejącą twarzą, uwija się po piekarni, do której i mnie pozwolono wsunąć się na palcach i obejrzeć ogromne niecki, pełne jasnego, wcale apetycznie wyglądającego ciasta. Czy Pani była kiedy w takiej piekarni, w chwili przygotowywania wielkanocnego pieczywa? Z pewnością nie. — Ależ tam jest bardzo ładnie, zupełnie stylowo, choć styl to trochę odrębny niż w japońskim buduarze Pani. A jak przyjemnie pachnie!

Muszę też zakomunikować Pani, że przecucia moje, jakoby kuzynka Miła zbrzydnąć miała przez dzień wczorajszy, okazały się najzupełniej mylne.

Nie zbrzydła ani trochę i była nawet bardzo ładna, gdy wyciągając do mnie rękę na powitanie, zapytała mnie z jakimś serdecznym, nieśmiałym niepokojem: — Jak ci się podobały Borowiany, kuzynku? Czy z wycieczki wczorajszej miłe odniosłeś wrażenie?

Jakie wrażenie?... Pani to wiesz najlepiej, ale kuzynka Mila nic się o tem nie dowiedziała, a raczej dowiedziała się rzeczy wprost przeciwnych.

Czy kłamałem, dając na jej pytania odpowiedzi, od których niby słoneczne promyki zapalały się w jej bławatowych oczach, a po ustach przelatywały uśmiechy ucieszonego i rozrzewnionego dziecka?...

Nie zdaje mi się — ja w owej chwili czułem inaczej niż cały dzień wczorajszy, nawet niż czuję teraz, pisząc te słowa do Pani.

Borowiany nagle zaczęły mi się podobać — na krótki moment tylko, ale tak szczerze i zupełnie, jakbym uległ sugestyi błękitnych spojrzeń i złotych uśmiechów Mili.

Dlaczegożby nie?... jeżeli geniusze myśli — począwszy od Maeterlincka i całego korowodu autorów dramatycznych, umieją swemi fikcyami sugerystyonować nam strach, grozę, wstręt lub podziw, czemużby Mila, która jest z pewnością geniuszem uczucia (o, bądź Pani spokojną: tylko w kierunku przywiązania do Borowian etc.) nie miała mi zasugerystyonować na mgnienie oka swoich romantycznych ułud?

Rozmawialiśmy o tych rzeczach, oboje wsparci o stolnicę, na której się suszyły wyluskane migdały, nie wiele bielsze od paluszków Mili — prócz bab wielkanocnych nie było między nami nikogo. Aż nareszcie wszedł Antoś i z nim razem wpadła woń fiołków, których spory bukiet trzymał w ręku i ofiarował... nie mnie (widać uważał, że tych sześć wczorajszych powinno mi wystarczyć) tylko kuzynce Mili.

Ucieszyła się — ach, jak się ucieszyła! i jak dziękowała za te kwiatki, zerwane w jej własnym ogrodzie — gdybyś Pani raz w życiu tak mi podziękowała... ale samo przypuszczenie takie jest zbytkiem.

.....

Dziwno mi — tak mi dziwno... W tym cichym, wiejskim zakątku przeszedłem przez wrażenie, którego moc wstrząsnęła moją duszą, jak poranny wiatr kwietniowy wstrząsa zeschniętym liściem jesiennym. Zaoszczędziły go grudniowe zawieruchy i pozwoliły mu istnieć w martwocie — a teraz, kwietniowe gońce budzą go i ogarniają swym ciepłem, ożywcem tchnieniem i szepcą mu: Wszak i ty żyłeś niegdyś — zbudź się!

Nie, nie — daremne wołanie — kwiecień nie wskrzesi tego, co grudzień ściał lodem — ale jednak, w zmartwiałym liściu budzi się nieujęte, nikłe

jak cień wspomnienie tego, co było niegdyś jego życiem, i tak mu żal!

Dziś dopiero po raz pierwszy odczułem, że Borowiany były na prawdę moim rodzinnym domem i powinny były nim na zawsze pozostać; że ten stary, drewniany kościół, stojący na pograniczu sąsiednich dwóch wsi, to świadek i twórca wszystkich najczystszych drgnień mojej duszy, jej wzlotów najwyżej sięgających w niebo, choć unoszonych tylko słabem skrzydłem dziecięcej myśli — że ja tu niegdyś, z sercem radosnem a poważnie skupioną twarzą, wsłuchiwałem się w jednostajny głos kołatawek, jak w najpyszniejszą harmonię i cały drżący, wzruszony smutkiem i zachwytem, wchodziłem za rodzicami w mroczną głąb kościoła, krwawiącą się w bocznej nawie blaskiem czerwonych lampek, rozrzuconych, jak krople krwi dokoła Grobu Pańskiego.

Postać Chrystusa taka była wśród nich biała, taka promienna spokojem i chwałą, bijącą na Jej czoło od umieszczonej powyżej, złotej monstrancyi.

Wielki Piątek był dla mnie, dziecka, najuroczystszy, najpiękniejszym dniem Wielkiejnocy.

I dziś był w Borowianach Wielki Piątek.

.

Słońce wschodziło — szliśmy wążką, trochę wilgotną ścieżką przez łąkę, na której bardzo młoda i nikła jeszcze zieloność, poranna rosa rzuciła przeje-

rzyste, srebrnawe hafty. W rzeźwem, błękitnem powietrzu była ogromna cisza i spokój, jakiś radosny a wyczekujący, przedniezielny nastrój — bo choć słońce już na niebie znaczyło niedzielę, Wielką Niedzielę, dla ziemi i ludzi nie rozpoczęła się ona jeszcze, bo jej dotąd nie ogłosiły kościelne dzwony, które rok rocznie o tej porze zrywają żałobę z serc ludzkich i płoszą cienie śmierci radosnym hymnem Zmartwychwstania.

Szliśmy wszyscy: kuzynka Mila i ja i Antoś i oboje wujostwo, a za nami długim sznurem dążyli domownicy i słudzy, bo na Rezurekcyi każdy być musi, każdy pragnie powitać zmartwychwstałego Zbawiciela, który za niego przecież umarł na krzyżu.

Dalszemi ścieżkami, we wszystkich kierunkach przerzynającemi łąkę, dążyły od wsi ku kościołowi gromadki ludzi ubranych odświeżnie, migocących białemi płótniankami mężczyzn i czerwonemi chustami kobiet. Wyglądało to tak, jakby kto porozrzucił barwne sznurki paciorków, a pod tym przystrojem serce ziemi zdawało się bić młodością, nadzieją, szczęściem, wszystkim co wiosna daje a jesień odbiera.

Kuzynka Mila szła dziwnie cicha i skupiona; jej dziecięca dusza pełna jeszcze była Wielkopiątkowych mroków, kołatawek i smutnych pieśni — jak kwiat na promień słońca, tak ona czekała na pierwszy dźwięk dzwonów, aby rozwinąć skrzydła

utajonej gdzieś w samej głębi, przepłoszonej powagą dni ostatnich, radości życia.

Gdy dochodziliśmy do kościoła zwróciła się ku mnie.

— Patrz, jak nasz kościół ślicznie wygląda w porannem słońcu — taki stary już, dwieście lat tutaj stoi, a na dziś, jakby wyprostował się i odmłodził i błogosławi nas krzyżem złotym, sięgającym prawie pod sklepienie niebios, i przygarnia wszystkich w swoje miłe, kochane ściany, tak serdecznie, jakbyśmy byli gromadką jego wnuków, szukających u niego pociechy i pokrzepienia. — Ja bo kocham wszystkich staruszków — a ty Witoldzie?...

Nie było czasu na odpowiedź — przestąpiłszy próg kościoła, pełnego już ludzi, pobożnych szeptów, żaru świec i błękitnego dymu kadzideł, który snuł się pod sklepieniem, przetykany promieniami słońca.

Przeciskając się przez kruchte, dojrzałem skulonego u ściany dziadka, w śnieżnej, lnianej siermiędze, z głową bielszą od białych płócien, a tak starą, tak trzęsącą się i zwiędłą, jak zeschnięty kwiat nieśmiertelnika, który dość tknąć palcem, aby się w proch rozsypał.

Wsunąłem w drżącą rękę dziadka, przesuwaną paciorki różańca, złoty pieniądz, jakiego może nigdy jeszcze nie widziały jego wypłowiałe, częścią pewnie wypłakane oczy. — W duszy brzmiały mi

słowa Mili: »Ja, bo kocham wszystkich starszków«.

»Wesoły nam dziś dzień nastał!...«

Wyszliśmy z procesją na dziedziniec kościelny, objęci falą pieśni i huczeniem dzwonów, depcząc śnieżne sasanki i pierwsze fiołki, rzucane przez gromadkę przodem idących dzieci.

Barwne chorągwie trzepotały się w świeżem, porannem powietrzu, blask słońca wyjaskrawiał ich barwy, odświeżając je jak mistrzowskie dotknięcie pendzla. Niżej, pod chorągwiami, jaskrawiej od nich czerwieniły się komeżki ministrantów i barwne chusty kobiet, a u czoła procesyi, śnieżny baldachim, jak biały ptak płynął ponad tłumem, jasny i cichy, ocieniający białem skrzydłem złotą monstrancję, która ciągnęła ku sobie oczy i serca ludzkie.

Nagle baldachim drgnął i nieruchomie zawisł w powietrzu — tłum ludzi upadł na kolana, uchylił głowę w najgłębszem ukorzeniu ku samej ziemi; huczenie dzwonów umilkło, pieśń urwała się i w ciszy, która rozpostarła się nad cmentarnym dziedzińcem, słyhać było tylko, u góry, słaby świergot wróbla na bezlistnych gałęziach, u dołu, srebrny, cichy a czysty jak kryształ dźwięk dzwonka, co sam jeden, od stóp białego baldachimu, niósł światu błogosławieństwo Zbawiciela.

»Chrystus zmartwychwstał — Alleluja!«

Z temi słowami fala ludu wypływała z ko-

ściółka i z cmentarnej bramy; ostatnie dźwięki dzwonów zęgały nas u wejścia, a radość świąteczna, wiosenna, pełna otuchy w życie, przepęlniała wszystkie serca i spromieniała twarze.

Szedłem obok Mili, której drobną rękę ująłem w łokiu, aby się z nią łatwiej precisnąć po pod dzwonnice kościelną — choć szliśmy już teraz wolną ścieżką, przez łąkę, delikatne paluszki nie cofnęły się z mej dłoni, trzymałem je tak miękko, ostrożnie, jak trzymałbym uwięzionego ptaka.

Szedłem radosny i silny, jakby nie ten sam, jakim się czułem jeszcze przed kilkoma dniami, jeszcze wczoraj. Fala wzruszeń nie odczuwanych tak dawno, a tryskających z krynicy najczystszych uniesień, przepłynęła mi przez duszę i zmyła ją, jak deszcz wiosenny zmywa z kurzu zwarzone spiekotą liście. — Przecież to święto było dla całego świata, a więc i dla mnie także! — przecież nic nie dzieliło mnie od tych dzwonów, tych pieśni, od tego drewnianego kościółka, garnącego wszystkich w swoje stare, kochane ściany i od tej ziemi, wezbranej wiosną — od mojej własnej ziemi — nic, oprócz kilku lat głuchego milczenia duszy, którą ocknęły nagle dzwony zmartwychwstania.

Czemu miałem wyrzekać się tego wszystkiego, co nagle wydało mi się najwyższem szczęściem i najświętszym obowiązkiem życia — przecież nic się jeszcze nie stało, nic nie przepadło! mogę stać

się nowym człowiekiem, mogę wyrwać się z teraźniejszego życia i otoczenia, w którym po moim zniknięciu ślad się zablizni, prędzej niż bruzda wygładza się na płynącej wodzie, a pozostać tu, gdzie każde miejsce puste jest wiecznie krwawiącą się raną, a każda godzina nieobecności, grzechem. Tu, gdzie nie potrzeba ciągle śmiać się i szydzić, aby samemu nie być wyszydzonym – gdzie nie jest śmiesznością kochać coś więcej, oprócz pięknej kobiety, a kobieta kochana nie usiłuje przesłonić sobą wszystkiego co miłości godne, ale owszem, słodkim uśmiechem swoim wskazuje drogę, którą iść należy ku jasnym celom.

Bławatowe oczy Mili patrzą na mnie z takim porozumieniem, jakby czytały w mojej duszy jak w otwartej książce — czy wyczytały wszystko, aż do ostatnich słów?...

Do Pani? ja do Pani pisałem te dwa ostatnie fragmenty moich podróży notatek, i miałbym je Pani wydać na pastwę, abys po nich przesunęła swoje srebrnawe źrenice i swój uśmiech zagadkowy?

Wiem, że gdyby się te biedne ćwiartki dostały do Twoich rąk, nie darowałabyś im ani jednej litery, że każde najlżejsze drgnienie mego serca, najcichszy szmer myśli, przezemnie samego niepodsluchany, Pani pochwyliłabyś w lot, z tą zręcznością, z jaką chwytasz piłki przy lawn-tenisie; przetrząsnę-

łabyś moją duszę do dna i sprawiłabyś sobie intelektualną ucztę — moim kosztem.

Nie Pani -- na fundowanie Ci takich przyjemności nie stać mnie dziś, bo jestem bardzo biedny — taki biedny, jak człowiek, który się obudził ze snu słodkiego i rozgląda się zdziwiony i rozoznaje, że mu się śniły rzeczy dziwnie piękne i dobre i szczęśliwe, i dziwnie podobne do rzeczywistości — ale nie rzeczywiste. Wszystko niby jest tak wokoło mnie, jak było w moim śnie — niema tylko tej słodyczy i blasków, tych marzeń i nadziei, które nawet w śnie, cudnym snem dopiero były.

Wczoraj, Antoś i Mila długo chodzili po ogrodzie, ścieżkami błyszczącymi w słońcu jak złote wstążki, bo je na dni świąteczne wysypano żółtym piaskiem.

Patrzyłem na jasną sukienkę i granatowy płaszczyk z kapturkiem mojej dziewczynki, migający poza ciemnymi pniami drzew — i myślałem, co jej powiem, gdy powróci — jak wezmę ją za rękę i wprowadzę w ten raj, stworzony dla nas obojga jej błękitnymi oczyma, do którego sam, bez jej przyzwolenia, nie śmiem wejść nawet myślą, ale do którego serce mi bije radością, jak dzisiejsze wielkanocne dzwony.

I czułem już, jak moja sasanka rumieni się pierwszym rumieńcem miłości i bezwiednie chyli się ku mnie, coraz bliżej, bliżej... choć rączka jej

drobna drzeć zaczyna w moim uścisku jak spłoszony ptak, a odpowiedź, o którą proszę, to rwie się ku mnie z modrej głębi jej oczu, to znów, zakłębiona, cofa się poza rzęsy złotawe, poza powieki delikatne, trzepoczące się niespokojnie, jak rwane wichrem śnieżne płatki kwiatu — cofa się w samą głąb serduszka, które nie rozumie jeszcze ani siebie, ani mnie, ani życia.

Nie wiem, jak długo stałem tak i patrzyłem i myślałem, aż wreszcie Mila i Antoś powrócili z ogrodu. Przynieśli ze sobą masę fiołków i promienie słoneczne w oczach i w uśmiechu. Nie widzieli mnie wcale, bo patrząc na siebie tylko, poszli wprost do rodziców — a potem powiedziano mi że są narzeczonymi... i zbudziłem się z mojego snu.

.

Dzwonią na nieszpór — inaczej jak rano. Słońce zachodzi — jakiś cień chłodny, surowy, mówiący o szronach zstępuje na ziemię. — Czy ucieknę od tych cieni i od tych dzwonów — które jednak wołają, choć innym już głosem?

Czy ucieknę? —

Gdzie? — do obcych stolic, w których gwar cudzoziemskiej mowy i sztuczny śmiech głuży podszepty własnej duszy — do chińsko-japońskich buduarów — do stóp Twoich, Pani?...

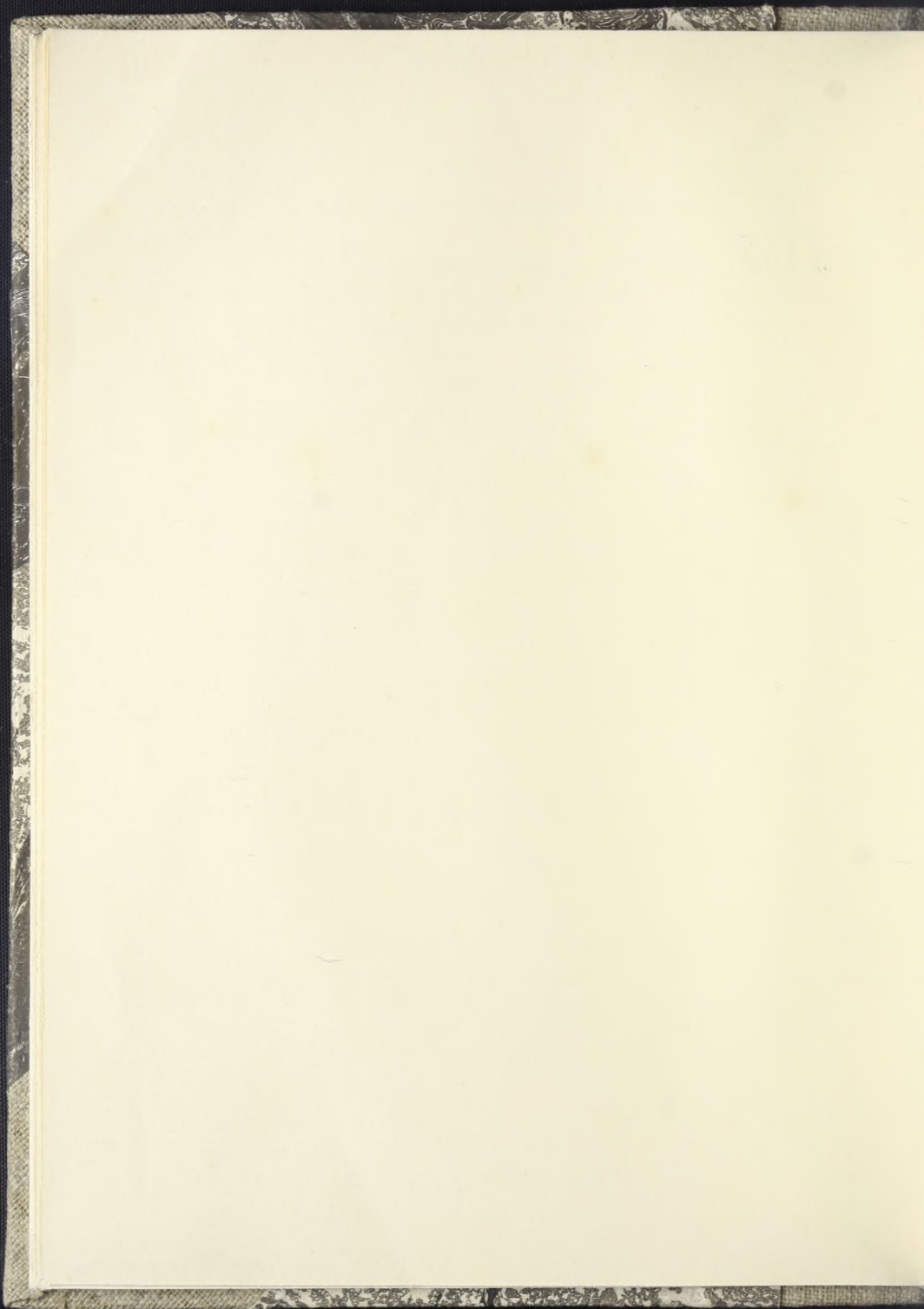
Mila weszła, za nią Antoś i rodzice i wszyscy.

— Na nieszpór dzwonią — pójdziemy, bracieczku?

Pójdziemy, siostrzyczko — pójdziemy jedną drogą, choć nie razem — i choć nie ręka w rękę, staniemy przecież kiedyś u tego samego, jasnego celu.

Chodźmy — dzwony wołają.

JEŽ



Rozmaicie w biurze bywało. Czasem roboty tyle, że ledwie nadażyć można, i papierosa niema kiedy wypalić, — innym razem znowu, od biurka do biurka, przelatają nieustannie koncepta, śmiechy, ten i ów sadzi się na dowcip, niewybredny wcale, — ot, aby zabić czas i nudę biurowego bezrobocia.

W dniach takich zwykle jeden z kolegów padał ofiarą wesołości innych — trudno, taki już zwyczaj biurowy, — trzeba się z czegoś śmiać, a nie zawsze jest z czego, zatem próbujemy z kogoś — i to się zwykle udaje, bo tępy dowcip najlepiej się wyostrza na bliźnim,

— Panie Kotulski, pójdzie pan dzisiaj na bibkę?

— Ja się pana nie pytam, gdzie pan idzie — odrzuca chmurnie Kotulski.

— Jak Boga kocham, wartoby iść. Dziś są imieniny mojej ś. p. prababci, mógłby pan na to

konto coś nam fundnąć, — przecie imieniny nie codzien.

— Co tam twoje imieniny! prababcia już pewnie zapomniała sama, jak się nazywała. Ale pan Kotulski będzie wkrótce obchodził jubileusz swego paletota, to nas wtedy śniadańko nie minie.

— To się wie! będziemy palce lizać — prawda panie Kotulski?

— Możesz pan lizać i dzisiaj, to nic nie kosztuje — wybuchął Kotulski, którego te żarty, krążące wiekuiście koło jego pularesu, do pasyi doprowadzały.

Dlatego to zapewne inni znajdowali w nich takie upodobanie — »naciągać Kotulskiego« należało do szyku, i lada jaki, świeżo przyjęty młokos, po paru tygodniach praktyki w biurze, oryentował się w sytuacji i poruszał kwestyę mitycznej »bibki«.

A Kotulski przez dwadzieścia lat biurowej pracy, ani razu nie dał się naciągnąć na zafundowanie komu jednego kieliszka — co prawda i sam żadnych »fund« nie przyjmował — nie pił — może tak samo i nie jadł, bo nie widziano nigdy, gdzie i kiedy się posilał.

Wyschnięty był jak mumia, a skóra układała mu się wokół skroni i ust w takie surowe, gniewliwe fałdy, jakby przez te usta nigdy nie przeszło życzliwe słowo, jakby z ocz, głęboko schowanych

pod brwiami, ani jeden cieplejszy promień nie padł na serce bliźniego.

Nie szafował też istotnie życzliwością względem kolegów i zasługiwał w całej pełni na nadany mu przydomek »Jeża«. Nie zaczepiany, nigdy nie mięszał się do biurowych pogadanek, a po skończonych godzinach pracy, tak spiesźnie wysuwał się z biura, jakby się bał, że któryś zechce mu w drodze towarzyszyć! — Zbyteczne strachy! nie wielka przyjemność iść w parze z Jeżem, a i honor nie większy, bo jego jubileuszowy paletot w zimie, a w lecie marynarka, z którą — zdaniem Balniewicza — musiał już dawno obchodzić srebrne wesole, płoszyły młodych elegantów, skuteczniej jeszcze, niż nachmurzona mina właściciela.

— Ciekawa rzecz, gdzie on lokuje swoje oszczędności, bo że nie u krawca i szewca, to pewno! — mawiali koledzy.

Co prawda, nie bajonkie to tam mogły być, te oszczędzone sumy, bo Kotulski nie miał szczęścia do przełożonych równie jak i do kolegów; to też stale pomijano go przy awansach i mimo wytrwałej pilności, a wcale nie złych kwalifikacji, trzymano w randze niższego, manipulacyjnego urzędnika. Ale ta niesprawiedliwość nie korciła nikogo — dla Jeża, prowadzącego takie marne życie i to co miał, musiało być aż nadto wystarczającym.

— Albo to jemu żona — albo dzieci? — taki

chwast samotny, nieużytek, niepotrzebnie tylko innym miejsce na świecie zabiera i chleb odjada — mawiał Balniewicz, najwytrwalszy przeciwnik Kotulskiego, z miną taką, jakby mu w domu żona i ze czworo dzieci z głodu piszcząło. — Dotąd wprawdzie nie miał ich jeszcze — ale miał za to inne wydatki, nieodłączne od kawalerskiego żywota i w długach siedział po uszy.

W cukierni, kawiarni ani też na spacerach nie widywano Kotulskiego nigdy — czasem tylko, jego chuda, zgarbiona postać wysuwała się jak cień lichy z jakiejś wązkiej, ciemnowej uliczki; ostrożnie, chyłkiem przemykała się popod kamienice, i na pierwszym zakręcie niknęła znowu, w ciemnych czeluściach miejskich.

Jeż, jeż prawdziwy! — nie lubili go szczerze — a jednak...

— Panowie, Jeż umarł — oznajmił dziwnym głosem Balniewicz, wchodząc do biura.

— Umarł? — jakaś pustka, jakiś chłód powiały nagle na wszystkich. Umarł — to dziwne — taki się zdawał zdrów... to jest, nie, nie bardzo, ale zawsze — wczoraj jeszcze naciągali go na bibkę, a dziś... umarł.

— Wczoraj wieczór umarł — całkiem nagle, na serce.

— Na serce? to także! — On na serce! — Ha no! natura ma swoje zboczenia i komplikacje.

Pracowali z godzinę w milczeniu.

— Idziemy na pogrzeb? — zagadnął jeden z kolegów.

— No, rozumie się — zawsze pracował z nami tyle lat. Zresztą, jeśli nie my, któż tam pójdzie na ten pogrzeb?

— Oczywiście, nie wypada inaczej — trzeba iść, in gremio.

— A ja zaproponowałbym... — Balniewicz zająknął się, lekko zmieszany — zaproponowałbym, żeby podług zwyczaju złożyć coś na wieniec. Nie mieliśmy do nieboszczyka wielkiej sympatii, ale co tam dziś... Zresztą zwyczaj, poczucie ludzkości panowie... ja daję trzy korony.

— Disci! wieniec być musi — i to nie byle jaki. — Przecież: stary urzędnik, jużby mu się i emerytura patrzyła — niech tam i dyrekcya beknie z parę białów; dosyć mu naobcinała należnych gratyfikacyi.

Nazajutrz po trzeciej, zebrali się w kawiarni Leona, aby razem iść na pogrzeb — dwaj najmłodszy praktykanci mieli nieść wieniec, opatrzony w długie fiołkowe wstęgi z napisem: »Od kolegów«.

Nie wszyscy się stawili — współczucie, obudzone wczoraj tym nagłym zgonem, już miało czas zblednąć i zatrzeć się trochę innemi wrażeniami, to też i z przybyłych, niejednen myślał tylko o tem, jakby się wywinąć od towarzyszenia pogrzebowi

na sam cmentarz. — Ostatecznie tylko dwaj, obciążeni wieńcem, praktykanci, podjęli się wytrwać do końca tej uciążliwej pielgrzymki. Nieliczny orszak pogrzebowy, — ale cóż — gdy się jest całe życie Jeżem...

Wbrew przewidywaniom, »nora« biednego Jeża, którego adresu nikt nie znał za życia, nie mieściła się w ciemnej, zatęchłej dziurze, ale w uliczce, odludnej wprawdzie i cichej, jednak pełnej słońca i zieleni, bo ją w znacznej części tworzyły niskie dworki, otoczone ogródkami, których drzewa bielily się teraz kwieciami, jak ślubny bukiet oblubienicy.

Pod oknem mieszkania nieboszczyka, na rozwijającej się dopiero topoli, wróble prowadziły głośny rozhovor — a tyle tam było tych szarych ptasząt, aż się pod nimi ugięły smukłe gałęzie. Chwilami cała gromadka zrywała się w błękity, albo biła o gzyms okna, jakby chcąc zajrzeć do wnętrza.

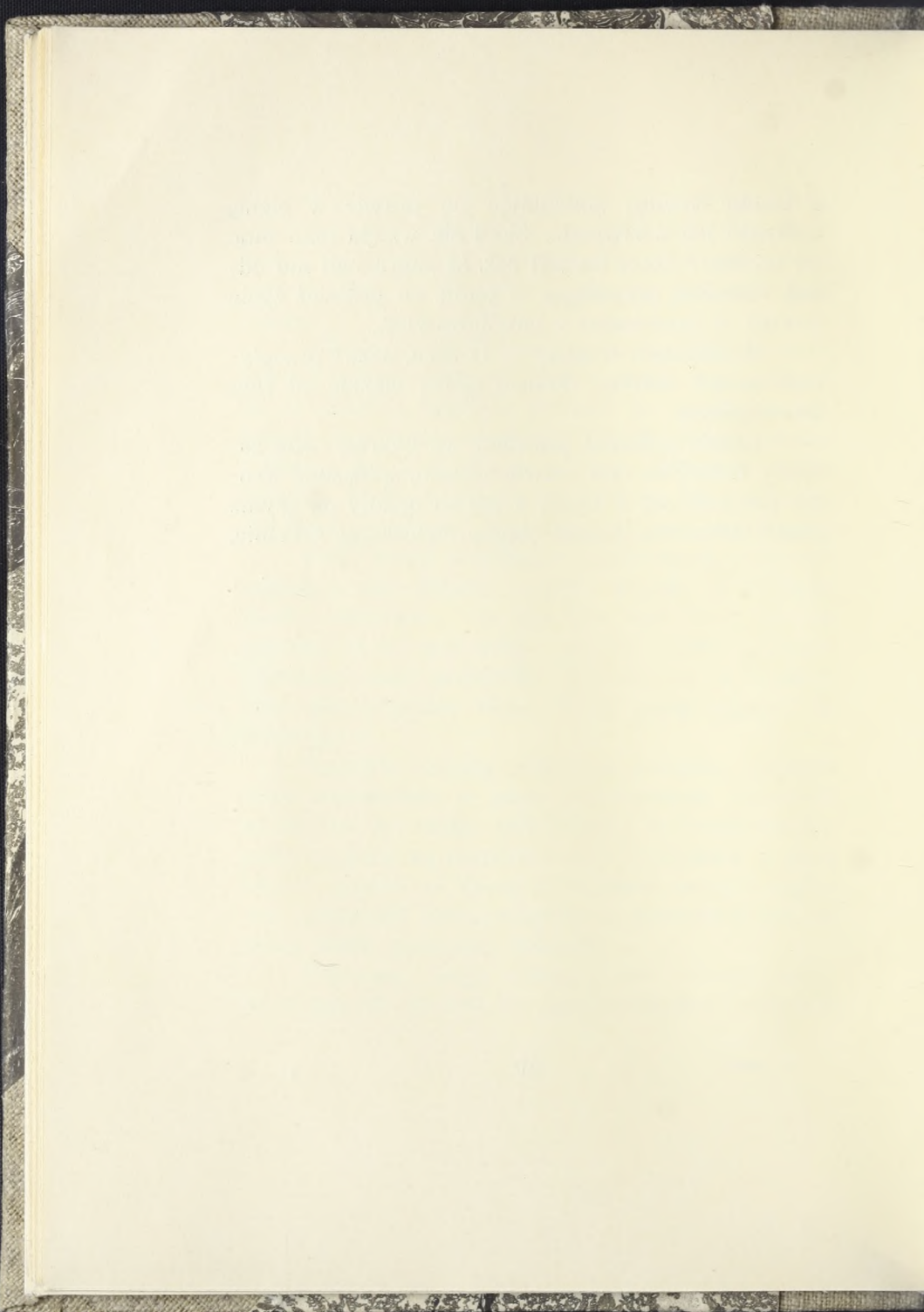
Szczupła garstka zebranych kolegów przybyła nieco zawczasie, a może karawaniarze marudzili po drodze, bo ubogi wóz żałobny w kwadrans dopiero pojawił się przed domem. Tymczasem z głębi uliczki, gdzieś od strony przedmieść, zaczęły napływać gromadki ludzi, mizernych, spracowanych, ot, takiej sobie szarzyzny ludzkiej.

Pierwszy, drugi, dziesiąty nie zwrócił uwagi oczekujących panów, ale gdy gromadka wzrastała

z każdą chwilą, zmieniając się prawie w ciżbę, ogarnęło ich zdziwienie. Skąd się wzięła taka moc tej biedoty? czem im był Jeź, że zapragnęli mu oddać »ostatnią przysługę« — jemu, co przecież życie strawił w samotności i samolubstwie?..

Wyniesiono trumnę — O Jezu, Jezu! przepłynęło ponad szarym tłumem ciche, ciężkie od żalu westchnienie.

Ksiądz pojechał przodem we fiakrze, wóz żałobny ruszył za nim prawie kłusem, spłoszone wróble porwały się z topoli, a potem opadły na gzyms przed otwartem, pustem oknem, ćwierkając żałośnie.



W PROMIENIU SŁOŃCA

THE PROMISES OF SCRIPTURE

Chowali ją przez całą zimę w szczelnie zamkniętym pudełku, a teraz wyruszyli wszyscy razem, uroczystym pochodem do ogrodu, ażeby wybrać dla niej miejsce odpowiednie, wystawione na promienie słońca, a bezpieczne od wichrów i deszczu.

Kazio przyrodnik, którego w tym roku czekała matura z klas realnych, niósł ją ostrożnie na dłoni, przypatrując się z zajęciem lśniącej, brunatnej powłoce, okrywającej tę istotkę, na pozór martwą, a w głębi drgającą życiem. — Tuż obok niego postępowała piętnastoletnia panna Lola, objawiająca wiele współczucia dla losów poczwarki, którą białe jej paluszki dotykały zlekka i jakby z pewną obawą, przesuwając się przytem miękko po dłoni studenta.

Taką była pierwsza, najmłodsza para — za nią postępowało w nieładzie całe młode towarzystwo, zebrane licznie pod gościnnym dachem pań-

stwa Żmirskich na czas świąt wielkanocnych. Wszyscy śmieli się i rozmawiali wesoło — humory ożywione sutem śniadaniem i tymi złotymi promieniami słońca, płynącymi dziś potokiem całym z nieba, szukały ujścia w pogadance swobodnej, pełnej żartów, takiej, jaką prowadzić mogą tylko ludzie bardzo młodzi a związani ze sobą już całym szeregiem wspólnych wspomnień.

Wieleż bo oni Wielkanocy spędzili już tak razem, w tem samym, zaprzyjaźnionem ze sobą kółeczku! co się nachodzili na Rezurekcyę do sąsiedniego miasteczka, ścieżkami, osychającemi ledwie z zimowej wilgoci! A wiele naoblewali w poniedziałki! wiele naszukali pierwszych fiołków! — Pamiętali wszyscy i taką Wielkanoc, kiedy do kościoła trzeba było pojechać sankami, a zamiast fiołków do przybrania święconego, na szybach wykwitły białe paprocie i błyszczące szronem gwiazdki, przy których pisanki i baranek wielkanocny wyglądały tak dziwnie. — Oh, narzekali też wtenczas wszyscy na ten marzec niegodziwy, co się koniecznie być styczniem upiera! zdawało im się, że im mróz zupełnie humory powarzył — aż litując się nad nimi, ciocia zasiadła do fortepianu, i we cztery pary przetańczyli od obiadu do dwunastej w nocy, z tym zapałem, jaki obudzić mogą tylko pierwsze lekye tańca, pierwszy czarny tużurek, pierwsza sukienka, sięgająca już po kostki, opinająca wysmukłe

zarysy figurki, nie dziecinnej już, a jeszcze nie kobiecej, najwdzięczniejszej może w tej porze przełomu.

Dzisiaj, to wszystko jest już dla nich tylko miłym wspomnieniem — są to ludzie, w swoim przekonaniu, zupełnie dorośli i dojrzały — połowa tych kawalerów posiada już fraki — panna Lola i Zosia w tym roku kończą pensyę, a czarnooka Julia Żmirska już się od kilku miesięcy obchodzi zupełnie bez guwernantki, i czuje się z tego bardzo dumna i jeszcze bardziej szczęśliwa. Dziwić się jej zadowoleniu, mógłby chyba ten, co w przeciągu ośmiu lat edukacji nie miałby, tak jak ona, do czynienia z trzema demoiselles Marie, jedną Freülein Margarethe i dwiema Miss Alicyami.

O, już to biedna Julcia nie miała szczęścia do guwernantek, ani guwernantki do niej — ich chęci, zapatrywania, gusta różniły się tak stanowczo, że ile razy nauczycielki zamierzały wziąć się do lekcji, pannę Julię natychmiastowo jakieś ważne i pilne sprawy powoływały w najdalszą część ogrodu, w najciemniejszy kącik strychu albo piwnicy.

Na takiej grze w chowanego z guwernantkami, urozmaicanej niekiedy rzadkim wybuchem pilności, a znacznie częściej jawnym buntem z jej strony, upłynęło Julci ośm lat życia — chwała Bogu, że to już poza nią! teraz czuje się swobodną, wolną jak ptak! nikt jej nie upomina, nie napędza do książki, nie wkłada jej w rękę robótek, które dla niej mają

jeszcze mniej uroku, aniżeli historia sztuki lub literatura. Pierwsza to w jej życiu taka rozkoszna Wielkanoc, w ciągu której może po dniach całych, wraz z nieodstępną Zosią i Lolą, przybyłemi do niej ze Lwowa kuzynkami, dotrzymywać towarzystwa swoim trzem braciom i najstarszemu z całej gromadki, p. Władysławowi, słuchaczowi medycyny, który czekając, aż nadejdzie dla niego pora niesienia ratunku cierpiącej ludzkości, używa tymczasem ferii świątecznych, rąbiąc się z przyjaciółmi na pałazie — przesadzając konno płoty i rowy dla popisu przed panienkami — i bujając je pod niebiosami na sznurowej huśtawce, przyrządzonej na prędcę za pomocą szlei, przyniesionych ze stajni.

Biedny ten pan Władysław! on ma w tym roku egzamina, wymagające dużo pracy, i już dziś po południu, w trzeci dzień Wielkanocy, opuścić musi wesołe kółko przyjaciół i tę wieś cudowną, słoneczną, tchnącą tysiącem woni nieujętych jeszcze, nie skryształizowanych w zapach ziół i kwiatów, ale płynących z łona ziemi, jak oddech piersi młodej, wezbranej życiem.

Trawniki niby jeszcze szare, drzewa bezlistne, ale w przejrzystym błękitnie nieba, w promieniach słońca, gorących już i takich złotych, w śpiewie skowronka, wyfruwającego z pod czarnej bruzdy; gra nieprzerwanem echem jedno tylko słowo: wiosna — wiosna!

Słowo to jaśniej i na twarzach ludzi, błyska w ich spojrzeniu, osiada uśmiechem na ustach. Nie tylko młodzi odczuwają jego urok — oto, pod ścianą oficyn, wystawioną na południowe promienie, usiadł na drewnianej ławeczce staruszek, mały, zgarbiony, z twarzą, pokrytą całą siecią gęstych, drobniotkich zmarszczek. Wszystkie te zmarszczki zdają się w tej chwili drgać radością — kiedy, wyciągając wychudłe ręce na spotkanie ciepłych blasków słonecznych, powtarza sam do siebie, z jakimś dziecinnym uśmiechem: Wiosna.

A jednak, w twarzy tego starca jest wyraz jakiś w pół śpiący czy obumarły, którego już najświeższe tchnienie wiosny nie spłószy mu z czoła — oczy błękitne, jaśniejsze od lazuru niebios, wydają się równie szklane, pogodne, nie ożywione żadną myślą. Węzły, łączące go z zewnętrznym światem, już się zerwały od lat wielu — widzi wprawdzie, słyszy, nie zawadzając nikomu żyje wśród gwaru rodzinnego kółka — ale nie chłonie w siebie otaczających go obrazów i głosów — z głową spuszczoną, z oczyma bezmyślnie utkwionemi przed siebie, zdaje się wciąż wsłuchany w szepty własnej duszy, którym odpowiada cichemi, niezrozumiałemi nikomu słowami.

Uśmiecha się przytem często — widać, że w to łagodne obłąkanie, którem jest dotknięty, mieszają się jakieś wspomnienia szczęścia.

Młoda gromadka, dążąca do sadu, a raczej na inspekta, gdzie obmyślono właśnie wynaleść letnie mieszkanie poczwarcze, przechodzić musi obok tej ławeczki, na której szarzeje, dobrze znany wszystkim, kożuszek wuja Joachima. Zbliżając się doń, mimowolnie zniżają głos, a przyspieszają kroku, radzi ominąć jak najprędzej tę ławeczkę, która wydaje im się jakimś cieniem, plamą, rzuconą na złote tło życia, śmiejącego się do nich w tej chwili tak rozkosznie.

Przechodzą prędko, odwracając trochę głowy, ale popielata sukienka Juli dotyka zlekka wyciągniętych nóg starca, który nagle drgnął, podniósł oczy i obiema rękami pochwycił końce długiego, niebieskiego szala, który ją osłaniał:

— Halka? ty jesteś Halka? — szepnął z uśmiechem przez wpół tylko nieprzytomnym, a przez wpół wyrażającym bezmierną tkliwość i uszczęśliwienie.

Ciemne brwi młodej dziewczyny ściągnęły się odrobinę i żywy rumieniec oblał jej brzoskwiniowe policzki.

— Nie, ja jestem Jula, siostrzenica wujcia — odparła prędko, próbując uwolnić końce swego szala z przytrzymującej je dłoni.

Ale ręce starca już się i same rozplotły, uśmiech znikł z jego twarzy, ustępując miejsca żalosoj zadumie.

— Szkoda, żeś ty nie Halka! — westchnął boleśnie — masz takie same ciemne oczy i popielatą sukienkę — myślałem, że to ona.

Opuścił głowę — młodzi oddalili się prędko, zmieszani trochę i osmuceni tem drobnem zajściem.

— Czemużeś mu nie powiedziała, że jesteś Halka? coby ci szkodziło zrobić mu przyjemność.

— Tak, dziękuję ci! i potem musiałabym godzinę siedzieć obok niego, udając tę Halnę, która już od trzydziestu lat nie żyje. Myślisz, że to przyjemnie być nieboszczką!

— To przecież dziwne — jakto można kochać się tak bardzo, żeby potem z rozpaczy aż zwaryować — szepnęła Zosia, wpadając w głębokie zamyślenie nad tą zagadką psychologiczną, której treść zaczynała coraz to bardziej wypełniać jej szesnastoletnie dumania. — Julciu, czy ty to rozumiesz?

— Nie rozumiem — odparła krótko Julia, znacznie mniej wrażliwa na wszelkie sercowe sprawy, a przytem oswojona już od samego dzieciństwa z romantycznym szaleństwem biednego wuja Joachima. — Ta miłość, to zupełnie niepotrzebna rzecz — ja się z pewnością nigdy w życiu kochać nie będę.

— Oho!...

— Zobaczysz.

Podniosła głowę z wyrazem dumy, jak gdyby, pewna zwycięstwa, wyzywała do walki świat cały.

— Co p. Zofia ma zobaczyć? — odezwał się w tej chwili tuż poza niemi męski głos.

— Że się Jula nigdy kochać nie będzie — odparła niedyskretna Zosia, udając, że nie czuje lekkiego szturknięcia kuzynki.

Władysław rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę Julci, jak gdyby chciał stwierdzić, czy te słowa rzeczywiście wyszły z jej ust — ale ona przybrała w tej chwili minkę, bardzo widocznego niezadowolenia.

— Zosia głupstwa mówi — zawyrokowała, czerwieniąc się aż po włosy, i pobiegła naprzód, do otwierającego pochód Kazimierza.

— Gdzie ją położymy? — spytała, wskazując poczwarkę.

— Zdaje mi się, że najlepiej na jednym z okien inspektowych — będzie jej sucho a ciepło.

Furtka, prowadząca do sadu, skrzypnęła na zardzewiałych jeszcze z zimy zawiasach. Edmuś — znany ze swej galanteryi najstarszy z braci Żmirskich — pchnął ją silnie i przytrzymał otwartą dla panienek, które z pewną ostrożnością przekradać się musiały wążutkiem, jak dłoń, suchem przejściem. Wzdłuż całej ścieżki, biegnącej ku inspektom, tu i owdzie przeblyskiwała jeszcze woda; wilgotne opary, przyjęte zapachem świeżej ziemi, przepelniały powietrze; gałęzie jabłoni i starych gruszczyń odcinały się czarno, jakby rysowane węglem na błękitnem tle nieba, tylko w głębi sadu, przy pło-

cie, jedyne drzewo dereniowe złociło się już kwiatem jak złota kopuła.

Na inspektach za to, wiosna była posunięta o olbrzymi krok naprzód — agrest i porzeczki zieleniły się w najlepsze, w skrzyniach inspektowych sałata, rzodkiewka krzewiły się bujnie, jak w czerwcu, a rozpięta na parkanie brzoskwinia jaśniała już jednym, blado-różowym kwiatem, za przykładem którego i inne pączki miały już wkrótce otworzyć swoje brązowe powieki.

Kazimierz złożył pudełko z poczwarką na jednym z okien inspektowych, w najgorętszym blasku słonecznych promieni. — Doskonale jej tu będzie! — powtarzał z zadowoleniem, ciesząc się swym pomysłem.

Reszta towarzystwa otoczyła go dokoła, pochylając się z zajęciem nad heroiną dnia, która nieświadoma zaszczytu, jaki ją spotykał, zachowywała stale pozór kawałka niedopalonego cygara.

— No, chłopcy, po święconem trzeba ruchu, który z nas to przeskoczy? tylko równemi nogami, bez rozpędu — zagadnął w tej chwili Sewer, trzeci brat Juli, wskazując dużą kadź, wkopaną w ziemię i do połowy napełnioną wodą.

Zamiast odpowiedzi Władysław usunął go lekko na bok i równemi nogami, bez najmniejszego na pozór wysiłku, przesadził beczkę, nawet razem z sąsiadującą z nią, blaszaną konewką.

— Brawo doktor! pierwsze rygorozum z gimnastyki zdałeś »suma cum laude« — oby ci dalsze równie dobrze poszły!

— Jabym skakał, gdybym był lżej ubrany — w tej zimowej marynarce i tak mi za gorąco — usprawiedliwiał się Edmund, któremu nie bardzo w smak poszedł tryumf medyka i huczne brawo, jakim wszystkie trzy panienki nagrodziły jego zręczność.

— A może która z dam ma ochotę spróbować? prosimy! to tak łatwo — przecież lada mężczyzna to potrafi — ciągnął dalej Sewer, wiodący zawsze podjazdową wojnę z płcią niewieścią. — I cóż, nikt nie spróbuje?

— Ja! — odezwała się w tej chwili Jula, śmiało występując naprzód. Oczy jej błyszczały, rumieniec zapału ożywiał twarzyczkę — nie daremnie przecież tylekroć razy gonila po ogrodach, przeskakując rowy i grzędy, byle jak najdalej uciec od głosu nawołującej ją nauczycielki — czuła się lekką i mocną jak młode źrebie; pokaże tym chłopcom, że niekoniecznie potrzeba być doktorem medycyny, aby przeskoczyć taką prostą beczkę z wodą. — Z wyrazem śmiałego postanowienia podstąpiła nad brzeg kadzi: Raz, dwa, trzy!...

Nagle uczuła silne ujęcie dwóch rąk, które schwyciły ją wpół i cofnęły o parę kroków. — Nie pozwalam! — szepnął Władysław tak energicznie,

jakby chciał całą potęgą swojej woli powstrzymać ją od ryzykownego przedsięwzięcia.

Julcia zmierzyła śmiałka piorunującym spojrzeniem — oczy ich spotkały się i obojgu uderzył na twarz rumieniec. Władysław opuścił ręce, jękając niewyraźne tłumaczenie :

— To szaleństwo... takie próby nie są przecież dla pań.

— Przepraszam panią! — dodał ciszej jeszcze i bardzo błagalnie, widząc, że odwróciła od niego zapłonioną twarzyczkę.

Nie odpowiedziała ani słowa, ale choć wolna teraz, zdawała się nie myśleć już o wykonaniu swego śmiałego przedsięwzięcia; schyliła się i zaczęła przywiązywać do drewnianej kraty wiotką gałązkę brzoskwini, którą wiatr uwolnił z pętów.

— Czemużes jej nie pozwolił skakać — mruczał Sewer — w tej beczce nie ma wody, jak po pas, w najgorszym razie można się trochę skąpać.

— Tak! i dostać zapalenia płuc — odrzucił Władysław, mocno podrażniony.

— Ale! od czegoż jesteś doktorem — byłbyś umiał zapobiedz złym skutkom tej panińskiej fantazyi.

Julcia nie zdawała się bynajmniej zadowolona, że osoba jej dostarczała przedmiotu do rozmowy — była przekonaną, że scena, rozegrana pomiędzy nią

a Władysławem, okryła ją w oczach wszystkich śmiesznością.

Jak on śmiał powiedzieć jej tak stanowczo: nie pozwalam! — a ona jak mogła usłuchać go odrazu, jak jakiego guwernera albo opiekuna? gniewała się sama na siebie, choć czuła w głębi duszy, że nie usłuchać go, wtenczas, byłoby dla niej niepodobieństwem. Popatrzył na nią tak dziwnie, tak inaczej niż patrzył całe życie — taki się zdawał zatruwony, a potem znowu zmieszany. Do tej chwili jeszcze czuła na sobie jego oczy, takie błagalne, przy słowie: przepraszam! — Gdyby popełnił największą zbrodnię, nie mógłby chyba przepraszać pokorniej i goręcej.

— Moi państwo, róbcie co chcecie, ale my z kuzyneczką Zofią pójdziemy na fiołki — nieprawdaż? — rzekł Edmund, zwracając się do zwykłej swej towarzyszki w spacerach, i z grzecznością wykształconego już w stolicy dżentelmana, podał jej ramię.

Ona, złożyła na niem małą rączkę skwapliwie, choć z pewną nieśmiałością — zastanawiająca ją zagadka psychologiczna: do jakiego stopnia można się zakochać? — zdawała się dla niej krystalizować coraz wyraźniej w postaci pięknego akademika, który tak troskliwie prowadził ją wąską ścieżką, omijając sterczące na niej korzenie i wyniosłości, i jedностajną przestroję: Uważaj, kuzyneczko —

umiał wyrażać z coraz to nową, coraz słodszą wibracją głosu.

Wybrany przybytkiem fiołków, gdzie one najwcześniej i najobficiej zakwitały, był mały kawałek trawnika, staczający się pochyle ku grządkom warzywnego ogrodu. I teraz już — mimo wczesnej pory — tu i owdzie błyskała szafirowa główka kwiatu, może przed paru godzinami ledwie zbudzonego do życia.

Całe towarzystwo zajęło się gorliwie zbieraniem, ubiegając się o to, kto złoży większy bukiet. Julcia tylko, zerwawszy zaledwie kilka fiołków, stanęła oparta o pień starej gruszy, wpatrzona w błękitne źrenice kwiatów. — Jak to ładnie mieć takie fiołkowe, czysto-fiołkowe oczy — dziś dopiero zauważyła, że naprawdę są na świecie oczy takie.

— Niech się pani ze mną zamieni — poprosił Władysław, zatrzymując się obok niej i podając jej swoją wiązanke.

— Zamienić się? dlaczego?

— Na znak... na znak, że się pani już na mnie nie gniewa — proszę panią!

— Ależ ja się nie gniewam — z pewnością — ale jeżeli panu o to chodzi...

Przystąpili do zamiany, ale poszło im to niezgrabnie, Władysław nie umiał wziąć tak pożądaných mu kwiatów, długo wyjmował je z białych paluszków, a objąwszy nareszcie w posiadanie,

przypatrywał im się tak, jak gdyby nigdy jeszcze fiołków nie widział.

Nagle schylił się i urwał wykwitającą u stóp stokrótkę.

— Chce pani spróbować? — szepnął nieśmiało, podając jej kwiatek.

— Co takiego? — rumieniec zdradzał, że wiedziała dobrze, o co mu chodzi.

— Spróbować... czy panią kocha? — uśmiech i spojrzenie fiołkowych oczu starczyły za odpowiedź dziesięciu stokrótka.

Julcia wzięła kwiatek i zaczęła skubać białe płatki, szepcząc: kocha, trocha, serdecznie, statecznie, wcale nie!... zakończyła z wyrazem lekkiego zawodu, rzucając towarzyszowi pełne wyrzutu spojrzenie, jak gdyby czyniła go odpowiedzialnym za wyrok kwiatu.

Władysław wyrwał jej prawie z ręki, ogołoconą z płatków łodyżkę i rzucił ją z gniewem na ziemię.

— Kłamie! — wykrzyknął z oburzeniem, uderzając nogą w murawę.

Po tym wybuchu zaległo milczenie tak kłopotliwe, że byliby oboje chętnie przystali na trzęsienie ziemi, lub jakikolwiek inny kataklizm, któryby ich wyrwał z tego trudnego położenia. Ale gdzie tam! ziemia pod ich nogami ani drgnie — dokoła cichuténko, nawet listek na drzewie się nie ruszy — bo

żaden nie wyrósł jeszcze tej wiosny, — co tu powiedzieć, jak zagadać w takiej ciszy, w której cała natura zdaje się patrzeć na nich i podsłuchiwać, co oni też jeszcze powiedzą sobie mądrego.

O, bo Julcia ma głębokie poczucie, że jest w tej chwili bardzo niemądra, a nawet zaczyna się sama sobie trochę dziwić: ona, taka śmiała, co nigdy nie straciła rezonu nawet wobec imponującej »Freülein Margarethe«, dlaczego teraz stanęła jak trusia przed tym p. Władysławem, którego przecież nie obawia się ani trochę — którego zna tak dawno.

Ale, czy aby naprawdę jest to ten sam dobry jej znajomy, z którym się tyle nabiegała po ogrodzie, naśmiała, nasprzeczała nieraz? — Podobny niby do tamtego, ale Julci wydaje się, że zrobił się jakiś inny; coś się w nim zmieniło od chwili, kiedy taki wylekniiony rzucił się, aby ją powstrzymać od niebezpiecznego skoku i powiedział jej: nie pozwalam! tonem takim, jakby rzeczywiście miał prawo domagać się od niej posłuszeństwa. Co on też myśli sobie o niej, gdy tak stoją oboje oparci o jedną gałąź gruszy, ona z oczami spuszczone w ziemię, on patrzący na nią — czuje to doskonale, choć nie ma odwagi przekonać się o tem na własne oczy.

Podobno najmądrzej byłoby odejść już stąd i połączyć się z resztą towarzystwa, która w poszukiwaniu fiołków oddaliła się znacznie — ale

Julcia nie ma jakoś wcale ochoty podążyć za wszystkimi — co tam fiołki! tutaj tak dobrze, tak jakoś jasno i miło!

— Julciu, Julciu! czy słuchasz wykładu medycyny? może będziesz potem mogła wytłumaczyć mi, co to jest udar sercowy? — zaśmiała się nagle, tuż za nimi, ta nieznośna Lola ze swoim niepowściągliwym języczkiem, mierząc ich przytem oboje wzrokiem szyderyczym, jakby powiedzieć chciała: Mnie nie wyprowadzicie w pole!

To wiadome — oczy Loli widzą zawsze wszystko, i nawet więcej niż wszystko — jej się zdaje, że na wylot zna świat i ludzi, że tylko spojrzy, a już wie, kto się w kim kocha. Jednego tylko kuzynka Kazia jakoś wybadać nie może, czy jest w niej samej zakochany, czy też nie — ale tego dojść trudno, bo ona mu plecie o kwiatach, o sercu, o gwiazdach — a on jej na to o związkach chemicznych, o roślinach, o wymoczkach — i tak nieustannie, od chwili, gdy się zjadą, aż do samego wyjazdu.

Czas wracać już, niezadługo obiad podadzą, może nadjedzie kto z sąsiedztwa, a panienki dotąd w rannych sukienkach — i przeczesać się przecież trzeba, pokarbować pukle, zburzone wiatrem.

— Ale pani, nie zapnie dziś warkoczów? — szepcze Władysław Juli, gdy rozmowa zesłała na kwestye toaletowe.

— Nie wiem jeszcze, zobaczę — odpowiada obojętnie i niby z wahaniem, choć w głębi duszy już postanowiła, że jej warkocze będą sobie dzisiaj swobodnie bujać na plecach — nie można przecież tak drobnego ustępstwa odmawiać komuś, co dziś odjeżdża i nie wróci tu już aż chyba w lipcu, po egzaminach — Boże, jak to daleko do tej chwili! całe wieki.

Obiad długi, świąteczny, urozmaicony toastami — wszyscy śmieją się, trącają kieliszkami; Julcia tylko siedzi cichsza, niż zwykle, obrotny jej języczek próżnuje, jak gdyby nie rozumiała drobnych docinków, którymi zaczepiają ją złośliwi braciszkwowie. Rzeczywiście, ona ich prawie nie słyszy; przed oczyma jej unosi się ciągle obraz cichego, bezlistnego ogrodu, przepojonego nawskróś złotym blaskiem słońca; pod powieki jej wsuwa się spojrzenie dwojga fiołkowych oczu, któremu towarzyszy cichy, słodki szep: — Niech pani spróbuje, czy panią kocha.

Słońce już zachodzi; niebo i ziemia stają się różowe, a dym, który wązką smugą wypływa prosto w górę, z komina oficyn, wydaje się purpurowo złoty. Czerwonym blaskiem także jaśnieją wszystkie szyby w oknach, i zebrani w tej chwili na ganku goście i domowi, przysłaniają rękami oczy przed rażącymi promieniami zachodu.

— Bądź zdrow!

— A niech się pan okryje burką, bo w polu chłodno.

— Prosimy pamiętać o nas w czasie wakacyi.

— Szczęść Boże, przy egzaminach!

Takie okrzyki żegnają Władysława, stojącego już na bryczce w podróżnym płaszczu, i zamieniającego uściski ręki z młodymi przyjaciółmi. Ostatni ukłon jego i ostatnie spojrzenie biegną poza słup ganku, do którego przytulona, przez wół nim zakryta, stoi Julcia. Ona jedna nie mówi nic, ale czarne jej oczy patrzą na odjeżdżającego tak słodko, z takim żalem, że mu to znacznie osładza gorycz pożegnania.

Nareszcie Walek zaciął konie. — A pojeżdżaj na gościńcu, bo się spóźnicie! — woła p. Żmirski, i w chwilę potem bryczka, uwożąca młodego medyka, skręca poza ogród i znika im z oczu.

Szkoda — młode kółko czuje się osmucone i jakby rozbite ubytkiem tego jednego towarzysza. — Co tu teraz robić bez niego, jaką wymyśleć zabawę?

— Wiecie co, chodźmy na inspekta zobaczyć co się dzieje z poczwarką — może na noc zabierzemy ją do pokoju — proponuje Kazimierz i wszyscy chętnie przyjmują jego radę.

Znowu, tak jak rano, spieszą tą samą drogą do sadu; tylko że teraz mniej już blasków słonecznych, szarawy cień spowija cały ogród, i biały tuman mgły, płynący ponad łąką, przejmuje ich lekkim chłodem. Trzeba koniecznie poczwarkę wziąć do pokoju.

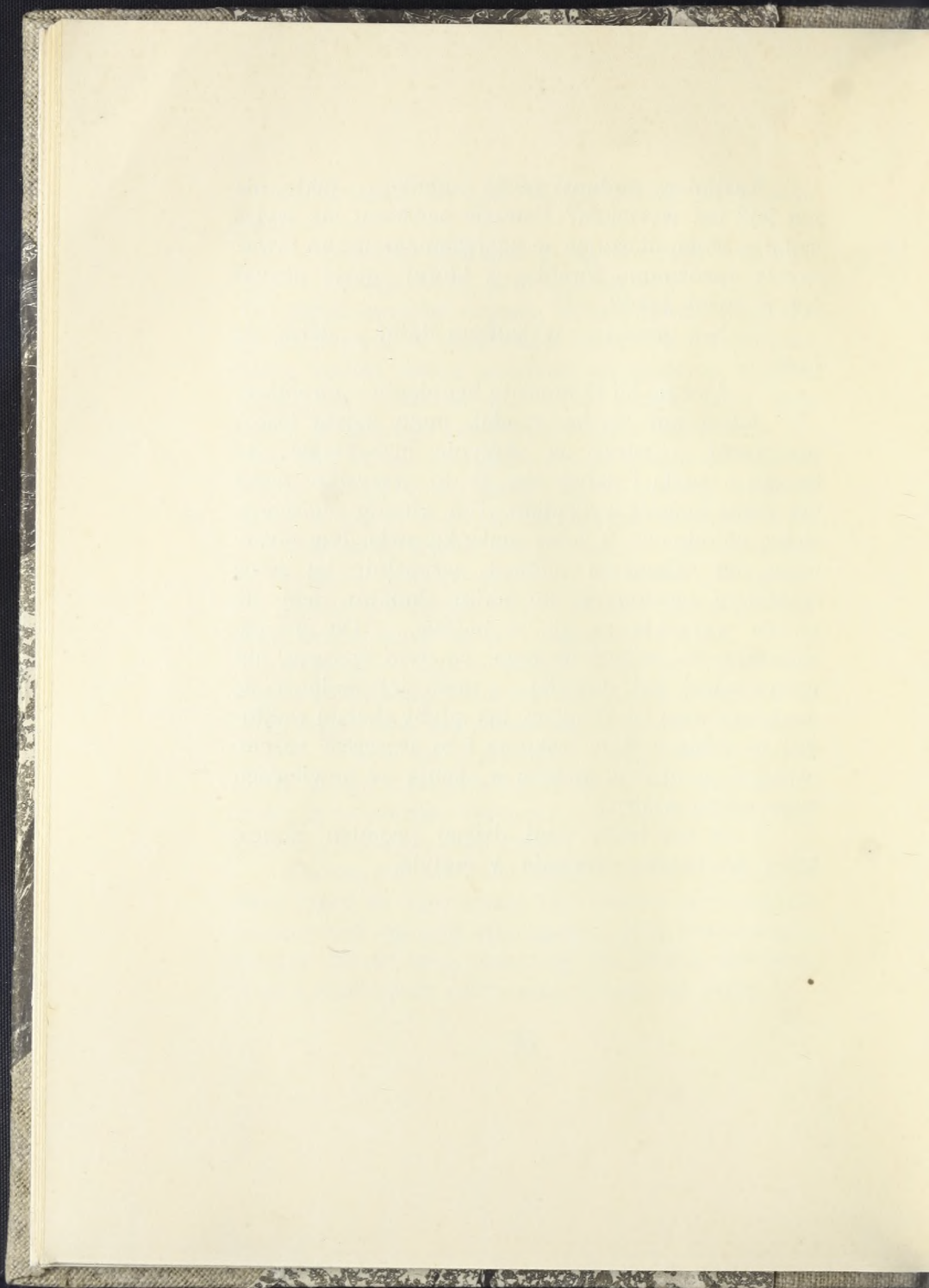
Kazimierz podnosi puste pudełko. — Jakto, nie ma jej? już wyleciała? Patrzcie państwo: już wyleciała! — woła, ukazując ze zdziwieniem oczom towarzyszy opróżnioną torebkę, z której motyl uleciał już w świat daleki.

— No, proszę — w jednym dniu! — dziwi się Lola.

— Ależ bo jej tu musiało być ciepło — na słońcu.

Julcia stoi trochę opodal, mało zajęta losem poczwarki — patrzy na skrzynie inspektowe, na beczkę z wodą i dziwi się, że to wszystko zrana tak jakoś inaczej wyglądało. Ten wieczór wiosenny, cichy, chłodnawy, z jedną maleńką gwiazdką, błyszczącą na sklepieniu niebios, przepelnia jej serce smutkiem ogromnym, ale takim słodkim, żeby się go nie wyrzekła za nic w świecie. — Oh nie, nie chciałyby się wrócić do tego, co było wczoraj, ani pozawczoraj, ani dawniej — pierś jej podnosi się westchnieniem tak długim, jak gdyby chciała wchłonać w siebie całą tę tęsknotę i to szczęście razem, płynące pomiędzy niebem a ziemią w powiewach wiosennego wiatru.

I na nią także padł dzisiaj promień słońca, który poczwarkę zamienia w motyla.



SPOWIEDŹ

NO. 100

Październik — nieszpór — dzwon kościelny
rozbujał się w starej dzwonnicy; tak bije piersią
spiżową o chłodne, błękitne powietrze — tak woła
z sił całych na ten nieszpór październikowy, na ró-
żaniec, co ma paść do stóp Maryi, niby sznur na-
wleczonych na nitkę, krwawych paciorków jarzębiny.

Inaczej bije, innym głosem woła to serce
dzwonu, w ciche majowe wieczory, gdy nad wez-
braną życiem ziemią płyną echa skowrończych
i słowiczych pieśni, i odbłaski słońca, co w zmierzch
liliowy otula purpurową tarczę, aby ją na jutro
w gorętszy żar rozpalić — i wonie kwiatów, które
w miękkich płatkach tulą zawiązek przyszłego
owocu. Takim wieczorom i dzwony kościelne grają
radośniej — ich pieśń płynie ku niebu pełną pogodą
dziękczynienia, nadziei, mocy — a w październikowy
wczesny zmrok, gdy nagie pola drżą pod haftem
sronu, a słońce, chowając się za widnokrag, nie wie

już, czy mu jutro danem będzie równie jasnym
wybłysnąć uśmiechem — i pieśń dzwonów jękliv-
sza, wezbrana niepokojem, zrywa się ze starej dzwon-
nicy ku błękitom, co już może ścinają pierś pierw-
szym dreszczem, już się może chmurzą, gdzieś
w oddali, pierwszym cieniem śnieżnej zawieruchy.

— Tam! tam! — wołają dzwony i nateżają
siły, aby jak najwięcej serc ludzkich dźwignąć z tej
ziemi burz i szronów, krótkich wiosen, długich, po-
sępnych zim, w krainę wiekuistego słońca, ciszy
i radości.

Za pierwszym uderzeniem dzwonu, ks. Eusta-
chy — młody, świeżo mianowany wikary — wyszedł
z plebanii i podążył przez mały, trawą porośły
a złotymi liśćmi klonów usłany dziedzińczyk, ku
otwartym drzwiom kościółka. Gdy mijał wrota go-
ścińca, zatrzymał się właśnie przed niemi, od dru-
giej strony, parokonny wózek, z którego sam ks. pro-
boszcz, pogodny, i mimo przebytej sześćdziesiątki,
krzepko jeszcze wyglądający, żwawo wyskoczył na
ziemię.

— Niech będzie pochwalony! — księżę Eusta-
chy, dobrze się nam jutrzejszy dzień zapowiada —
ks. Gronicki obiecał kazanie i asystencyę przy nie-
szporach — p. Kielarzewska, nasza zacna kolatorka,
co o domu Bożym nigdy nie zapomina, ofiarowała
mi dziesięć, własnoręcznie zrobionych, sztucznych
bukietów na ołtarz Najświętszej Panny — podobno

na Nowy Rok antypedium i obrus haftowany przysposabia — a bractwo Różańcowe, już lada dzień doskłada fundusz, potrzebny na odmalowanie kaplicy. Przyozdobi się nasz kościółek na chwałę Bożą i na pociechę serc ludzkich.

— Chwała Bogu! Chwała Bogu! — przywtórzyl gorąco, choć cichym głosem ks. Eustachy.

— A kazał też ks. wikary wnieść trzeci konfesyonał?

— Trzeci?...

— A no, jakże? ja w swoim, jak zawsze, żeby moje »dzieci« łatwiej do mnie trafiły — przed ołtarzem Serca Jezusowego ks. Gronicki, boć zawsze gościowi i starszemu wyższe miejsce przynależy — a ks. wikary przecież także po rannej mszy św. zasiądzie w konfesyonał — toż przecie odpust parafialny, a jeszcze teraz jubileusz — Bóg łaskaw, sprawi, że nie zbraknie jutro gości u Jego stołu.

Ks. Eustachy pochylił głowę — blada, niezmiernie słodka i ascetyczna twarz, pobladła bardziej jeszcze — oczy czarne, ciche, najczęściej spuszczone ku ziemi, podniosły się na proboszcza, rozgorzałe trwożną prośbą.

— Księżu Proboszczu, czy... koniecznie jutro już? dwóch was będzie — jam jeszcze taki sił własnych niepewny. Chciałbym jeszcze pracować, chciałbym mądrości Bożej nagromadzić w pierś własną, własną duszę otrząsnąć z ziemskiego pyłu, nim

stanę jako sędzia cudzym sumieniom, jako przewodnik cudzym duszom.

Proboszcz schmurzył się.

— Myślisz ks. Eustachy, że który z nas, kiedykolwiek własnych sił pewnym być może? — rzucił nieco porywczo — że mądrość Bożą zdolniśmy zamknąć w piersi i czerpać z niej, podług woli, na użytek bliźnich? Nie — my tylko Łaskę Bożą uprosić sobie możemy — Ona to, przez usta nasze spływa w serca, które pragniemy dźwignąć ku niebu. To nie my mówimy. — Bóg mówi przez nas — czegoż się trwożyć? — Bądź gotów jutro na siódmą godzinę.

— Wola wasza księżę proboszczu — szepnął posłusznie ks. Eustachy — i gdy proboszcz zwrócił na ścieżkę, wiodącą ku plebanii, on wszedł w pustą kruchtę kościoła.

Główna nawa mroczna była, cicha; w bocznej kaplicy różańcowego bractwa, kościelny, kagankiem, osadzonym na długim kiju, zapalał świece, trzymające straż przed obrazem Maryi — w miarę jak światła wybliskiwały szeregiem, coraz to jaśniej wylaniała się z mroków, słodka twarz Najświętszej i Jej Dzieciątka — i sznur koralu, zdobiący Jej szyję, i wieniec drobnych ubogich wotów, zawieszonych ponad obrazem, a rzucający nań srebrny odblask tych wylanych tu łez, tych wymodlonych cudów.

Ks. Eustachy ukląkł w kącie poza filarem — i ukrywszy twarz w rękach, modlił się gorąco. Od dwóch miesięcy dopiero był księdzem — takim żarliwym a takim pokornym sługą Pańskim, co chwale Bożej pragnął służyć każdym technieniem swej piersi, każdym najcodzienniejszym, najdrobniejszym uczynkiem, a równocześnie z takim nabożnym lękiem i oniesmieleniem przystępował do pełnienia swych kapłańskich obowiązków, nowych mu jeszcze, przygniatających go przeogromem swej doniosłości, i świętych, świętych takich, że ledwie śmiał ich dotykać czystymi skrzydłami swej gołębiej duszy.

Nie spowiadał jeszcze nigdy — parafia była mała i nieliczna, ludzie zajęci pracą w polu, jedynie w święta garnęli się do konfesyonału, a wtedy on odprawiał sumę, zaś ks. proboszcz sam spowiadał i rozgrzeszał swoje »dzieci«. To też, gdy młody wikary przedstawiał sobie w myśli, że i on kiedyś zasiądzie w tym trybunale, jako sędzia braci swoich, jako przedstawiciel Bożej sprawiedliwości, że będzie musiał patrzeć w najkrwawsze rany, najczarniejsze męty grzechów, i że z mętów tych, nadludzką mocą Sakramentu, paru słowami rozgrzeszenia, on — człowiek sam grzeszny jak i drudzy — wyzwać będzie dusze swych braci i białe jako śniegi posyłać je do Stołu Pańskiego — ogarniał go zawsze bezmierny lęk — straszna trwoga przed tą odpowiedzialnością, którą z sere cudzych miał

brać na serce własne. »Komu rozwiążecie więzy grzechów, będą rozwiązane, komu zatrzymacie — będą zatrzymane«; za cudze zbawienie on będzie odpowiedzialny przed tronem Boga — i to jutro, już... jutro.

Ludzie wracali od roboty. Zwołani głosem dzwonów, bliżsi lub pobożniejsi mieszkańcy wsi schodzili się na nieszpory, zwolna zapełniając różańcową kaplicę. Ks. Eustachy otrząsnął się ze swych dumań i poszedł do zakrystyi przybrać się w kościelne szaty.

Chłopięciem jeszcze będąc, miał dziwne nabożeństwo do tych różańcowych nieszpórów — w wietrzny jesienny wieczór, kościół ciepły i cichy, z ołtarzem, jarzącym od świec, z harmonijną pieśnią organów, co łączyła głosy ludzkie i prowadziła je do stóp Maryi — wydawał mu się jakąś przystanią niezmierną, jakimś akordem światła i modlitwy, rzuconym w wycie jesiennych wichrów, w ciemność chmurnej nocy — akordem, co miał nieść przed tron Boży całą nędzę, tej pogrążonej w mrokach ziemi. Wiele też łask wymodlił sobie już ks. Eustachy w czasie różańcowych nieszpórów — nawet, pierwsza myśl obrania duchownego stanu, zbudziła mu się w duszy na dźwięk tych październikowych, nieszpornych dzwonów. Tak — to »Królowa różańca« wezwała go na służbę Bożą, Ona wspierać go będzie, ilekroć ta służba zbyt wielkim na słabe ramiona opadnie ciężarem.

»O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryo!« — modlił się ks. Eustachy, a głos jego łagodny, nieco przyciszony, wzbijał się jednak nad wtórujący mu szmer modlitewnych głosów, jakby w tej harfie serc ludzkich był najczystszą struną.

.....

— Boże! Boże! co z tym naszym ks. wikarym utrapienia doznać trzeba! — biadała Maryanna, stara gospodyni proboszcza, kręcąc się po czyściutkiej, małą lampką oświetlonej jadalni.

— Alboż co? cóż Maryannie znowu nie w ład? — zapytał proboszcz, podnosząc oczy z nad gazety.

— Jakto: co mi nie w ład? A komu mają być w ład takie porządki? ósma godzina, kolacya stygnie, a on jeszcze w kościele i modli się. Posyłałam Warchałowskiego, stukał się po ławkach, chrząkał, ponoś nawet kluczami dzwonił — gdzie! ani się obejrzy — klęczy i modli się, jakby to akurat była najlepsza pora.

— Trudno, moja Maryanno — do modlitwy wtedy najlepsza pora, kiedy człowieka serce ciągnie do Boga. Takiej ochocie grzech przeszkadzać!

— Ale! niby to jegomość całe życie nie był księdzem, jak Pan Bóg przykazał — nie pamiętał to i o chwale Bożej, i o parafianach, i o sługach kościelnych (Maryanna do tych »sług« kościelnych zaliczała przedewszystkiem sama siebie, wyznaczając sobie rangę pośrednią między organistą a za-

krystyanem), a przecież tak, poza czas, nigdy, bywało, się nie modlił. Nie mówię, broń Boże, żebym się tam przeciwiała nabożeństwu — owszem, i sama pójdę i pomodłę się, ale jak już po wszystkim, ludzie wyszli, świece pogaszone, co tak jeszcze wyśiadywać w kościele, gdy tu kolacya marnieje.

— Eh, ujdzie jeszcze dla nas — uśmiechnął się proboszcz; — słudzy Boży jesteśmy, nie powinniśmy myśleć o własnych wygodach, tylko o chwale Bożej; ks. wikary nam w tem, świątobliwy przykład daje.

— Eh! zachnęła się gospodyni — świątobliwość świątobliwością, a nie daj Boże, żebyśmy mieli wszyscy wyglądać jak ks. wikary — dobry i cichy jak obrazek — nie zaprzeczam mu — bez żółci, bez duszy, ale czy to Pan Bóg i ludzie długo będą mieli z niego pożytek? Chyba, że się tu odżywi, jeżeli go ks. proboszcz upomni, żeby miał trochę uważania na kolacyę.

— Dobrze, dobrze, Maryanno! — Ale ot, już i idzie ks. wikary. Poproście go, żeby was tak długo przy kominie nie zatrzymywał.

— Ej, nie do tego się mówi; gdziebym zaś miała ks. wikaremu o taką drobnostkę głowę mroczyć! ot, gadam, aby się gadało — tłómaczyła się Maryanna, którą na widok wchodzącego ks. Eustachego, cały zaczepny rezon opuścił.

Dziwne to było — ten nieśmiały, młodziutki ksiądz, zawsze łagodnie zamysłony i sam każdemu

ustępujący z drogi, obudzał jednak w prostych sercach i umysłach swych parafian takie uszanowanie, jakby był wysokim dygnitarzem kościelnym — kanonikiem albo i biskupem. Stare kobiety litowały się nad jego bladością i anielskim wyrazem, i przepowiadały, że świętym zostanie; to też i dziś już w modłach jego, w mszach św. i innych nabożeństwach, przez niego odprawianych, wielką pokładano ufność.

— Księżę Eustachy, nie jesz nic, a przecie i tak już w tobie duch silny, a ciało mdłe — zauważył żartobliwie proboszcz, podsuwając wikaremu półmisek.

— Nie, ks. proboszczu dobrodzieju — zaprzeczył łagodnie młody ksiądz — ciało za wolą Bożą wytrzyma, byleby duch mu sprostał.

I smętny uśmiech, zakończony półwestchnieniem, przesunął się po bladej, cichej twarzy.

.....

Nigdy jeszcze nie miał ks. Eustachy nocy tak ciężkiej, jak ta ostatnia — ogarnęło go nagle jakieś poczucie słabości i nędzy własnej, a ogromu i świętości podjętych obowiązków, dochodzące do bólu, do rozpacz. Jakiem prawem stanął tak śmiało w szeregu najwybrańszych sług Bożych — on, co się czuł najniższy, najslabszy duchem z pomiędzy wszystkich? Podjął się nauczać, prowadzić, uświęcać drugich, a czy był do tego zdolny? czy porwa-

nie się do takich zadań nad siły, nie było pychą, za którą teraz słusznie spadała na niego taka bezmoc i trwoga?...

Podniósł oczy na twarz Maryi — na twarz pogodną jak niebo, do którego była Bramą i Drogą dla wszystkich serc, tak wiernych, jak i błądzących. Nie, Ona nie opuści go dziś właśnie. Ona, ta Ucieczka grzesznych, stanie przy nim i poprowadzi sama do nieba te dusze, którym on nie potrafi dość wyraźnie wskazać drogi zbawienia — wszakże to Jej święto, Jej jubileusz, kto dziś w Jej imię zakołacze do miłosierdzia Bożego, nie będzie odepchniętym na wieki.

Pokrzepiony tą wiarą, jednak ze wzruszeniem i lękiem, zapierającym mu oddech, z szumem w głowie i ciemną mgłą przed oczyma, ks. Eustachy po raz pierwszy w życiu wstąpił w konfesyonał i zasunął się w cień dębowych kratek. Położył przed sobą książkę do modlitwy, ale zapatrzone w łacińskie głoski, nie widział ich — modlił się sercem o tę moc i mądrość Bożą, której tak bardzo potrzebował na dzień dzisiejszy. W tej chwili zajaśniała mu otuchą myśl, że przecież są na ziemi dusze niewinne i czyste, które nawet w najtajniejszych głębiach nie kryją zbrodniczej ciemni grzechów — których śnieżną białosć przysnuwa ledwie cień ludzkiej słabości, rozwiewający się jak mgła pod pierwszym technieniem modlitwy i skruchy. Może Bóg ze-

szle mu takie właśnie dusze na tę pierwszą, ognio-
wą próbę — może nie każe mu sądzić ciężkich
grzechów, On, co widzi jego własną słabość i nędzę.

Dzieci — wszakże i dzieci się spowiadają —
może takie właśnie, niewinne serce dziecka pochyli
się przed nim pod rosą rozgrzeszenia, która padnie
raz pierwszy z jego grzesznych, drżących onieśmie-
leniem ust.

Ogarnięty tą myślą, ks. Eustachy oparł czoło
na rękę i skupił się we wspomnieniach. Przypomi-
nał sobie pierwszą swą spowiedź — tę chwilę, co
na widnokregu jego dzieciństwa miesiące gorzała
płomienną gwiazdą grozy — aż mu się w cudny,
wiosenny ranek, w mrocznym krakowskim kościele
przeobraziła w splot słonecznych promieni — co
jego łekliwą, dziecięcą duszę tak długo uciskała
trwogą, aż jej nagle dała wzlot ponad wszystko, co
dreczy i trwoży — olśniła ją przecuciem niebiań-
skich radości, napoiła wiekuistym pragnieniem ta-
kich uniesień.

Kto go wtedy spowiadał, że mógł mu kilku
słowami tyle nieba rzucić w duszę? uczony, co
ogarnął i zrozumiał całą mądrość i wszechmoc
wiary? — czy Święty, który jej miłością rozgorzał
w płomień? — czy tylko prosty i cichy sługa Boży,
trwający wiernie na strażnicy, na której go Pan
postawił, nie wchodzący w targ pomiędzy słabością
sił własnych a ogromem Boskich rozkazów.

Kościół zaczął zwolna napływać tłumem ludu — odpustowe, czerwone chustki i świąteczne sukmany mieniły się barwami, zasypywane z góry tęczą błasków, przekradających się przez kolorowe, wprawione ponad ołtarzem okna...

Ks. Gronicki odprawiał śpiewaną wotywę — dokoła konfesyonału proboszcza ludzie cisnęli się, i gdy po komunii kapłana, dzwonek zawezwał pobożnych do Pańskiego Stołu, kwadrans cały panowała w kościele uroczysta cisza, przerywana tylko westchnieniami skruszonych serc i srebrnym głosem dzwonka, przypominającym blizką obecność Pana nad Pany.

Konfesyonał ks. Eustachego, cofnięty w boczną kaplicę, zgubiony w mrokach, nie nasuwał się oczom ludzkim i nikt dotąd nie przerwał cichych rozmyślań wikarego. Wotywa skończyła się — za pół godziny rozpocznie się suma — może i nikt do spowiedzi nie przyjdzie?

Nagle owiało go blizkie tchnienie czyichś ust i niewyraźny szept: — W Imię Ojca i Syna...

Ksiądz drgnął i odwrócił się — przez kratę konfesyonału patrzyły na niego oczy blade, niespokojne, z powiekami obrzękłymi od łez i czerwienią pozostawionych przez nie, krwawych obwódok — usta zwiędłe, oprawne w sieć zmarszczek a jeszcze dygocące namiętnością, — bełkotały niewyraźnie jakieś słowa urwane, jakieś skargi, czy prośby. —

Ks. Eustachy odmówił krótką łacińską inwokację, przysłonił twarz stulą i spowiedź się rozpoczęła.

Stara wieśniaczka dawno nie stawiała swej duszy przed sądem Bożym. Kiedy spowiadała się po raz ostatni? — nie pamiętała — czy odprawiła zadaną pokutę? nie pamiętała — nie wiedziała nic, nie rozumiała, o jakie ją grzechy pytał ksiądz — może popełniała je czasem — może codzień — nie pamiętała. — Wiedziała tylko, że miała na swoim życiu jeden okropny grzech, co ją lata całe dławił dzień po dniu, w każdym kęsie strawy, a po nocach stawał przy niej zmorą i oczu zawrzcć nie dawał — i to wiedziała, że teraz odpust, wielki odpust Matki Boskiej, co ma i najgrzeszniejsze dusze ratować od ognia piekielnego...

Czy odprawiała już Jubileusz? nie, nie odprawiała nic, ale odprawi, wszystko odprawi, co jej każą, byle nie iść do piekła, bo tam Pana Jezusa niema, i Matki Najświętszej niema, a Ona jedna ją ratuje jeszcze czasem. — Ona wie, że to za syna wszystko, za jedynaka, Stefanka, — żeby nie Ona, ta Różańcowa, co i z najgrzeszniejszych ust pacierz przyjmie i zmiłuje się nad każdym i troska o każdego, to jużby chyba lepiej na dzień studni leżeć, niż tak po świecie się tulać, stare kości wlec po obcych chatach, po stryszkach, po pustych stodołach. Pewnie, że lepiejby było i spokojniej raz sobie śmierć zrobić, tylko że do piekła strach iść, bo

tam ani Pana Jezusa, ani Najświętszej Matki, ani Stefanka nie będzie.

Plątały się w kółko bezładne wyrazy, wyszeptywane głosem urywanym, świszczącym, niekiedy zawodliwym, jak pogrzebowa pieśń. Ks. Eustachy natężał słuch i myśl, i łowił duszą każde zadrżenie tego głosu, każdy bezwiedny okrzyk tego sumienia, co się zdawało wic w męce wyrzutów, a nie umiało nawet wypowiedzieć swego grzechu i żalu, nie umiało wyjąć ostrza z krwawiącej się rany.

— Jaki to był grzech?... A toć ją otruła, otruła za swojego syna, co się powiesił na starej gruszy, pod jej obejściem. A ona nawet za trumną jego nie poszła — bogaczka! — wstydziła się znajomości z ubogimi zagrodnikami, a chłopcu życie i duszę zmarnowała na przepadłe. Duszę, to może jeszcze Najświętsza uratuje, bo przecie nie przy zmysłach był, wszyscy wiedzieli — ale za co życie stracił i ją sierotę odszedł na stare lata, na tułaczkę i przepędzanie po cudzych chatach, po stryszkach, po stodołach.

Chlipała szlochem zapadła pierś starej wieśniaczki, a ks. Eustachemu czarna noc grozy spiętrzyła się w duszy i lodem ścięła mu usta.

Zbrodniarka! zbrodniarka! — i taka nieszczęśliwa! Krew miała na rękach swych, na tych pomarszczonych, wyschłych, drżących od starości dłoniach, i krew w sercu rozdartem śmiercią jedynaka,

kwę na powiekach obrzękłych, co się z nich, razem ze łzami sączyła.

— Maryo, Ucieczko grzesznych, módl się za nami! Najświętsza Panno Dobrej Rady, módl się za nami! — błagał niemem wołaniem ks. Eustachy i twarz pobladłą zwrócił od krat konfesjonału ku obrazowi Maryi.

Kobieta mówiła dalej; mówiła nieprzerwanie, przelewając w duszę księdza ten ciężar, który lat tyle sama jedna, własną dźwigała duszą; — opowiadała, jakim był ten Stefanek, którego śmierć, choćby z utratą zbawienia, pomścić chciała — jak jej wtedy wszystko jedno było, do piekła iść czy do nieba, na zatracenie czy na chwałę — byle zgładzić ze świata ją, tę bogaczkę, co Stefanka uwodziła kochaniem trzy lata, aż z innym dała na zapowiedzi. Taka była! niechże idzie sama ziemię gryźć!

Rozburzyła się nienawiścią stara, pomarszczona twarz i wypłowiałe oczy rozgorzały w cieniu złym, żółtym ogniem, — a ks. Eustachy, słuchając tej spowiedzi bladł i drżał, jakby ten gad cudzego grzechu wpełzał mu w pierś i obejmował serce wstrętnem, ohydnym dotknięciem. Zbrodniarka! — jednak i jej trzeba niebo otworzyć, i za nią Zbawiciel umarł na krzyżu.

Zbrodniarka — a wierzy w pomoc Maryi — do Jej odpustu się ucieka biedna, obłąkana na manowcach, oslepiła bólem dusza.

— Żałujesz swojej zbrodni? przebaczyłaś w sercu krzywdę, którą »tamta« wyrządziła twemu synowi?...

Kobieta głową wstrząsnęła — nie wiedziała, czy żałuje, że zabiła tamtą bogaczkę, co jej syna straciła — tak już musiało być — i koniec — ale to tylko wiedziała, że nie mogła już dłużej tak żyć, że przyszła do spowiedzi, bo przecież i dla niej musi być odpust jakiś teraz, kiedy Najświętsza Paniienka obchodzi swoje święto w niebie i na ziemi i wszystkie grzeszne dusze za sobą do nieba ciągnie.

Powiadają ludzie, że po tym Jubileuszu ani jeden grzech nie pozostanie na ziemi taki, coby go Bóg nie odpuścił — a ją już takim piekłem pokarało tutaj — niechże się Pan Jezus i Najświętsza Paniienka zmiłują nad jej duszą. Wszystko zrobi, co ksiądz każe — wszystkie pacierze odmówi, byle już zbyć ciężaru tego grzechu — byle go nie dźwigać ze sobą na tamten świat!

Ks. Eustachy pochylił się bliżej ku kratkom konfesyonału, a na twarzy jego bladej, zdrętwiałej przed chwilą dreszczem grozy, była już znowu słodycz i cisza błogosławionych.

Mówił — spojrzenie pełne litości zwrócił na wyostrome cierpieniem i nienawiścią oblicze tej nędzarki, a słowa miłość i skrucę budzące, ciche, jasne, jak łyzy wylane nad cudzą niedolą, płynęły ożywczą rosą w jej chore serce. Kobieta, oczy sze-

roko rozwarłe, pragnące, utkwiała w kracie konfesyonału — w zdyszana pierś łowiła echa tego szeptu, który w czarną noc rozpaczy, przytlaczającej ją od lat tyłu, posyłał pierwsze promienie niebiańskiego światła.

— Tak — źle nienawidzieć... tak — i ciężko także... Pan Jezus przebaczył wszystko... i Matka Najświętsza przebaczyła męką Swojego Syna — kto chce do Niej pójść, musi przebaczyć... i żałować — powtarzały bezwiednie, drżące, stare usta, a po głębokiej bruździe policzków, łązy jedna za drugą złościły nowy ślad, nieznaney dotąd tym oczom, ciężkiej, a przecież ulgę niosącej żałości.

Z pod srebrnego wieńca pobożnych wotów, Najświętsza Panna patrzyła, jak w Imię Jej Niepokalanego Poczęcia, śmiertelne więzy grzechu opadały z duszy, odkupionej krwią Jej Syna.

— Ego te absolvo — in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti Amen.

.....

Gdy ks. Eustachy ukląkł i pochylił się ku ziemi przed złotą monstrancją, którą miał za chwilę pobłogosławić tłum — twarz jego jaśniała takim uniesieniem radości, jakby powracał od samych stopni tronu Bożego. On, sługa Boży, któremu Bóg powierzył klucze nieba i dał mu współdzielić z sobą

najwyższą, najstraszniejszą moc sądu nad duszami bliźnich — dziś dopiero poznał, jak słodko jest być narzędziem ręki Pańskiej, rozdającej wiekuiste przebaczenie.

Kościół drżał pieśnią:

»Matko Niebieskiego Pana
Ślicznaś i Niepokalana...«

GAŁĄZKA GŁOGU

LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY

Czy dziś — czy jutro — odejdziesz odemnie.
Darmo wysnuwam z serca złotą nić,
która na długość słonecznych promieni
mogłaby w życie ciągnąć się...
bez końca.

Daremnie myślę: Nie! On się nie zmieni —
I Jego życiu zabrakłoby słońca,
gdybyśmy kiedyś...

O nie! nadaremnie wmawiam to w siebie,
bo wszak wiem: bezemnie
Ty możesz żyć!

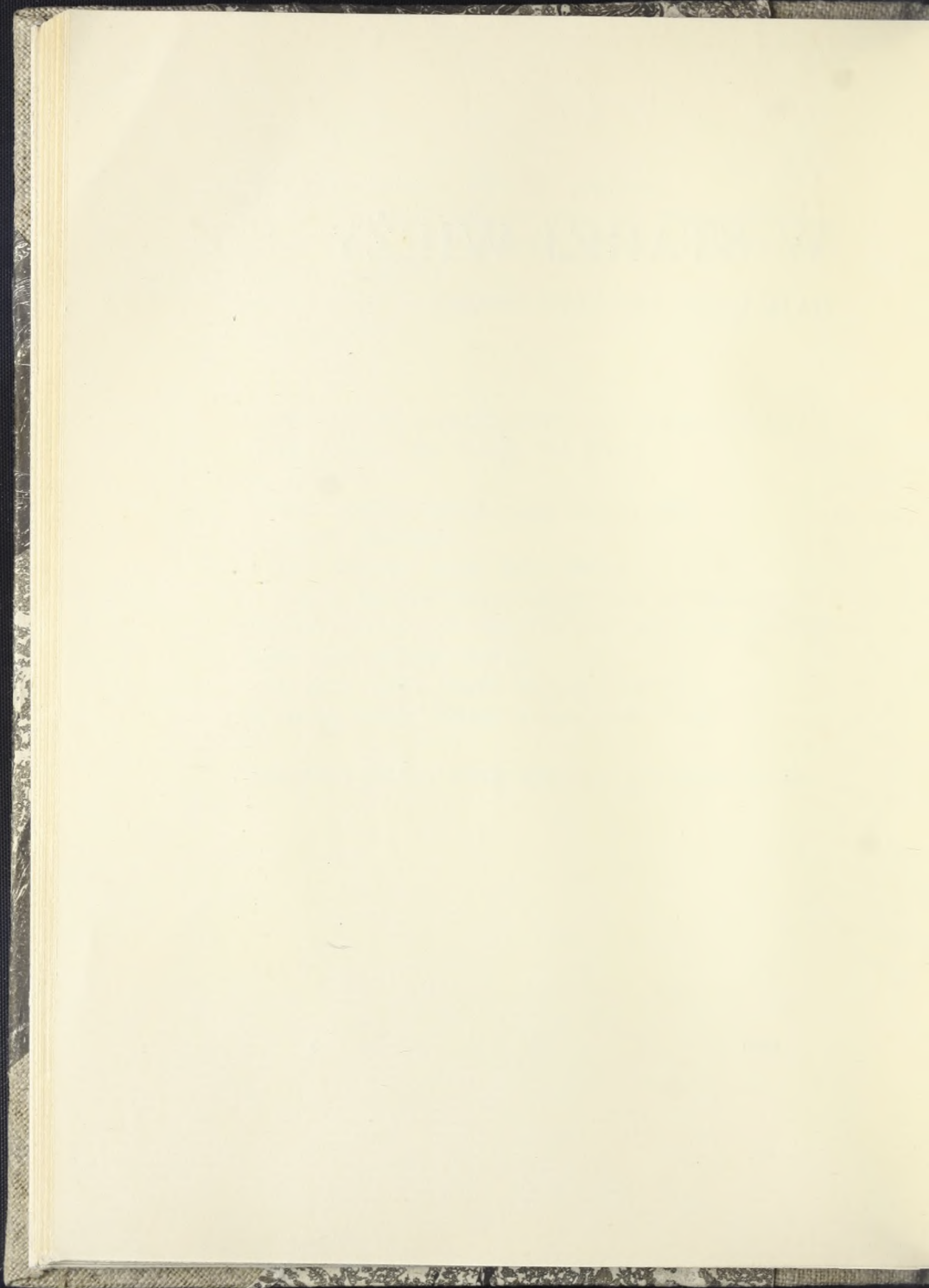
Więc dziś — czy jutro — odejdziesz odemnie.

* *

Dałeś mi gałąź głogu — zraniła mą rękę —
patrz, wiele krwi!
Niechaj splywa kroplami.

W STAREJ WIEŻY

BAJKA.



Nie daleko, nie blisko stąd, nad brzegami ogromnego jeziora, wznosiła się wieża, stara jak świat i o której mówiono, że stać będzie po skończeniu świata. Dziwne też o niej i o jeziorze, w którym się przeglądała, chodziły wieści po okolicy — mówiono, że nocami w wieży coś jęczy, czy modli się, czy płacze, a w gładkiej tafli ciemnego jeziora gwiazdy nie mogą spokojnie wykapać swych złotych oczu, bo tam na dnie coś burzy się i przewraca, i jakieś niby granie trąbki bojowej, niby echo pieśni kościelnych, płynie od fali do fali, dopiero u samego brzegu ucicha i gaśnie.

Byli nawet tacy, co na samym dnie jeziora, zamiast srebrnoluskich rybek, dojrzeć mieli jakoweś hufce rycerzy, barwne i zbrojne, i królów w złotej koronie, i niewiasty białe, jak śniegi, z sercem gorejącem płomiennie i krzyżem w ręku. Ano, czy prawdą były te ludzkie gadania — niewiadomo —

bo ten, co tu teraz panem był w okolicy, gdy się wieść taka obijała o jego uszy, zżymał się strasznie i krzyczał: — Nieprawda! nieprawda! — a że człek był zły i dziki, przytem butny i chępliwy, wciąż o swojej sile sam rozpowiadający, sąsiedzi bali się go i zamykali uszy na ciche jęki, dochodzące z wieży.

Jednak coś w tych ludzkich gadaniach musiało być na dnie, bo Knecht (tak się ów pan jeziora i starej wieży nazywał), choć się swoją odwagą przechwalał na cały świat, gdy patrzył na opleśniały mur wieżycy, miał w ślepiach dzikich takie błyski, jakie miewają tchórze na widok upioru.

Często też ze zmurszałego muru wzrok na własne ręce prznosił i migał niemi pod światło i szeptał wpół przytomnie: — Jakom żyw jest, nie ma na nich krwi! czego oni chcą odemnie? jać prawowitą władzę tylko sprawuję.

I wnet potem prostował się hardo i podnosił czoło, jak człowiek, który nikomu nie winien, a któremu wszyscy winni bojaźń, cześć i pokłony.

Pusta dosyć była okolica naokół jeziora i jakaś szarawa, smutna, tak, że nawet kwiaty nie miały tu zwykłych barw swoich, ani uśmiechy dziecięce zwykłego blasku — a przecież i nad tym krajem świeciło złote oko słońca, które dotknięciem swoim wyrzeźbia kształty i maluje kolory, boć i ta ziemia uboga i szara, pozostawała pod naj-

wyższem władaniem jasnej, słonecznej pani Sprawiedliwości, która złotem okiem na świat patrzy i każdego po równi za dziecko swoje uważa.

Oj, dobra to pani i mądra a potężna taka, że najmożniejsi władcy świata uginają przed nią głowy — to też i Knecht, na jej wspomnienie, bladł na twarzy i oczy w ziemię spuszczał — jako że sam niesprawiedliwym był i wszystkie uczynki jego niesprawiedliwe, a jednak czuł, że Sprawiedliwość i nad nim moc ma — więc lękał się jej okrutnie.

Ale że razem ze złością i chytrość wielką miał w sercu, wziął się na sposób i nad całą okolicą, której stróżowała stara wieża nad jeziorem, rozciągnął nieprzebitą, ciemną chmurę Przemocy. Teraz uczuł się już bezpiecznym — nawet złote oko Sprawiedliwości nie łatwo rozwidnić mogło krainę przysłoniętą taką nieprzeniknioną chmurą, która miała jeszcze i tę własność, że ci, co żyli w jej cieniu, dławili się, jakby im powietrza brakło i słabli z dnia na dzień, albo też dostawali oblędu i sami w szale życie sobie skracali.

Zaczęły się dla biednego kraju, położonego nad jeziorem, dni bez słońca i noce bez gwiazd — pogasły dlań wszystkie światła i pobladły barwy i cisza zaległa go wielka, bo nawet pusty dźwięk, do życia potrzebuje trochę wolnego oddechu, którego tu brakło. Kraina dusiła się i konała śmiercią powolną — za powolną dla Knechta, któremu w śle-

piach migotało ciągle dzikie pragnienie jej końca, i jakiś lęk podły przed słabem tętnem życia, które drgało tu jeszcze w falach jeziora i szmerach stuletnich drzew.

Nocami podchodził Knecht ostrożnie, pod sam spleśniały mur starej wieżycy, przykładał ruda, obrosłą głowę do wilgotnych kamieni i słuchał — a gdy niczego dosłuchać się nie mógł, tryskała mu brzydka radość ze srogiej twarzy i zęby zgrzytały śmiechem. Ale częściej bywało, że z poza starego muru i więziennej, ordzewiałej kraty, przyływały ku niemu jakieś dźwięki przytłumione a mocne, żałośnie, choć nie skarżące się, niby kołatania wielkiego, rozbolełego serca.

A posłyszawszy dźwięk taki, Knecht uchodził błady jak płótno i z kroplami potu na czole, i wzrok niespokojny zapuszczał w widnokrag na wszystkie cztery strony świata, badając, czy nie naddarła się gdzie zasłona »Przemocy«, którą ten zakątek przed okiem Sprawiedliwości osłonił.

Trwogi go napadały, ażeby [tej chmury nie przebił piorun, żeby dźwięk jaki nie przedarł się przez nią w inne światy; i w obawie przed głosami tej ziemi, które go zdradzić mogły, skazywał na śmierć wszystkie dzwonki leśne i ptaki oniemiał, lub wyganiał het, poza granice, twierdząc, że nie są stałymi mieszkańcami tego zakątka i dopiero niedawno gniazda tu swoje uwiły, więc prawa pobytu nie mają.

Porozlatywała się skrzydlata rzesza w dalekie strony — tylko z jednemi jaskółkami nie mógł sobie dać rady — bo wiadomo, jaskółkom sześć razy gniazdo zburzyć, one zawsze powrócą i na tem samym miejscu zakładać je będą, coraz tylko żałośniej ćwierkając.

Nie mógł jaskółek wygonić Knecht za światy, to im przynajmniej ćwierkać zabronił po swojemu, a pragnąc każdą okrutność swoją osłonić chytrem słowem, rzekł, iż w zamian pozwala im krakać sępiim głosem, który o wiele piękniejszy jest i donośniejszy od marnego, jaskółczego świergotu.

I muszek nie pozwolił im też łapać w obrębie jeziora, tylko wylatywać im kazał na łów daleko, poza siódme góry i rzeki, rozumując, że w tej gonitwie niejedna jaskółka życie utraci, niejednej sił zabraknie powrócić do rodzzonego gniazda.

Mądry był Knecht, tego tylko nie przewidział, że jaskółki wolą znieść głód i tę straszną niemotę, która dla nich jest najcięższym uciskiem, aniżeli gniazda swego odlecieć.

Posiadały tedy biedne, oniemiałe ptaszyny, czarnym sznurkiem na gzymsach starej wieży, i smutnemi, zamglonemi oczkami patrzyły w szare niebo lub w ciemną toń jeziora, nad którą pisać chyżem skrzydłem, nie miały już siły.

A Knecht, widząc ich ubezwładnienie, równające się prawie śmierci, zacierał ręce z radości

i coraz chępliwiej głowę do góry podnosił i pod boki się brał, zdradzając rubasznym obyczajem swoim, że wbrew całej dzisiejszej potędze, Knechtem był tylko, któremu młodość w niewoli i po służbach zesła.

O latach tych jednak pamiętać nie chciał wcale, unikał widm tego wspomnienia, tak samo, jak unikał białych cieni, powstających z mgieł nad jeziorem i tych głosów nieujętych a upartych, którymi gadała stara wieża w ciche noce.

I biegły dni za dniami, dla całej ziemi na przemiany to radosne, to smutne, jak nawiązane na jedną nitkę perły i korale — tylko dla posępnego zakątka, w którym władał Knecht, wszystkie jednako szare, bezbarwne i głuche.

Aż nadeszła wielka rocznica Zmartwychwstania, pamiątka dnia, który przed wiekami połączył ziemię z niebem i ponasiewał blasków wszędzie, gdzie dotąd krzewiły się śmierć, bóle i cienie.

I na powitanie tej rocznicy zaśpiewały chórem wszystkie piersi ludzkie i ptaszęce »radujmy się! Alleluja!« załśniły wdzięczną rosą łez wszystkie kielichy kwiatów i źrenice oczu, a dzwony rozdzwoniły się pieśnią taką, co na skrzydłach swoich podnosi serca z szarego pyłu ziemi w przejrzyste błękity niebios.

Knecht słuchał tej muzyki wszechświata z uśmiechem na grubych wargach; cieszył się, że

w ogromnym chórze radości brak jednego dźwięku, tego, którym odezwać się mogła ziemia nad jeziorem, gdyby jej głosu nie był zatłumił, gdyby jej nie był zadławił, zdusił, unicestwił.

Zabite jego nienawiścią — tą nienawiścią podłego serca, co ciężar wdzięczności, pamięć otrzymanych dobrodziejstw, odczuwa tylko jadem upokorzenia i pragnieniem zemsty — ziemia leżała cicha i martwa, a Knecht śmiał się i radował i dumnym okiem wodził po cichym kraju, w którym jego potęga zdławiła głosy dzwonów, świergot ptaków i bicie serc ludzkich — zdławiła na wieki, bez wylania kropli krwi, ot, samą tylko mocą chytrości i nienawiści.

Aż nagle, wśród tej głuchej, martwej ciszy, ze szczytów starej wieży, nad jeziorem zabrzmiał jęk, jakim płaczą pęknięte serca dzwonów, i jęk ten popłynął powietrzem i wodą, górą i dołem, bo ziemia cała oddźwiękła mu tysiącem jęków podobnych, które ułożyły się w wielkie granie smutku, obudzonego głosem cudzej radości. Aż jaskółki, ocknięte tym głosem, frunęły z gzymsów wieży, czarnymi skrzydełkami bijąc o ciemną chmurę Przemocy, drąc ją na strzępy i ewierkając z całych sił swych drobnych piersi, co przez tak długie czasy głos w sobie tłumili.

A Knecht zbieleł jak płótno, gdy stadko rozbudzonych nagle jaskółek zobaczył, bo wiedział, że

są to zwiastunki nadziei i że świergot ich słodki
może przedostać się przez wszystkie chmury i cie-
nie, aż do stóp złotego tronu Sprawiedliwości.

W starej wieży pęknięty dzwon łkał ciągle
ale już nie jękiem bólu, tylko świętą pieśnią Zmar-
twychwstania, której żadna przemoc ludzka zdławić
ni uciszyć nie jest zdolna.

GWIAZDKA BEZDOMNYCH

SYNOPSIS OF THE HISTORY OF THE

Spotkali się w ostatni dzień wpisów, na schodach Politechniki i odrazu jakoś przystali do siebie; po zamienieniu kilku pierwszych słów, doznali obaj tego miłego wrażenia, z jakim w otoczeniu obcym, wśród tłumu obojętnych, odnajdujemy jakąś blizką i życzliwą sobie duszę. Jednak widzieli się po raz pierwszy w życiu, ale słowem, spojrzeniem, głosem porozumieli się odrazu, i wyszli na ulicę, już jako doskonali znajomi.

— Gdzie mieszkanie? — zapytał Bronowski, nerwowo blondyn, z czupryną potarganą jak wiecha i bardzo długimi rękami, wykonywującymi ustawicznie mnóstwo niepotrzebnych gestów.

— Nigdzie -- odparł flegmatycznie Korwicz i wypuścił kłąb dymu z małej fajeczki, którą tylko w nadzwyczajnych okolicznościach wyjmował z ust.

— Bo i ja nigdzie. Przyjechałem przed trzema godzinami, oddałem moje »kufry« pod opiekę ja-

kiegoś dygnitarza z blachą na dworcu i »per pedes« machnąłem sobie do miasteczka, żeby wynaleźć jakie »locum«, odpowiednie memu stanowisku i mojej kieszeni.

Korwicz milczał, tylko uśmiechał się sympatycznie do słów kolegi — czy może do własnej fajeczki.

Bronowski wysondował go ukośnym spojrzeniem i zagadnął:

— A możebyśmy szukali razem jakiej instalacji — byłoby przyjemniej. Korona i Litwa przecież powinny się zgodzić.

— Owszem, że powinny — potwierdził Korwicz.

— A kolega gdzie i jak chciałbyś mieszkać? bo ja mam tylko jeden warunek: tam, gdzie najtaniej.

— Tak że i ja — mruknął niewyraźnie Litwin.

— Brawo! więc nasze wymagania i warunki już dość ściśle określone — tylko, gdzieby tu szukać ich urzeczywistnienia? w tem sęk. Obaj nie znamy miasta.

— Ulica Krasickich — odczytał Korwicz napis, umieszczony na rogu.

— Krasickich?... to nie dla nas, magnatów nie tykajmy.

— Dlaczego? — rzucił Korwicz, i po raz pierwszy żywsza iskierka zaświeciła w jego spokojnych, blado-błękitnych oczach.

— Bo ja ich nie lubię.

— A ja lubię.

— E, dajcie spokój! — co wam z tego, albo też i im? Ja bo ich wszystkich mam za Iks — i oni mnie tak samo.

— A co wam z tego, i im także? — zagadnął już znowu flegmatycznie Korwicz.

Dysputa byłaby się zaogniła, ale w tej chwili Bronowski dojrzał zdaleka jakąś kartkę, wyglądającą niby ogłoszenie wolnego mieszkania, i poleciał do niej galopem.

Wrócił z miną rozczarowaną — Eh! fortepian do wynajęcia!

— Dobra rzecz — mruknął Litwin.

— A wy gracie?

— Tak, trochę... piątym palcem.

— Piątym?... co to znaczy?

— To znaczy, że wszystkimi naraz nie zdolam, ale gdzie niektórym, pojedynczo, to coś wygram.

— Phi! artysta!... ja się tak nie bawię — pozostawiam to niewiastom, poszukującym męża. — Lekceważący grymas okolił jego usta. — Ale wracając do mieszkania, to wiecie, najlepiej byłoby wpaść na jaką wdowę. Już ja to dobrze wystudowałem, wdowy są najdostępniejsze i zawsze pozwolą biednemu chłopczykowi coś utargować, a te małżeństwa z »kawalerskim umeblowanym« to zawsze »prix fixe« — niema interesu.

Stańło zatem na wdowie; upłynęło jednak kilka godzin czasu, nim zdołali wyszukać rzeczywiście ową wymarzoną wdówkę, która zgodziła się opuścić im coś nieoos z czynszu, wnieść do pokoiku kanapkę lub inny mebel, odpowiedniej konstrukcyi, na łóżko dla drugiego lokatora, i wogóle poczynić im pewne udogodnienia w wynajmie małej i nad wyraz skromnej stancyjki.

Dobiwszy targu, byli już obaj tak zmęczeni, że nie myśleli nawet powracać na kolej, po zostawione tam »kufry« — wytargowali tylko u swej nowej gospodyni, że im na pierwszy wieczór pożyczyla samowara, i popijając herbatę, wieczór cały przesiedzieli we dwójkę, marząc o lekcyach, które mogliby tu dostać, gdyby mieli jakie stosunki, i o stypendyach, jeszcze trudniejszych do uzyskania.

Zaprzyjaźnili się wkrótce bardzo ściśle, bo usposobienia ich, jakkolwiek wręcz sobie przeciwne, zamiast się wzajemnie urażać i ścierać, uzupełniały się doskonale. Bronowski żywy, nerwowy, wymowny, lubił godzinami rozwodzić swoje życiowe teorye i plany.

Korwicz przysłuchiwał mu się najspokojniej, puszczał dym ze swej fajeczki i od czasu do czasu tylko, dorzucając jakie słowo lub uśmiech, którym podniecał kolegę do coraz zacieklejszych dowodzeń.

W codziennych szczegółach wspólnego życia

Bronowski rozstrzygał wszystko, skupywał zapasy żywności, walczył heroicznie z wdową i jej służącą o jakie takie dotrzymanie warunków najmu. — Korwicz zgodził się z góry na wszystko i zawsze był ze wszystkiego zadowolony. Obaj przytem ślęczeli nad nauką i gotowi byli raczej opuścić obiad, aniżeli godzinę wykładu. Korwicz był już na ostatnim roku politechniki, — Bronowski, o rok niżej od niego — obaj dostali się tu, do obcego dla nich miasta, pod sam koniec studyów, nie z dobrej woli, ale pod naciskiem okoliczności, którym nie oni pierwsi ulegli.

— Wiecie, co ja zrobię, gdy zostanę inżynierem i będę brał ze trzy tysiące blatów rocznie stałej pensyi oprócz dywidendy? — zagadnął raz Bronowski kolegę, gdy obaj już leżeli i Korwicz właśnie zdmuchnął był świecę.

— Urzniecie się za wszystkie czasy.

— Oho! nie głupim! człowiek przecie ma swój charakter, nie zostawi go na Politechnice, belfrom na pamiętkę. Ja coś innego zrobię: ożenię się!

— Ho, ho — mruknął Korwicz, a mruknięcie jego mogło równie dobrze być wyrazem uznania, jak i ziewnięciem.

— Jakem katolik! ożenię się. — Nie wedle niewiasty, bo kolega wiesz, że ja tak dalece o nich nie trzymam, ale zawsze dzieci, obowiązek społeczny, coś, owo. — Wy tak nie myślicie?

— Owszem, że myślę.

— Tylko to wszystko dopiero powyżej trzech tysięcy, bo to jest podatek osobisty, dług honorowy, który głodomorów nie obowiązuje. Co ja będę proletaryatu przysparzał, żeby mi potem lada hrabicz mojem dzieckiem pomiatał!... A wy, na wiele myślicie się żenić? no, gadajcie kolego, jaki wasz program?

— Mój... ja już mam żonę.

— Co?! — wrzasnął Bronowski i równemi nogami wyskoczył z łóżka na środek pokoju.

— Już mam żonę — powtórzył spokojnie, ale stanowczo Korwicz.

— Jaką żonę? gdzie? skąd? — wołał natarczywie Bronowski i potarłszy szwedzką zapalną, zaświecił nią prosto w oczy Korwiczowi.

Ten leżał spokojnie, z rękami podłożonemi pod głowę, nie uśmiechał się, ale jednak twarz miał trochę inną niż zwykle i oczy ciemniejsze jakieś, nie takie dziecinno-błękitne.

— Gdzie?... w Warszawie że! — a jaką?... może poznacie kiedyś — wymówił zwolna, nie odejmując wzroku od sufitu.

— I jakże tak? wy tutaj, a ona w Warszawie? jakież to porządek? — nalegał Bronowski.

— Ja tu, a ona w Warszawie — nie było o czym razem. Gdy się dorobię, to się połączymy.

Bronowski, poruszony niespodzianą nowiną,

latał w bieliźnie po pokoju, rozbijając w ciemności sprzęty i doprowadzając swoją złotą czuprynę do niemożliwych granic rozwichrzenia. — No, no! prędzejbym się śmierci spodziewał! — pomrukiwał od czasu do czasu.

Nagle przysiadł na posłaniu Korwicza.

— Wiecie, jeżeli to nie jaki kawał, to, jak Boga kocham, odważny z was chłopczyk! Na patent jeszcze wróble nie gwizdzą, marnego papierosa czasem nie ma za co kupić, a ten o żonie pomyślał!

— Pomyślał i wziął — mruknął Korwicz, a w głębokim jego basie drgnęło zadowolenie i duma.

— To może już i dzieci macie?

— Nie — odparł spokojnie Litwin — da Pan Bóg, kiedyś będą.

— No, spodziewam się! zaprosicie mnie w kumy. Ja z niewiastami to nie tego, ale do dzieci, to mam ogromny pochop. Dziwne! dziwne!... jakże wy do tego przyszli? po namyśle, czy tak, ni stąd ni z owąd.

— Namysłu, to mi nie trzeba było — zaczął flegmatycznie Korwicz i sięgnął po leżącą obok niego na krześle fajeczkę — zresztą, byliśmy już dwa lata zaręczeni i mieliśmy się pobrać dopiero, gdy pójde na swój chleb. Wtem... wypadło wyjechać za granicę, a ją zostawić. Zapłakiwała się, aż żal brał. Mnie samemu także było niesporo wyjeź-

dzać. Nie wiedziałem, jaką radę wymyśleć — zaproponowałem ślub; zgodziła się odrazu...

— Prawda, że te niewiasty strasznie na ślub łapczywe — zauważył Bronowski.

— Pobraliśmy się... i po tygodniu odwiozła mnie na dworzec. Zostawiłem ją w Warszawie u mojej starej ciotki. Ona daje lekcye muzyki, ciotka ma tam jakąś emeryturkę i żyją niezgorzej, nawet siostrę edukuje.

— Czyją?

— Swoją własną, bo to sierota; nie ma się kto niemi zaopiekować.

— To wam jeszcze kiedyś i ta siostra na kark spadnie!

— Spadnie nie spadnie, ale wiadomo, że jak się ustalę, zabiorę wszystkie trzy kobiety pod mój dach.

— No wiecie! taki roztropny się z was zdawał chłopczyk, co to: jeden krok naprzód, dwa w tył — a wyście się tak zagalopowali! dziwno mi!

— Dziwno? bo Helki nie znacie!

To był jedyny wybuch tkliwości, na jaki zdobył się Korwicz, ale Bronowskiemu, który poznał już dość dobrze jego zamknięte w sobie usposobienie i to wydało się bardzo znaczącem.

— Kocha się! dalibóg, kocha się chłop! — powtarzał sobie w duchu, mierząc kolegę z podelbą spojrzeniem, w którym był i podziw i ironia i jakby

bezwiedna odrobina zazdrości. Wprawdzie on tam nie miał do kobiet żadnej słabostki, uważał je za puch marny, na który pod żadnym względem liczyć nie można — to też stanowczo nie dałby się tak opłacać; śliczna karyera: dwa egzamina przed sobą, a żona na karku — no, ale zawsze... bądź co bądź, kolega zaimponował mu, że tak śmiało pochwycił za treść życia, około której on kręcił się tylko w myśli na odległość stu kroków, badając i rozważając, z jakimi ostrożnościami trzeba się będzie kiedyś zabrać do tego. Zuch Litwin! Taka niby trusia! trzech zliczyć nie umie — do wdowy jeszcze się ani razu nie wysforował, na Marysię, służącą, patrzy jakby jej całkiem nie było, a o żonę to się wystarał, jak o coś najpilniejszego.

Od tej pory stosunek wzajemny obu młodych uległ pewnym zmianom. Korwicz rozcieplił się jakoś i niemal rozgadał; widać, że sprawiało mu przyjemność tu i ówdzie wtrącić jakieś słowo o »swojem kobiecisku«. — Bronowski przeciwnie, zeszywniał i przymilkł, przynajmniej o tyle, o ile rozmowa schodziła na drażliwe tory kwestyi kobiecej. Ta kwestya, mimo całego lekceważenia, jakie dla niej objawiał, siedziała mu jak éwiek w głowie; bolało go i upokarzało, że Korwicz mógł w tej materji odzywać się z większą stanowczością i znajomością rzeczy. Był przecież żonaty, a całe dwa lata przed ślubem miał już narzeczoną — mógł

z nią wiele przegadać, poznać jej duszę do dna. A on?... on, pozbawiony domu i łomu, rzucony dzieckiem w świat, pomiędzy zupełnie obcych ludzi, miał o kobietach takie jedynie pojęcie, jakie mu wszczepiły książki w rodzaju Nietschego i Przybyszewskiego i przelotna, choć dość ściśła, znajomość z pewną Manią i Fruzią, których słusznie nie uważał za prototyp kobiecości. Drażniło go, że był w tej kwestyi takim niedoukiem. Ponieważ miał naturę dosyć przekorną, zaczął więc wobec Korwicza, który w swoim życiu nadał przewagę takim idealnym pobudkom, pozować na materyalistę i filistra, co Korwicz przyjmował ze zwykłą flegmą, nie okazując wcale, aby to na nim robiło najmniejsze wrażenie.

Swoją drogą, gdy przychodziły listy od »pani Helki« a Korwicza nie było w domu, Bronowski długo patrzył na wysmukłe, kobiece pismo i z pewnem poszanowaniem kładł na stoliku tę błękitną kopertę, od której na spokojną twarz Litwina padała łuna radości, czyniąca go piękniejszym i prawie jakimś wyższym duchowo i fizycznie.

Przeczytawszy list, Korwicz chował go w małą, safianową teczkę, którą miał pod poduszką, i czasem, jeśli otrzymane wiadomości wprawiały go w wyjątkowo dobry humor, udzielał z nich coś przyjacielowi. Ten nie pytał nigdy o nic, ale słuchał

z zajęciem wielkiem i nieraz zdradzał się później, że te szczegóły głęboko wpadały mu w pamięć.

Od dnia pierwszej ich rozmowy, fotografia pani Helki wyszła z bocznej kieszonki Korwicza na widownię i zajęła tryumfalne miejsce na popękanej ale marmurowej konsolce, którą wdowa, z wielkiej łaski, udekorowała im mieszkanie, gdy po paru miesiącach przekonała się, że panowie technicy płacą regularnie i nie robią pod jej dachem żadnych breweryi. Fotografia przedstawiała główkę bardzo młodej i bardzo uroczej dziewczyny, ultrakobiecego typu. Bronowski chwilami wpatrywał się w nią z wielkiem natężeniem, a wyrwany z takiej kontemplacji jakim słowem Korwicza, miał minę trochę głupią i usiłował co prędzej wyjechać z jakimś zdaniem rubasznem i szorstkiem, jakby się bał, żeby w jego oczach nie odbiło się echo wprost przeciwnych myśli.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, technika rozjeżdżała się tłumnie na ferye świąteczne. Kto nie miał możności dojechania do rodziny, otrzymywał zaproszenie do któregoś z mieszkających bliżej kolegów — opłatek, urządzany przez wydział Bratniej pomocy, zapowiadał się w tym roku bardzo nie-licznie.

Bronowski i Korwicz nie wybierali się nigdzie; ścisła przyjaźń, jaką się obaj odrazu związali, wystarczając sobie już zupełnie nawzajem — może

odległość ich mieszkania, czy inne jeszcze warunki życia, odosobniły ich jakoś od reszty kolegów, nikt więc nie pomyślał o ofiarowaniu im gościny — zresztą, nad wyraz skąpe fundusze i bardzo uboga, studencka garderoba nie ułatwiały podróży ani żądnych uroczystych projektów, postanowili więc, całe święta przesiedzieć w swojej izdebce, jak lisy w norze.

Im bardziej zbliżała się wilia, tem więcej Korwicz rzewniał i miękł, rozgadywał się, wywoływał wspomnienia czterech ostatnich wili, spożywanych rok po roku u jednego stołu z Helką. — Pierwszego roku była mu jeszcze zupełnie obcą i zawadzała mu nawet trochę, bo się czegoś śmiała tak wesoło, szepejąc do kuzynki, a on był pewny, że to z niego. Na drugi rok śmiał się razem z nią, a na trzeci była już »jego« Helką. — Biedactwo musi tam mar-kocić, że tegoroczne święta spędzi sama.

— A wam jak?... nie smutno? — rzucił nagle Bronowski, patrząc bystro w oczy koledze.

— Mnie? jak psu, gdy wyje.

— Bójcie się Boga! czemuż sobie jakiej rady nie znajdziecie? czy to nie można żyć razem, gdy komu tęskno? — Pracujecie każde swoim dworem, pracowalibyście we dwoje, i jakoś by poszło.

Korwicz głową potrząsnął.

— Nie można — próbowałem, nie idzie. Jej-że tam niczego nie brak, a tu coby miała?

— Męża.

— Eh — męża i głód.

— Mogłaby dawać lekcye, tak tu, jak tam.

— Nie idzie — nie ładnie by było.

Bronowskiemu wydało się nagle, że jak na filistra i materyalistę, poruszył tę kwestyę może za- nadto poważnie i sentymentalnie. Przybrał więc minę wyzywającą i rzucił ironicznie:

— Phi! nie zazdrośni jesteście! taka ładna ko- bietka mogłaby się niejednemu spodobać.

— Nie spodoba się — odparł flegmatycznie Korwicz.

— Dlaczego?

— Bo sama-że nie chce.

Przed Świętami mrozy ścisnęły okrutnie — w kawalerskiej stancyjce — wynajmowanej »z opa- lem« — oddech ścinał się szronem. Chłopakom rze- dniały miny; w takich warunkach wilia, gdy jeszcze i serca nie grzeje widokiem kochanych twarzy, może przejść chłodem do samego dna duszy.

Korwicz zrobił sobie ferye i po dniach całych wylegiwał się na swej kanapie, okryty zimowym paltotem, fizycznie zmarznięty, moralnie topniejący kompletnie pod napływem tkliwych wspomnień i coraz to częstszych listów z Warszawy, dowodzą- cych, jak tam myślano o nim i tęskniono do niego w tej przedświątecznej porze.

Bronowski przeciwnie naostrzał się jak brzy-

twa; może bolało go, że on nawet wspomnień takich nie miał w swoim pustem, samotnym życiu — a u niego każdy ból objawiał się najpierw ironicznym zgrzytem.

W wilię Wili postanowili, że nawet na wspólny koleżeński opłatek nie pójdą; Bronowski twierdził, że nie potrzebuje takich szopek — Korwicz miał zamiar cały wigilijny wieczór spędzić na pisaniu listu do żony.

— Trudno-że inaczej — mówił, zaglądając melancholijnie do bardzo szybko opróżniającej się puszki z tytoniem — taki święty wieczór, trzebaż choć wspomnieć o żonie!

Nazajutrz rano Bronowski bardzo wczesnie począł się wybierać na miasto.

— Gdzie? — zagadnął Korwicz.

— Gdziebądź. Idę się grzać na ulicy, bo tu zamarzną na śmierć i będziecie mieć na same święta ambaras z pogrzebem.

— Fe! tak nie gadajcie — dziś Wilia, święty dzień. Lepiej kupcie jakiego śledzia.

— Na co?

— Na wieczerzę — trzeba będzie kawalerską wilię urządzić.

— A mnie co do wili? ja nie kłerykał, tak jak wy. Owszem, pójde i za ostatnie cztery szóstki zjem befsztyka. — Niech wiem, żem coś użył na wilię.

— Nie gadajcie — grzech. — Kupcie śledzia i u wdowy poproście opłatka. Chyba że da.

— Proście sobie sami — ja nie klerykał, nie stoję o opłatki.

— Nie, to nie. Będę sam prosił — zakończył spokojnie Korwicz.

Bronowski wyleciał na miasto zły, jak osa. Taką miał ochotę przynajmniej wyklócić się porządnie, a ten Korwicz, nawet do tego nie był zdolny. Że też takiego niezdareę chciała sobie wziąć za męża taka foremna niewiasta! Foremna — mało powiedzieć! po prostu: cud piękności — na samą jej fotografię patrząc, można było dostać zawrotu głowy, a żywa, to musiała być piękniejsza i słodsza od wszystkiego na świecie. — I że też takie cud-dziewice wychodzą za marnych studentów politechniki, nawet o patent nie pytają.

— A możebym i ja się ożenił? co? — rzucił sam sobie ironiczne pytanie. — Cóżby mnie taka szopka kosztowała? zapowiedzi, kilka białych, ślub kilkanaście, a potem raz buzi i wio! na dwie strony świata, tyle, że na marki pocztowe trzeba coś odłożyć tygodniowo. Okropnie tania frajda! Żeby tylko miał choć troszkę zbywającej monety, zarazbym sobie pozwolił — cóż ten Korwicz ma sam jeden paradować swoim ożenkiem — szykator! żonaty bez żony!

Nie wiedzieć czego, już od paru tygodni, ile razy zaczynał myśleć o Korwiczu żonatym, uczuwał

do niego głuchą niechęć; poza obrębem tej jednej kwestyi zawsze lubił go równie serdecznie, kochał prawie, szanował jego uczciwy i mocny charakter, ale ożenienia nie mógł mu darować.

Ulice miasta wrzały wesołym, przedświątecznym ruchem. Po cukierniach i sklepach cisnęli się ludzie, kupujący gwiazdkowe podarki, przed wystawami zabawek i książek stały gromady dzieci, studentów, chłonących te wszystkie cuda oczyma, pełnemi zachwytu. Rynek był formalnie zaphany tłumem gospodyń, służących, matek, oprowadzających swą dziatwę od straganów z piernikami do lasu choinek i żelaznej galeryjki skweru, mieniącej się tęczą, porozwieszanych na niej, barwnych szopek. Życie rodzinne, zamknięte zwykle w czterech ścianach domu, dziś, w dzień rodzinnego święta, opromieniło swoim blaskiem nawet chaotyczny i brutalny gwar ulicy.

Bronowski nie rozgrzewał się przechadzką, owszem robiło mu się coraz zimniej i puściej; jednak ogarniał go wstręt na myśl o powrocie do chłodnej stancyjki, gdzie miał go czekać śledź i opłatek, przygotowany przez Korwicza, w czasie, gdy jego wyobraźnia rozkołysała się echem cudzych radości, a młodzieńczy apetyt zaostrzył się dziwnie widokiem strucli, ryb i wszystkich ostentacyjnych przygotowań do wigilijnej wieczerzy, ożywiających całe miasto.

Na złość tym wszystkim filistrom, wybierającym się dziś ucztować w rodzinnem gronie, postanowił sobie święcie, że już nie z trzema, ale dopiero z sześcioma tysiącami pensyi pomyśli o ożenieniu, i w dodatku weźmie sobie pannę bogatą — jeszcze i jak! odrazu z piękną kamienicą (myśl o posiadaniu wsi odtrącił ze wzgardą, jako zbyt sielankowe zachcenie) i dopiero będzie używał życia za wszystkie czasy. Ma się rozumieć! niech się tam Korwicz delectuje swoimi listami i swoim małżeństwem na sto mil odległości o chłodzie i głoździe, on się trochę rozumniej urządzi: albo — albo! Być biedakiem, to już takim nędznym, żeby nie mieć co w usta włożyć, ani do kogo cieplejszego słowa przemówić (jak on np. dzisiaj) a mieć, to już mieć wszystko, czego dusza zapagnie.

Włóczył się tak długo po mieście, że już prawie zmrok zapadał, gdy się zaczął wdrapywać z powrotem na swoje trzecie piąterko. Nagle zadudniło mu coś nad głową — to Korwicz jak kula staczał się ze schodów i dojrzawszy kolegę z całym impetem padł mu w objęcia.

— Jesteś! (w chwilach wyjątkowego uniesienia odrzucali koleżeńskie wy). Bój się Boga! gdzieże ty się tak włóczysz, już trzeci raz zabiegam tu po ciebie. Wiesz: przyjechała!!!

Ostatnie słowo prawie krzykiem radosnym wypadło mu z piersi. Oczy mu się śmiały i takie

były ciemne w tej chwili, takie błyszczące jak dwie gwiazdy.

Bronowskiemu coś w głowie zakotłowało. — Kto przyjechał? — zapytał dla formy.

— A któżby?... Helka ta moja! złoto! kochanie! powiedziała, że nie mogła już wytrzymać z tęsknoty i przyjechała na Święta. Toż mi dopiero wigilia! — No, czego-że leziesz na górę — przecież idziemy razem, do niej!

— Ja! a to po co? — rzucił się Bronowski.

— Zwaryował człowiek! jakżeż po co? wilię będziemy razem jedli u mojej Helki, w hotelu — tam już wszystko przygotowane, stół nakryty.

— Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale ja po żadnych wiliach nie chodzę; nie jestem wam brat ani swat; zresztą nie mam ubrania. W tym surducie nie będę się prezentował obcej niewieście.

— Jaka niewiasta? cóż? przecie moja żona. Czy my sobie obcy? Tyle biedy nakleпали razem jak bracia, aż dopiero dziś, w samą wilię, zobcieli. — Żona bardzo was chce poznać — zobczycie — ledwie dwa słowa przemówi, a już będzie wam lepiej niż siostra. Ona już taka jest.

— Będę wam przeszkadzał — mruknął niewyraźnie Bronowski, ale serce zaczynało już w nim mięknąć. A gdyby tak rzeczywiście, zamiast przesiadzić wigilijny wieczór w pustych ścianach, sam jeden, pójść tam do nich, popatrzeć na nią żywą,

cudniejszą niż na obrazku, zobaczyć choć, jak wygląda szczęście. On przecie o tem nie miał wyobrażenia.

— Przeszkadzał! właśnie! Taześmy już nakryli na ciebie i kolacya zamówiona: jedna ryba tylko i barszcz, bo resztę to wszystko moja żona gotowe od siebie przywiozła.

Z jaką rozkoszą i dumą Korwicz wygłaszał to słowo: moja żona — opuściła go małowierność, bo tylko szukał sposobności, żeby gdzie ten słodki wyraz umieścić. Rozmawiając weszli jednak bezwiednie na górę — Bronowski trzymał rękę na kłamce.

— Zbierajcie się, bo one tam czekają same jedne — nieładnie — nalegał Korwicz.

— Jakto: same jedne? a któż jest oprócz waszej żony?

— Któż ma być? siostra — oneż zawsze we dwie.

— Tak? dziękuję! jeszcze i siostrze się prezentować? obejdą się beze mnie. Żona, no to... przynajmniej wasza żona — a jakaś tam siostra! całkiem zbyteczny dla mnie zaszczyt.

— Dajcież spokój, nie bałamućcie — cóż siostra? dziecko jeszcze — smarkacz — ona was się będzie bała, nie wy jej.

Zapalił fajeczkę i siadł na rogu stołu, zakładając ręce na piersiach.

— Czegóż czekacie? — idźcie do swoich — burknął Bronowski.

— Pójdziemy we dwóch — żona kazała — muszę was przyprowadzić — flegmatycznie, ale stanowczo oświadczył Litwin.

— Kazała, kazała — mruczał pod nosem Bronowski, maczając szczotkę w miednicy i czyszcząc zawzięcie kołnierz surduta, któremu się dawno należał jaki taki dowód troskliwości. — Co ja będę słuchał rozkazu niewiast, kiedy z niemi nigdy nic nie miałem do czynienia i nie chcę mieć.

Jednak spoglądał z ukosa na fotografię Helki Korwiczowej i ochota go brała coraz żywsza poddać się jej rozkazom — taka bo była śliczna i uśmiechająca się i słodka... A nuż się zakocham... szepnęło mu coś w duszy i serce dziwnem drgnęło wzruszeniem.

— Zakocham się?.. jeszcze owszem! będę się kochał — niech Korwicz wie, że się można kochać w jego żonie — zarozumialec! powiada: »Nie spodoba się nikomu, bo sama — że nie chce!« otóż właśnie choć nie chce, może się spodobać — będę się kochał, będę się gryzł, wściekał, jeszcze sobie w łeb palnę! i co mi kto zrobi?

Nastrojony tak ponuro, Bronowski zwijał się jednak jak mógł, żeby swojej postaci nadać możliwie powabny wygląd i staczał w tym celu zacieklą walkę ze swoją czupryną, której popędy do niez-

leżności okazały się jednak silniejsze, niż przemoc grzebienia i szczotki.

Gdy nareszcie wyszli na ulicę, przez pierwszą część drogi pomrukiwał jeszcze groźnie, jak niedźwiedź prowadzony na łańcuchu — potem wpadł nagle w jakiś nadzwyczajny humor, zaczął żartować ze wszystkich przechodniów, z siebie, z Korwicza i tak doszli do bramy małego hoteliku, w którym zamieszkały przyjezdne.

Gdy, po zapukaniu, weszli do zajętego przez nie numeru, zrazu Bronowski nie wiele mógł ogarnąć wzrokiem, bo mroczno już było w pokoju, a przytem spojrzenie jego, jak ostatni tchórz, uciekło od spotkania z oczyma pani Helki i oparło się aż o deski posadzki.

— Czemu tak późno?! — zawołał, z odcieniem serdecznej wymówki, bardzo dźwięczny głos, i drobna kobieca postać żywo podbiegła ku nim z powitaniem.

— Ot... maruda! nie chciałże przyjść, gwałtem przyprowadziłem — tłumaczył Korwicz, wskazując kolegę, który stał wpół pochylony w ukłonie, zakłopotany, czekający na odbycie uroczystej ceremonii przedstawienia. Ale pani Korwiczowa wcale na to nie czekała; wszak wiedziała i tak, kim on był.

— Nie chciał pan przyjść do nas? — zaśpiewała tym typowo warszawskim akcentem, który

dla każdego byłego mieszkańca Warszawy ma brzmienie tak urocze. — Nie chciał pan przyjść na wilię, do takich dobrych przyjaciół? czy to się godzi?

Złagodziła wymówkę bardzo serdecznym uściśkiem ręki.

— Proszę pani... ja obcy... państwo sami... bardzo dziękuję — jękał Bronowski, tracąc zupełnie wrodzoną wymowę.

— Obcy? wcale nie. Dla Oruszka pan jest przyjacielem, a ja znam już pana tak dobrze z jego listów...

Dla Oruszka?... — Bronowski zapomniał się — cóż to za Oruszek? Aha! to widać Korwicz tak się nazywa w domowo-niewieścim języku, choć doprawdy nigdyby mu nie przyszło na myśl, żeby to mógł być jakiś Oruszek. Ale niech i tak będzie.

W tej samej chwili, z kanapki pod oknem, podniosła się druga postać niewieścia, smuklejsza i w jaśniejszą suknię przybrana, a głos, niemniej typowo »syreni«, zaszczebiotał:

— A ja pana nie znam, bo mi Helka nie daje czytać listów Oruszka, ale myślę, że się nam poznać nie będzie bardzo trudno.

Bronowski skamieniał — więc to taka była owa siostra, »dziecko«, które miało się go bać?...

Dziecko wyglądało daleko okazalej i rezolutniej niż sama Korwiczowa; uśmiechało się figlarnie

i mierzyło go przytem od stóp do głów wesolem spojrzeniem bardzo dużych, błękitnych oczu. Bronowski czuł na pewno, że przed tem spojrzeniem nic się nie ukryje: ani wytarty kołnierz jego surduta, ani złoty kędzior, tak czupurnie odstający na jego głowie, ani długie i tak desperacko czerwone ręce, które nadaremnie usiłował cofnąć w głąb rękawów. Niestety, jego rękawy stale bywały za krótkie: pod tym względem wszyscy krawcy, u których próbował robić ubrania, zmówili się widocznie.

— Pomoże mi pan nakrywać do stołu? — spytała panna, wdzięcznie przechylając główkę, jakby chciała jeszcze i pod tym kątem przyjrzeć się dokładnie nowemu znajomemu. — Bo z tych dwojga (wskazała Korwicza i Helkę) nie mam żadnego wyłączenia; jak są razem, to tylko szepczą i całują się, a jak Oruszek wyjdzie, Hela staje w oknie i wygląda go nieustannie.

Bronowski za całą odpowiedź skłonił się, niezgrabniej niż zwykle.

Panienka chwilkę milczała, jakby wyczekując, żeby się odezwał i nagle, zwracając się do szwagra, ale nie odejmując figlarnego spojrzenia z twarzy Bronowskiego, spytała żartobliwie:

— Oruszkę? czy ten pan nie umie mówić?

Jest! doczekał się ze swoimi głupimi nerwami, które w nim czegoś, na widok niewieściego

oblicza, wszystkie dębem stanęły i marnego słowa nie dały wypowiedzieć — »nie umie mówić!« czyste drwiny z porządnego człowieka!

Korwicz tłómaczył ze szlachetnym spokojem.

— Czemu nie umie? On-że gadacz pierwszej wody — każdego przegada. Jak chce, to i dwie godziny będzie mówić, że słówka nie wścibisz.

— Ah! to widać do mnie nie chce.

Zrobiła minkę nadąsaną, która nadała jej twarzyczce wyraz zupełnie dziecinny. Może to i naprawdę było dziecko? tylko większe od innych i jakies takie... osobnego gatunku.

Bronowski, który »miał pochop do dzieci«, a tylko przeciw niewiastom uzbrajał się w najsurowsze środki ostrożności, zaraz zmiękł trochę.

— Czy nie chce, czy też nie umie, to pani sama lepiej osądzi — bąknął, siląc się na rezon. — Co się pani będzie pytać Korwicza? on się nie zna na ludziach.

— A na Heli się poznał.

— Ale na pani nie — powiedział, że pani jest jeszcze dziecko.

Panna Zosia roześmiała się wesołym, srebrnym śmiechem, jakby to określenie, zastosowane do niej, wydało jej się ogromnie zabawne.

— O!... pewnie tylko żartował, chciał pana zwieść — a zresztą może mu się zdaje, że zawsze jeszcze jestem małą dziewczynką, jaką mnie poznał.

Teraz ja już skończyłam siedemnasty rok i już mam patent.

Bronowski znowu zeszywniał — wzmianka o patencie wydała mu się przymówką.

— No, chodźmy nakrywać, bo wilia się spóźni, a mnie się okropnie jeść chce. — Pan głodny?

Bronowski zaczerwienił się i prawie obruszył.

— Bardzo pani dziękuję, całkiem nie jestem głodny — odrzucił stanowczo.

— To szkoda, bo panu nasze strucle smakować nie będą. A żeby pan wiedział, cośmy się nad nimi namęczyły! bo to w ciasnej kuchence, bez piekarskiego pieca.

Rozmawiając zaświeciła lampę i zaczęła rozstawiać talerze na stoliku, nakrytym już białym obrusem. Bronowski patrzył na nią zakłopotany, nie wiedzący, czy ma brać na seryo jej propozycję wspólnego nakrywania do stołu.

— Hela, Oruszek, ja, pan — szeptała Zosia, rozstawiając talerze.

— Niechże się pani dla mnie nie trudzi!

— Nie? dlaczego? ja się bardzo chętnie trudzę dla wszystkich — a tem więcej dla gościa.

— Jaki tam gość! marny studencina z politechniki.

— Aha, marny! wcale nie — ja tylko żartowałam, że o panu nic nie wiem — wiem wszystko — nawet to, dlaczego pan tu tutaj kończy politechnikę.

Popatrzyła na niego tak serdecznie, jakby chciała dopowiedzieć: — Wiem, i daję panu za to mój szacunek i moją przyjaźń.

Bronowskiemu jakoś pobłękitniało w duszy — nie wyobrażał sobie, żeby niewiasty umiały o takich rzeczach mówić i tak przytem spoglądać — zupełnie jak dobry przyjaciel.

Zosia rozkładała na stole strucle, kapuśniaczki, pierniki. — Jak Boga kocham, będzie co jeść — pomyślał Bronowski, z bezwiednem rozradowaniem zawsze prawie trochę głodnego człowieka — ale zaraz zmieszał się okropnie i odwrócił spojrzenie od nęcących przysmaków: pięknie by było, gdyby ta panna Zofia schwyciła go na gorącym uczynku takiej myśli — wolałby daleko, już nigdy w życiu nic nie jeść.

Ona tymczasem, nie przeczuwając, żeby jedzenie mogło być dla kogoś tak drażliwym tematem, gawędziła dalej:

— Ciekawam, gdziebyście panowie byli na wili, gdybyśmy nie były przyjechały?

— My, proszę pani... w domu.

Jakże niestosownem wydało mu się to określenie »dom«, w zastosowaniu do małej, zimnej stancyjki, do której dziś czuł wstręt prawdziwy — dom, to coś takiego raczej, jak ten pokój hotelowy, pełen światła, ciepła, ożywiony gwarem wesółych głosów. — To, to dom! przynaj-

mniej dla Korwicza, który ma tu serca, co go kochają.

— I może mieliby panowie sutszą wilię, niż u nas? bo u nas strasznie krótka — badała dalej Zosia, rozkładając serwetki.

Bronowskiego ogarnął nagle niemożliwy wybuch szczerości.

— Aha! sutszą! co będę pani blagował! mieliśmy mieć śledzia i już. Czy to pani myśli, że my tu Baltazarowe uczyt sprawiamy na naszym kawalerskiem gospodarstwie. Akurat! Najpierw, że szkoda monety, potem, że jej nie ma, a w końcu żaden z nas o jedzenie nie dba, bo to jest podle filisterstwo — hańba!

Bronowski uniósł się własną wymową, nawet włosy wzburzyły mu się do ostateczności, a Zosia patrzyła na niego i błękitne jej oczy zwolna nasiąkały cieniem zadumy.

— To i pan taki idealista — szepnęła — ja myślałam, że tylko Oruszek.

— Jaki idealista?! ja nie jestem żaden idealista i nie pragnę być, niech mnie Pan Bóg broni! Ja jestem racjonalista. Nie dbam o żadne ideały, tęcze, esy, floresy... a śledzia mieliśmy jeść, bo to właśnie najwygodniej, nie robić sobie żadnego ambarasu z jakimiś tam wiliami!

Zosia słuchała tych zapalczywych argumentów, z minką trochę niedowierzającą.

— A kochał się pan kiedy, panie racjonalisto? — spytała nagle z uśmiechem, gdy skończył.

Tego już było za wiele! twarz młodego technika okryła się purpurą. Ładne dziecko, co takie pytania zadaje! I co jej odpowiedzieć? Przyszła mu na myśl jego przelotna znajomość z Manią i Fruzią, potem te nieujęte, delikatne a jednak upajające wzruszenia, jakich doświadczał, patrząc na fotografię Korwiczowej — i zmięszał się jeszcze bardziej.

— Zosieńko, dajesz już wilię? jesteśmy wszyscy okropnie głodni — zagadnął, w tej chwili, słodki głos pani Heli, siedzącej w drugim końcu pokoju ze swym Oruszkim.

Zosia rzuciła się do kończenia gospodarskich przygotowań. Bronowski odetchnął i spojrzał z uczuciem wdzięczności w stronę swej wybawicielki.

Drobna jej postać, przytulona do ramienia męża, wydała mu się nadzwyczaj sympatyczna i wdzięczna, ale naprawdę mniej jakoś »upajająca«, niż była sama fotografia. Korwicz miał rację przepowiadając, że zaraz po zamienieniu kilku słów, będzie mu »jak siostra« — skąd on to wiedział? Może równie trafną obserwację psychologiczną wyrażały słowa: »Nie spodoba się, bo sama nie chce«.

Pocziwe chłopczysko ten Korwicz! cała nieujęta uraza, jaką do niego od pewnego czasu uczuwać zaczął, rozwiała się jakoś bez śladu. Ot, dobrze zrobił, że go wziął tutaj! przecież tu inaczej, niż

byłoby tam, samemu — i te niewiasty jakieś nie-
straszne; jeżeli wszystkie takie, to jeszcze pół biedy.
Ale! wszystkie! gdzie, gdzie! — zaprotestował w nim
jakiś głos — dobrze, że się dwie takie na całym
świecie znalazły. Pani Helka jest przecie anioł,
wyjątek! to już sam Korwicz dawno powiedział,
a któż ją może znać lepiej, jak on! no, a siostra jej...

O siostrze nic jakoś nie zdecydował na razie,
bo w tejsze chwili Zosia zawezwała do stołu. Talerz
z opłatkami stał w pośrodku, na honorowym miej-
scu; choć Bronowski jeszcze rano był gotów przy-
siądz, że nie dba o takie szopki, jednak dziwne
wzruszenie ogarnęło go, gdy ujrzał Korwicza, bio-
rącego z poważną miną biały opłatek do ręki,
i poczuł, że naprawdę bierze udział w takiej fa-
miliijnej wili, obchodzonej w najściślejszem ro-
dzinnem kółku, do którego i on w tej chwili, jakby
należał.

Nie spodziewał się tego dziś rano.

Korwicz najpierw zwrócił się do żony — za-
częli się ścisnąć i szeptać sobie życzenia, z ser-
decznem wzruszeniem ludzi bardzo się kochających,
mających do siebie wszystkie prawa, a tak stęsknio-
nych za sobą, zmuszonych uważać te chwile widze-
nia się za błyski najrzadszego szczęścia.

Bronowski usunął się na bok; miał poczucie,
że mu się w tym obchodzie rodzinnym należy
ostatnie miejsce, i to, dane mu tylko z łaski. Tym-

czasem Zosia, z opłatkiem w rękę, zbliżyła się do niego.

— Nim oni się wyściskają, przełammy się — rzekła uśmiechając się pocziwie i serdecznie, jakby wiedziała, że on był w tej chwili tak bardzo życzliwego słowa spragniony.

— Ja panu życzę szczęśliwego ukończenia studyów i patentu i...

Zawahala się.

— I trzech tysięcy pensyi na stałej posadzie, żeby się mógł ożenić — dokończył śmiejąc się Korwicz, który już podszedł był do nich.

— Trzech tysięcy? — powtórzyła Zosia, zdumiona i przerażona ogromem tej cyfry. — Całych trzech tysięcy?

— Nie chce-że inaczej się żenić — wygłosił poważnie, swoim trochę przewlekłym akcentem Korwicz — a Bronowskiemu jego teoria, wygłoszona tu, wobec tych kobiet i w takiej chwili, wydała się zupełnie bezsensowna. Był też bardzo niekontent z kolegi, że go ten zdradził.

Ale Zosia wciąż jeszcze stała przed nim z kawałkiem opłatka.

— A pan mnie nic nie życzy? — upominała się o swoje.

— Owszem... jeżeli pani każe... t. j. przecie, naturalnie — życzę pani spełnienia wszystkiego i... bogatego męża.

— Co jej po bogatym? — wtrąciła pani Hela — niech tylko będzie dobry i kocha ją, a będzie szczęśliwą.

— Kochać-że musi — cóżby było? toż od tego mąż — zdecydował Korwicz, u którego siostrzyczka żony była w wielkich łaskach.

Przełamawszy się oplatkiem, wszyscy zasiedli do stołu. Bronowski czuł się czegoś ogromnie kontent z tego, że mąż tak Zosię kochać musi i niekoniecznie potrzebuje być bogatym.

Jej także, trudy gospodarskie i wymiana życzeń, słicznym rumieńcem ożywiły twarz.

Po spożyciu dwóch pierwszych potraw, które wygłodzonej czwórce ogromnie smakowały, zawiązała się rozmowa wesoła, gwarna, ożywiona ciągłymi żartami i srebrno-dźwięczącym śmiechem obu kobiet.

— Czego one się tak radują? — zapytywał sam siebie Bronowski — człowiek przez pół roku tyle się nie naśmiej, co one tu za godzinę.

Ale choć się dziwił, niemniej czuł, że mu z tym śmiechem było ciepło i jasno w duszy.

— Po wili! będziemy kolędować — postanowiła Zosia. — A pan umie?

— Ot tak, trochę — umiem usta otwierać w chórze.

— Tak?... to pan ogromnie utalentowany.

— To się wie, że ze mnie zdolny chłopczyk.

Miałem już nawet engagement do opery, na niemego tenora, ale skaprysiłem. Co mi tam po oklaskach, wieńcach — to wszystko marny blichtr! człowiek ma poważniejsze aspiracje.

— Trzy tysiące pensyi i żonę — szepnęła Zosia przekornie.

— Albo też żonę... choć bez trzech tysięcy — dopowiedział ciszej i zaczerwienił się okropnie, jak pierwszy lepszy uczeń przed profesorem.

Zosia uważała za stosowne nie rozwijać dalej tej kwestyi. Wyjęła z szafki butelkę miodu, którą przywiozły z sobą z Warszawy.

— To prezent dla Oruszka — prawdziwy litewski miód — dostałam od mojej przyjaciółki z Wilna jeszcze dwa miesiące temu, i schowałam dla szwagierka.

— Pani go bardzo lubi?

— Spodziewam się! kocham go — przecie on taki dobry — Heła z nim taka szczęśliwa.

— Szczęśliwa z nim! Bronowski aż drgnął i spojrział z ukosa na Zosię, czy ta odpowiedź nie była prostym żartem. — Ale gdzie tam! twarzyczka jej tchnęła w tej chwili zupełną powagą i wyrazem najszczerzego przekonania. — To dopiero idealistki, którym sam miraż szczęścia starczy za szczęście samo. Dalibóg warto być niewiastą, żeby się tak kontentować w życiu mniej niż byle czem i jeszcze wmawiać w siebie, że się wszystko posiada.

Kieliszki, które przyjechały w kuferku razem z ową litewską butelką miodu, były bardzo małeńkie, ale też można je było z jednej butelki niezliczone razy napełniać, i toastom nie było końca. Każdy z biesiadników doczekał się swej kolei; pito nawet zdrowie nieobecnej ciotki i... przyszłego męża Zosi i przyszłej żony Bronowskiego. — Ten przypomniał sobie, jakto dziś rano jeszcze, postanawiał brać żonę z kamienicą, i miał ochotę schować się pod stół, ze wstydu przed własnym idyotyzmem.

— Potrzeba mu żony z kamienicą — ananas! jakby to ściany własnej kamienicy lepiej grzały, niż najskromniejsze mieszkanko, obłękittione czyjemiś niebieskimi oczyma, wysłonecznione uśmiechem takim jasnym, takim pełnym jeszcze wiary w życie i w miłość i w szczęście.

Po wieczerzy kolędownali; okazało się, że Korwicz miał rzeczywiście śliczny głos i żona nieźle mu wtórowała. Panna Zosia zaś wcale nie umiała śpiewać, ale miała za to wiele dobrych chęci, radowała się z każdej kolędy i nawet nieraz, w śpiewie, o pół taktu wyprzedzała innych. Bronowskiemu, który nie był wcale muzykalny, nie stanowiło to najmniejszej różnicy, i cieniutki głosik Zosi podobał mu się ogromnie, choć wyrwał się tak samodzielnie naprzód.

Gdy skończyli, Zosia żartowała sobie z Bro-

nowskiego, że się pysznie wywiązał z roli niemego tenora; śmieli się przytem oboje bardzo wesoło, a jemu przypomniało się nagle opowiadanie Korwicza: — Pierwszego roku myślałem, że się ze mnie śmieje, na drugą wilię śmiałem się z nią razem, a na trzecią była już moją Helką.

Nareszcie zdecydowali, że pójdą wszyscy razem na Pasterkę; niewiastom się tego ogromnie zachciało, więc trudno się im było sprzeciwić, zwłaszcza, że kościół był o kilka kroków. Na wąskich schodach hotelu, obie siostry wysunęły się naprzód.

— I cóż taka wilia? lepsza-że od naszej kawalerskiej? — zagadnął Korwicz kolegę.

— Jak szczupak od śledzia! — potwierdził wesoło, zupełnie już rozochocony Bronowski.

— Da Bóg, za rok, będziemy z Helą już we własnym domu — przyjeżdżajcież, kolego, wprost, jak do siebie.

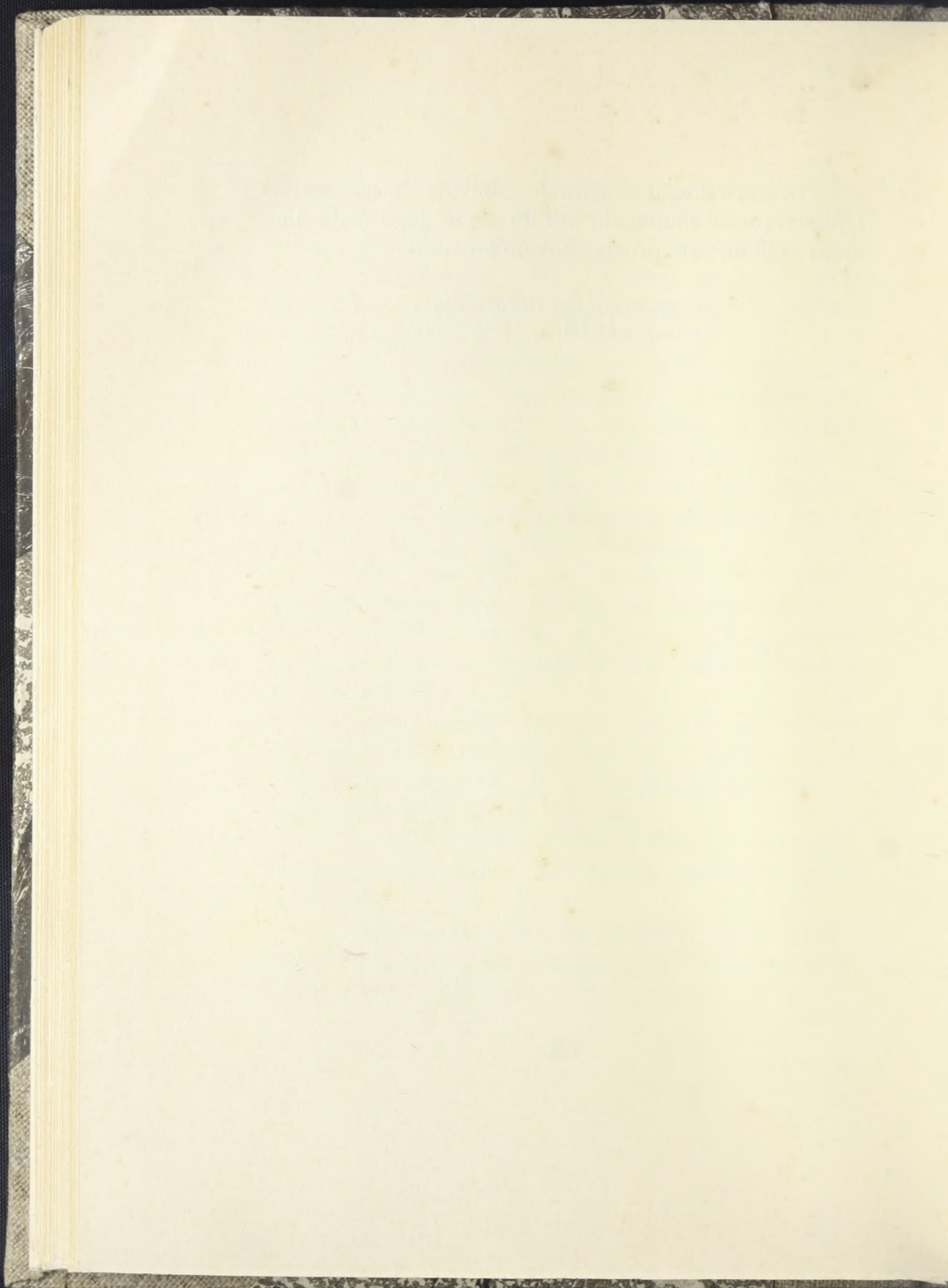
— Bóg zapłać! nie potrzebujecie mi mówić dwa razy; żeby na koniec świata, to pojedę! A za dwa lata... zawahał się i dokończył ochoczo: — może ja was do siebie zaproszę!

— Tak-że mówcie! śliczna rzecz — ot, racjonalny program, choć bez trzech tysięcy — śmiał się Litwin.

Weszli do kościoła, który jarzył się od blasku świateł i aż drżał kolędą, śpiewaną przez tłum cały, rozmodlony a radosny.

Bronowskiego ogarnęło dziwne wzruszenie,
i nigdy pieśń żadna nie odbiła się w jego sercu ta-
kiem echem, jak prosta, kołędowa nuta :

W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia...



PRZED OBRAZEM

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

— Sztuka! sztuka! wielki frazes do małych interesów — burczał Niedzielski, z hałasem odsuwając wypróżnioną, szóstą z kolei filiżankę »czarnej«. — Życie, bracie! życie, to co innego. W tem jest coś — w tem jestem ja, jest moja kobieta, jest choćby dobra kolacya z szampitrem.

— Wiemy, pojmujemy — przerwał niecierpliwie Chleboga.

— Uznajemy — wtrącił ze sztuczną powagą Klimek, a Niedzielski, nie zważając na przerwy, wykańczał systematycznie :

— Życie to jest ta boska »czarna«, bez której nie potrafiłbym osuszyć ani pół butelczyny koniaku. A sztuka co?... Kiepskie zwierciadło, w które każdy pseudo-artysta łapie z życia, co mu się uda złapać, i pokrzywione niemiłosiernie, połatane ni w pięć ni w dziewięć, oddaje na »da capo« do użytku publicznego. Może nieprawda? co?

— Ma się rozumieć, że nieprawda! Łzesz, mecenasie, jakby ci od wiersza płacili! A zresztą co ci nadało, zęby sobie sztuką wycierać? Filister jesteś, laik, urzędnik od paragrafu — wara ci od naszych misteryów.

— Naturalnie! filister jest! worek ze skóry człowieczej, kłątwa społeczeństw, czerw na drzewie wszechbytu! — wołali zgromadzeni, stukając w marmurowy stół szklankami i łyżeczkami.

— Powoli, powoli, nie zaogniajmy się, bo jeszcze całą knajpę z dymem puścimy — mitygował Klimek. — Ty, Chleboga, workami ze skóry człowieczej nie kłuj, bośmy wszyscy tą samą cielesną powłoką obleczeni. A ty, kochany mecenasie bez kancelaryi i klientów, przyznaj ze skruchą, że choć czasem kupujesz książki i obrazy — za co cię niezmiernie szacuję — ale znasz się na jednych i drugich, jak wół na karecie, którą mu kazali z błota wyciągać. Chcąc rozumieć sztukę, trzeba przedewszystkiem mieć coś tu i tu — dotknął ręką głowy i serca — a ty masz głównie: tu i tu — tu poklepał Niedzielskiego po brzuchu i kieszeni. — Niech cię to nie martwi, bo trudno być na wszystkie strony jednako wyładowanym.

— Życie to kuryer, na który nie warto brać za wiele pakunków — mruknął filozoficznie Chleboga, więcej do siebie, niż do drugich, ale Machryniewicz podchwycił go za słowo i podkreślił złośliwie:

— Ho! ho! komu to kuryery po głowie jeżdżą! musisz od kogoś fachowego w sprawach kolejowych lekcye brać. Ale wiesz: te kuryery, »luxuscugi«, »orient-expressy«, to nie zawsze bezpieczne; jabym myślał, że zwyczajnym osobowym najdalej zajedzie.

Chleboga bryznął jadowitem spojrzeniem:

— Nie twoja rzecz! ciebie i tak na »zugsführera« nie wezmę.

— O, rozumie się!... Ja myślę, że ci nawet zwyczajny konduktor nieraz w drogę wchodzi — zarechotał Machryniwicz, znany ze swej niedyskrecyi i złośliwości.

Na tak wyraźną aluzję, obecni mimowoli parsknęli śmiechem. Chleboga zbladł i porwał się z krzesła, ale nim zdołał słowo wymówić, Klimek, wielbiciel pokoju, zażegnał burzę, przerywając bieg rozmowy:

— Patrzajcie! — zawołał z ożywieniem, pochylając się nad stołem, na którym Czerniak, karykaturzysta, szkicował jakieś typy zwęglonym końcem zapalki. — Patrzajcie, nie szkoda to takiego arcydzieła pod ścierkę panny Joasi? Przecie toby mogło do potomności przejść, Europę obiegnaćby mogło w jakim »Fliegendzie!« Ot, mecenasie, co tu puste słowa na wiatr rzucać? masz czarno na białem, co to jest sztuka, co to jest talent, co to jest wyższy stopień uczłowieczenia!

— A ja sobie kpię ze wszystkich talentów — rozparł się obu łokciami Niedzielski — i nie przyznaję wcale, żeby to był wyższy stopień uczyłowieczena. — Przeciwnie! każdy talent to jest tylko małpiarstwo, więc człowiek z talentem bliższy jest naszego darwinowskiego przodka, niż przeciętny, kulturalny...

— Osioł — domówił zcicha Chleboga, a Marczański zapytał:

— Słuchaj, Poniedziałek, dużo ty już dziś wypieś?

— Co miałem wypić? pół butelki koniaku i trzy pipermenty; moja zwyczajna porcja.

— No, to wiesz: teraz punkt i kropka — na nadzwyczajności się nie puszczaj w żadnym kierunku, bo to nie twój fach. Najlepiej, po dobru idź spać, a jutro, przed pipermentem, będziemy mówić o Darwinie i talentach.

— A cóż wy myślicie? że ja mam w głowie? co? — postawił się Niedzielski — mam w głowie? powtórzył, wodząc po obecnych wyzywającym spojrzeniem.

— Ale co masz mieć w głowie? co? nie masz nic — nic a nic! — uspokajał go z naciskiem Chleboga. — Ot, idź do domu, bo ci klienci pouciekają.

Kancelarya i mecenasostwo Niedzielskiego były czysto teoretyczne.

— Otóż właśnie, że idę, ale nie do domu.

A wam powtarzam raz jeszcze, i to tłustym drukiem, że sztuka, to jest małpowanie życia i nic więcej — prawda, boska Joasiu?

I Niedzielski, przesławszy palcami całusa, usługującej dziewczynie, skierował się, niezbyt pewnym krokiem, ku wyjściu z kawiarni.

— No, poszedł przecie? krzyżyk na drogę! — westchnął z zadowoleniem Klimek. — Strasznie się robi... kulturalny. Ale teraz chłopcy, gadajcie: czy ten boski... idyota, ten najszlachetniejszy z mecenasów, który kupuje i płaci walutą koronową to, czego i za psie pieniądze nikt brać nie chce, czy on, w swoich pijanych majaczeniach o sztuce, miał ćwierć, pół, czy trzy ćwierci racyi?

— Miał cztery ćwierci — zawyrokował stanowczy głos od okna, i wygolona, klasyczna twarz Owidzkiego ukazała się z poza płachty rozłożonego »Figara«.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu, z najrozmaitszem stopniowaniem wrażeń. Klimek uśmiechnął się dobrodusznie, Marczański rzucił zdziwione »et tu Brute?« — Machryniec wydał lekkie gwizdnięcie z domyślnikiem, Czerniak zaczął szkicować sytuację, a Chleboga porwał się z miejsca i naprężył, jakby chciał Owidzkiego spiorunować ruchem i spojrzeniem.

— Czy ty kpisz, czy o cholere pytasz? — rzucił ze zwykłą brutalnością.

— Przedewszystkiem, daruj mu swoje ekspresye — a gdy się uspokoisz, wytłumaczę ci, na czem opieram swoje twierdzenie: Otóż powtarzam za mecenasem, że sztuka jest tylko zwierciadłem, lub — jeśli kto woli taki zwrot retoryczny — małpowaniem życia — i to życia autora czy artysty w najsubiektywniejszym zakresie. Czego nie przeżyjesz, nie przeczujesz, nie przecierpisz sam, tego i nie wypiszesz, żebyś miał sto talentów i półtora geniuszu.

— Łgarstwo! — zasyczał Chleboga, a jego mdławę, w miedzianych rzęsach głęboko schowane oczy, trysnęły dwoma błękitnymi płomykami. — Poetą jestem, a więc: twórcą jestem, Bogiem jestem, panem jestem wszystkiego na ziemi i niebie i w piekle i na księżycu! Wszystko, czego duszą dosięgnę, mojem jest — mogę brać wiele chcę i rozrzucam tłumom, ile mi się podoba — a nie, żebym miał czekać na te nędzne okruchy życia, które znajdę we własnem korycie.

— Otóż to właśnie: »wszystko czego duszą dosięgnę« — cedził spokojnie Owidzki. — A dosięgniesz duszą tylko tego, co odczuć potrafisz, czyli co ci życie przyniesie — w korycie czy na półmisku z serwskiej porcelany, to już zależy od gustu i własnego wyboru.

— Nieprawda! nie to, co odczuć potrafię, tylko to, co odczuć zechcę — co mi się podoba zaimpro-

wizować sobie w duszy, własnym kosztem i nakładem. Dziś mi potrzeba dla mojego dzieła czuć i myśleć jak kiep — będę kpem — a jutro potrafię tak samo być Cezarem, albo dewotką od Kapucynów, albo szesnastoletnią dziewczyną, idącą na pierwszą schadzkę. Jeżeli mam talent, to w chwilach tworzenia nie mam charakteru, nie mam zasad, nie mam indywidualności — mam tylko talent — i basta!

— Pii! ze straszną paradą nam to »basta« rzuciłeś — podkreślił Marczyński. — Coś tak, jakbyś powiedział: Nie mam lisiurki, nie mam baranicy, mam tylko gronostaje i basta!

— A nastrój, he? o nastroju zapomniałeś — zauważył Machrynowicz — bez tego przecie dziś, żaden szanujący się wieszcz, czterech wierszy nie wykrztusi. — Oprócz talentu i nastroju musisz mieć.

— Tak, naturalnie — i pióro i atrament także, gdy chcę pisać. Jedno narzędzie warte drugiego — tylko, że po pióro muszę chodzić do sklepu, a po nastrój w głąb własnych myśli i dobywam sobie z tego magazynu, co mi potrzeba. Nie ma takiego drgnienia w eterach duszy wszechczłowieczej, którego bym nie mógł wzbudzić na zawołanie we własnej jaźni... jeżeli mam talent.

— Słusznie! wspaniale! możemy ci tylko pogratulować. — Ale powiedzno wieszczu, dlaczego wszystkie drgnienia twojej jaźni płyną zawsze jed-

nym, stałym prądem, jeśli nie mają wspólnego źródła i prawem przyrodzonego ciężenia wskazanego kierunku? — Czemu wszystkie twoje dzieła — przepraszam: arcydzieła — są zawsze owiane tą samą barwą, tym samym, że tak powiem — »zapachem duszy«? — Jeśli, w procesie tworzenia, twoja indywidualność tak cię nie nie kępuje, czemu po »Dniach ohydy« pisziesz teraz »Święto grzechu«, a nie n. p. misteryum religijne na Maryjski konkurs »Przeglądu Powszechnego«?...

— Czemu?... — powtórzył Chleboga i stanął jak koń osadzony w biegu, tuż nad brzegiem urwiska. — Czemu?... No, bo oczywiście nie chce mi się — a gdyby mi się chciało, tobyście zobaczyli!...

— To niechże ci się zechce! — rozśmiał się jadowicie Machrynowicz — pisz, co ci szkodzi? za-funduj sobie!

— Nie, to nie dla niego — rzekł poważnie Czerniak. — Ja wprawdzie nie jestem poetą, ale zdaje mi się, że są pewne uczucia, których »wyobrazić sobie«, wysnuć z duszy na zawołanie, nawet poeta nie potrafi. — I może lepiej nie tykać ich myślą, gdy się ich w sercu nie nosi.

— Skarga się odezwał! — sarknął Chleboga.

— Pisz! pisz! — wołali inni, podnieceni oryginalnością tego projektu.

— Chcesz? ja ci dam temat — cudowna legenda! wygrzebana z pod dębu podlaskiego.

— Lepiej kup sobie kantyczkę majową — nastroj się!

— Dajcie spokój — on przecie nie potrzebuje tematu ani nastroju — taki gronostajowy magnat! wszystko z siebie będzie brał.

— Własne łapy będzie dla natchnienia ssać — jak niedźwiedź.

— A przecież, na finał »Święta grzechu« miał nam, gwoli nastrojowi, sprawić ucztę przy katafalku.

Chleboga nie słyszał — twarz mu się skupiła, zmięła w dziwne fałdy, które zdały się drgać oddechem myśli — mdlawy błękit ocz, od chwili do chwili wytryskał złotawą iskrą, nad którą powieki zaciskały się nerwowo, jakby żywym ogniem sparzone, a równocześnie z ust padały mu urwane, zupełnie bezświadomym szeptem rzucane wyrazy. — Biała, niesłuchanie wytworna ręka, nie przypominająca w niczem niedźwiedziej łapy, przegarniała gorączkowo kędziory bujnej, miedzianej czupryny, piętrząc je w coraz to bardziej fantastyczną piramidę.

— Nieboga! słyszysz?! Kiedy będziemy pić twoje zdrowie przy katafalku?

Chleboga drgnął, przygasił twarz i wydmuchnąwszy z cygarnicy, na stół, spopielałą resztę papierosa, zaczął się żegnać.

— Odchodzisz? ja idę także — odezwał się Owidzki powstając.

— Judasz Iskaryota z Janem Ewangelistą —

zauważył Machrynowicz, patrząc na słodki, zawsze jak w ekstazie podniesiony, profil Owidzkiego, odcinający się pastelowo na tle sępicz rysów i rozwichrzonych kędziorów Chlebogi, który w narzuconej fantastycznie pelerynie, z grubym kosturem w rękę, nie robił wcale wrażenia średnio-europejskiego zjawiska.

— Na Judasza wygląda, ale talent bestya ma, ja myślę, że... da sobie radę.

— Z czym?... ah, z konkursem? — no, nie wiem — dużo rzeczy można zaimprovizować własnym nakładem, ale ostatecznie nie wszystko. Na niektóre uczucia, trzeba mieć w duszy bodaj zadatek.

.....

Do rogu ulicy Chleboga z Owidzkim szli milcząc — Chleboga marszczył brwi i poruszał ręką, jakby rozmawiał sam z sobą. Na towarzysza nie zwracał uwagi.

— Pójdiesz na przechadzkę?

— Nie.

— To bądź zdrow, bo ja idę w świat, na błonia — szkoda mi takiego zachodu.

Niebo na zachodzie pełne było złota i krwi, ale łuny zwolna gasły już, jakby zatapiały się w cichym, kojącym błękiecie.

Owidzki zatrzymał rękę kolegi i rzekł z namaszczeniem:

— A co do tego konkursu, wiesz, nie radzę ci... to... nie dla ciebie.

— Dlaczego? — rzucił naprężając się Chleboga.

— Dla... wielu powodów. Przedewszystkiem od »Święta grzechu« do... Et, nie wiedzieć co! Ja nie neguję ci wielkich zdolności, broń Boże — ale na takim »salto-mortale« nawet i twój talent może najpospoliej kark skrócić.

— Pogrzebiecie go z honorami... w fejtetonach — rozśmiał się szyderczo Chleboga i zawrócił w boczną ulicę.

Biegł prędkim, równym krokiem, nie patrząc w okół siebie, jak puszczonego w ruch automat. Nawet zapachy perfum i szelesty kobiecych sukien, muskających go w przechodzie, nie dochodziły w tej chwili do jego świadomości; szedł cały skupiony w sobie, niesiony własnymi myślami.

— Nie radzi mu! taki Owidzki! autor stu pięćdziesięciu fejtetonów o Goszczyńskim, donaszący sławę dawno zmarłych poetów, jak przydeptane pantofle, odziedziczone po nieboszczyku — on, co własną mocą nie potrafi nic stworzyć, nie zbudować, tylko po cegielce rozbiera gmachy budowane przez innych — on mu nie radzi!...

Nagle przypomniał sobie Chleboga, że o konkursie »Przeglądu« słyszał coś, kiedyś, dość niewyraźnie. Nie pamiętał bliższych określeń ani terminu — nie obchodziło go to dotąd.

Wszedł do biura dzienników i zażądał dostarczenia, możliwie najprędzej, odnośnego numeru »Przeгляду Powszechnego«.

— Ten z konkursem mamy właśnie pod ręką — przez omyłkę posłaliśmy na zamówienie dwa egzemplarze i dziś zwrócono nam jeden — odparł właściciel biura.

Podał żądany zeszyt miesięcznika — na okładce, zanotowane ołówkiem, czerniło się nazwisko zamawiającego — Chleboga okiem rzucił i błysnął zjadliwym uśmiechem:

— Wachlewicz! i ten będzie startował! a jemu, Owidzki »nie radzi«!

Zapłacił i wyszedł — raczej uciekł, chowając głęboko zeszyt.

Na ulicy ciekawość zmogła go — podstąpił pod okno wystawy księgarskiej, i odczytując niby tytuły książek, przejrzał chciwie ogłoszenie konkursu.

288 wierszy — bagatelka! dzieciństwo! dla niego starczy na jeden haust — nawet dwóch wieczorów nie będzie się miał koło czego zabawić.

Ma się rozumieć! dziś napisze, od jednego rozmachu, a jutro zanieś do kawiarni i przeczyta kolegom — zachwyci ich, uniesie! — Albo nie! czytać nie będzie — to przecież konkurs — tajemnica. — Ale wejdzie do kawiarni, gdy wszyscy będą już zebrani, popatrzy po nich i powie krótko: Napisałem.

I tak jeszcze nie — lepiej każe sobie podać kawy, będzie żartował, naciągał Owidzkiego i Machryniecicza, aż dopiero, gdy któryś z nich zapyta go o utwór konkursowy, odpowie od niechcenia: Tak naturalnie, napisałem — już posłałem do redakcyi.

I poszle — no i oczywiście... weźmie nagrodę — co do tego nie ma wątpliwości — któżby ją mógł wziąć — przed nim?!

Znowu upędział w kółko, czworobokiem ulic, jak to zwykł był czynić, gdy go jakaś uparta, silniejsza od niego myśl, okręcała wokół swej osi.

Koledzy nazywali tę jego bieżaninę, gonieniem za niewiadomą.

— A gdyby... nagrodę wziął kto inny? ukluła go nagle niewiadomo skąd powstała wątpliwość. — Gdyby w sprawozdaniu konkursowem nie wyczytał swego nazwiska na pierwszym miejscu — i koledzy, wtajemniczeni w bieg rzeczy, dowiedzieli się, że on stawał do wyścigu i dał się wyprzedzić innemu — może lada jakiemu pismakowi od bezpłatnych fejtetonów, albo »sympatycznej nowelistce«, co pisząc, lzy rozczulenia ronila nad własną pracą?...

Niepodobieństwo! — tę nagrodę, musi wziąć on właśnie — musi przekonać świat, jaka jest cudotwórcza moc talentu — jak ona w dziedzinie ducha wszystko, wszystko zastąpić zdoła.

Gdyby to był jakikolwiek inny temat, nie cho-

działoby mu tak o palmę pierwszeństwa — ale właśnie dlatego, że to będzie istotnie, takie »salto-mortale«, taki koncert na strunach, których jeszcze nigdy ręka jego nie tknęła — dlatego, on do tego wyścigu stanie — i zwycięży.

— Muszę, bo chcę — chcę, bo muszę — powtarzał od chwili do chwili machinalnie, zaciskając za każdym razem coraz to mocniej, wąskie dziwnie różowe, wiecznie jakby namiętym pocałunkiem podrażnione usta.

Ale prócz tych paru jednostajnych słów, bezświadcie wymykających mu się z mózgu, natężone władze jego czucia i myślenia na nic innego zdobyć się nie mogły. Daremnie prężył się, skupiał wolę, naciskał nią mózg aż do odczucia fizycznego prawie bólu — nie mógł dobyć ani jednego obrazu, ani najniklejszego cienia pomysłu z tej czarnej próżni, którą po raz pierwszy w życiu odczuł w sobie, taką bezdenną, taką wnikającą w każdy atom, że mu się wydawało, jakby nawet fizyczna jego istota była tylko najcieńszą tkanką włókien, osnuwających nietrwale tę zwycięską, coraz bardziej rozszerzającą się próżnię.

— Cóż? na Belzebuba! Ja, nie mogę tworzyć, gdy chcę? — Ja słabnę, omdlewam jak histeryczka, zamiast plunąć w garść i wziąć za pióro! Urzekł mnie Owidzki, czy jakie lichy?!...

Zegar wieżowy wybił siódmą godzinę — Chle-

boga machinalnie liczył uderzenia i nagle przypomniał sobie, jak kiedyś — niedawno — latał tym samym kręgiem ulic i tak samo bicie siódmej godziny obudziło go z zadumy. Tylko, że dziś, uderzenia zegaru padały ciężkie, olbrzymie w głuchą próżnię, która go otaczała — a wtedy dźwięk ich, ledwie słabem echem, przedostał się do niego, przez ten chaos skłębionych obrazów, postaci, zgrzytliwych śmiechów, łkań, przekleństw i zaklęć, którymi wzbierała mu wyobraźnia.

Co to było takiego?... Co to się z nim działo owego wieczoru?

Aha! wszakże to wtedy tworzył drugą pieśń »Święta grzechu«, a piersi i mózg omal nie pękały mu od naporu tego wrzątku tworzenia, który czuł w każdej kropli krwi, w każdym atomie mózgu.

Gdy, powróciwszy późnym wieczorem, zasiadł do pisania, palące, niby z piekielnej lawy utoczone, strofy pieśni sypały mu się z pod pióra, jak rozerwany raptownie sznur czarnych pereł. Pisał noc całą i nad ranem nie czuł się jeszcze ani o jedną myśl uboższy, ani jednym wysiłkiem wyczerpany. Nie potrzebował, biczem woli popędzać swej wyobraźni do owocniejszego trudu — owszem, borykał się z nią, aby mu dała chwilę folgi, aby mu pozwoliła choć odetchnąć, obejrzeć się wstecz na pracę minionych godzin, upoić poczuciem własnej

potęgi, radością posiadania tego skarbu, który sobie dobył z własnej duszy.

Wszak to wszystko było tak niedawno — więc dlaczego, dziś?...

Przenerwowali go, rozdrażnili głupią dyskusją — nasłuchał się oklepanek, jak banalnego ćwierkania wróbli na dachu. Trudno mieć nastrój po takiej »konferencji literackiej«, w której przewodniczy Owidzki z Machryniecizmem.

.....

A zresztą z wielu względów był już od kilku dni mocno zdenerwowany — takie oczekiwanie co wieczoru, takie nasłuchiwanie przez ścianę każdego szelestu, każdego budzącego ciszę kroku — kilka godzin takich codziennie, i w rezultacie: nic — to najsilniejszego musi wyszarpać.

A może właśnie dziś?!...

Błądą twarz oblała mu ciemna luna — tęcza obrazów, któremi upajał się już całe tygodnie, błyskawicą przemknęła mu przez mózg. Dziś?... może dziś?...

— Wszystko jedno — teraz nie pora o tem myśleć — uciał nagle, z wysiłkiem odrywając się od rozkosznego widzenia. Tamto — być może — zwycięstwo na konkursie — być musi.

— Musi! — powtórzył z zaciekłością. — Nie ma czasu do stracenia — termin konkursu za trzy dni.

Ale nie on przecie będzie rozliczał godziny i drżał strachem, czy mu wystarczą. — Jednej chwili mu potrzeba — jednej chwili takiej, w którejby odszukał swoją moc, swój talent — samego siebie.

Byle siebie odnaleźć — byle się poczuć tym samym co zawsze. Wszak na jego drodze nigdy jeszcze nie stała nieudolność — nigdy jeszcze nie rozbił sobie głowy o tę zaporę, nieujęta a twardsza od skalnych murów — więc dłaczegoby dziś?..

Czyżby... temat właśnie?..

Temat zresztą, jak każdy inny — dla niego był obcy, niemy, bo echa majowych pieśni i kościelnych dzwonek rzadko dobiegały do środowiska, w którym wzrastał on, wychowanek ulicy, w dzieciństwie otoczony nędzą i zepsuciem, w młodzieńczych latach usunięty ze szkół za bluźniercze uchylenie się od spowiedzi, wykreślony niejako ze społeczeństwa — a później, mocą własnego talentu, wyrzucony nagle w górę, w światło, opromieniony aureolą sławy, zwieńczony uwielbieniem kobiet — a jednak, nawet w dniach najbujniejszych powodzeń, zwichrzony wieczną urazą do ludzi, jakimś żywiołowym pragnieniem deptania wszystkiego i wszystkich, tryumfowania brutalnością swoich instynktów nad szarym, znieawidzonym tłumem »porządnych ludzi«.

Tak — nie dla niego był ten temat kryształowy, w którym jaśniały poranne rosy, majowe

kwiecica i lzy rozmodlonych źrenic. Nie pod jego pióro, maczane w ogniu i żółci, niepokalana biel szat, usianych gwiazdami, przepasanych szarfą z błękitu, owianych tchnieniem anielskich skrzydeł! — A jednak, choć wywołując w myśli tę przejasną Postać, nadaremnie silił się na wzbudzenie w sobie dreszczu pokory, uczczenia, umiłowania — choć jedynie po to pragnął, na mgnienie życia, uwierzyć w Nią, aby po tej wierze wspiąć się o stopień wyżej w dziedzinie twórców — jednak, jako artysta, pojmował, że skala tych uczuć mogła być piękniejszą od wszystkiego, co zdołał wyrazić dotąd — że ci, dla których ta Postać była czemś, mieli świat blasków jaśniejszych od promieni słońca, który dla niego był zamknięty i ciemny.

Gdyby jedna sekunda nastroju! jeden błysk jasnowidzenia tych uczuć, podsłuchania ich głosu, jeśli nie we własnej, to w cudzej piersi! — Czemu teraz nie maj! nie nieszpory, nie procesye? — czemu kościoły wszystkie pozamykane? — wid ekstazy religijnej musi się błąkać po ciemnych nawach — tam, najłatwiej byłoby go podchwycić i spojrzeć mu w twarz. Ale... zamknięto...

I miał uczucie, że naprawdę stoi przed zamkniętą, żelazną bramą i napróżno kołacze do niej i wstrząsa żelaznym wrzeciądzem — tyle dusz najpospolitszych, pełzających z mozołem w błocie powszedniości, bez najmniejszego wysiłku przechodzi

tam... na drugą stronę — a jego nie stać na taki poryw — dla niego... zamknięto.

Minał narożny, rzęsiście oświetlony sklep — obejrzał się i zawrócił. Chwilę stał pełen wahania przed ladą, z poza której kupiec i dwaj subjekci patrzyli na niego wyczekująco.

— Proszę mi dać... — wykrztusił wreszcie niepewnym głosem, wskazując kapeluszem.

— Pan dobrodziej życzy sobie?... co? czem mogę służyć?

— No, przecież obraz — o ten, z tych na górze — wskazał wyraźniej, z silniejszym zniecierpliwieniem. Brwi miał ściągnięte i oczy zwrócone w bok — wydawał się sam sobie nienaturalny i śmieszny z takim żądaniem. — Co też ci subjekci mogą myśleć?

Kupiec sprężyście wyskoczył na schodki i wyciągnął rękę ku obrazom: — Kochawińską czy Częstochońską? — zapytał.

— Wszystko mi... Częstochońską!

— W formacie mniejszym, czy większym?

— W średnim.

— Ach, słusznie! w średnim, rameczki najlepiej są dobrane — ogromnie wiele sprzedajemy takich właśnie. Choć i te na blasze rozchodzą się także w olbrzymiej ilości...

Wskazał na przeciwległą ścianę i zatrzymał wzrok na twarzy gościa, niepewny, czy ma pokazać

bliżej inną seryę obrazów. — Chleboga milczał chmurnie, więc kupiec wziął się do zawijania.

— Czy może dodać i lampkę?

Chleboga nie zrozumiał zrazu, o co chodzi — potem zorientował się.

— Tak, owszem — potwierdził z pewnem ożywieniem.

— Najlepiej paśową, ampułkę, wkręca się ją u dołu w ramę obrazu — o tak! — bardzo przyjemne światło, i przed obrazem Częstochowskim zwykle... bo nawet w kaplicy Jasnogórskiej także taka paśowa lampa zawsze się pali. Pan dobrodziej był w Częstochowie?

— Nie.

— Warto, panie dobrodziej, warto! Ja byłem i powiadam panu dobr.: przed śmiercią jeszcze muszę być, żeby tam nie wiem co, to muszę! — I każdy powinien, choć raz w życiu, bo to przecie... Zresztą i mówić nie ma co — toć wiemy wszyscy: Częstochowa! — Padam do nóżek pana dobr., polecam się łaskawie.

— Ten z pewnością dostanie astmy na starość, jak się tyle nagada przy każdej dziesięciokoronówce — sarknął w duchu Chleboga, zamykając za sobą drzwi.

.....
— Hm, Częstochowa... rzeczywiście, miał rację — w tej Częstochowie musi być jakiś powab

dla twórczej wyobraźni, skoro tyłu... Przecie i Reymont... no, i inni. Szkoda, że nigdy tam nie wstąpiłem — to musi być ogromnie plastyczne i ciekawe — te kompanie na kolanach, te chorągwie, śpiewy... Naprawdę szkoda... Gdybym choć miał pod ręką Reymonta — albo ostatecznie i Sienkiewicza — to...

— Mógłbym przetrząsać cudze tobołki literackie i ostatecznie zawsze bym się czegoś doszperał — dla Chlebogi ogromnie zaszczytna praca! — rozśmiał się jakimś złym, kipiącym śmiechem, którego echo zapiekło go w duszy. — No, dość tego! dość tych monologów i podziwiania się nad własną bezmocą, jak nieboszczyk Płoszowski. — Do roboty!

Zerwał się z szezlongu — umieścił obraz na rzeźbionej, zakopiańskiej pułeczce nad biurkiem, czerwoną lampkę zaśwycił i uwiesił poniżej, wreszcie, z czołem wspartem na rękach, zasiadł przed biurkiem — patrzył i myślał.

Po chwili obejrzał się niecierpliwie: — Eh, idyotyzm! przy takiej dekoracyi pozostawić sobie na stole zwyczajną, filisterską lampę — aż nerwy bolą od takiego szablonu!

Wstał i dmuchnął w lampę tak gwałtownie, że knot strzelił w górę płomieniem i zgasł dymiąc. Pokój odrazu zasnuły cienie, rozjaśniane w jednej stronie blaskiem rubinowej lampki, w drugiej światłem żarowej latarni, padającym z ulicy na prze-

ciwległą ścianę, niby płatem bardzo silnego, księżycowego blasku. W najdalszych kątach, czarnymi, twardymi konturami, czały się sprzęty.

Chleboga odetchnął.

— Tak — teraz lepiej — o wiele lepiej! w tem jest przecie coś — ta krwawa lampka i ten czarny krzyż, padający od ramy okna na płat oświeconej ściany... coś, jak nieujęte tchnienie nastroju zaczyna ogarniać go, zaczyna upowijać mu duszę w mgłę przeźroczą, subtelną, która kładzie się pomiędzy nim a lichą powszedniością życia.

Powrócił na dawne miejsce i patrzy znów ze skupieniem na pozłocisty obraz, osnuty krwawymi blaskami lampki.

Zeszywniałe powagą, uśpione spokojem rysy nie mówią do Chlebogi nic, tylko na niego patrzą wzajem — patrzą tak upoczywie, tak cicho, jakby mu się wtapiały w duszę i trzymały ją na uwieży tego niemego porozumienia. Nie mówią mu nic — tylko wzięły go i trzymają.

Dziwne, jasno niebieskie oczy, wyzierające z ciemnego oblicza — Chleboga przecież pewien jest, że w obraz taki patrzy po raz pierwszy w życiu, że się z nim nigdy jeszcze wzrokiem nie zmierzzył — a przecież przysiągłby, że spojrzenie tych oczu już kiedyś czuł na swojej duszy, że ślad ich nawet poniósł w życie — może na kilka godzin — może na jedno mgnienie tylko.

Dziwne!

Daremnie teraz usiłowałby ulecieć myślą w inny krąg zaświatów — daremnie przymyka powieki i próbuje zasunąć pomiędzy siebie a ten ciemny obraz przesłone innych widm — nieme oblicze częstochowskiego obrazu przenika każdą przesłone, idzie wskroś każdej myśli i kładzie mu się na duszy takie ciche, tajemnicze, takie... że Chleboga drzeć zaczyna, drzeć trwogą przed niepojętem.

Nastrój? czy to ten nastrój, co miał mu dać moc twórczą, uskrzydlić jego myśli, upotężnić je do lotów w nowe, szersze, światlejsze widnokregi?... Oto, zamiast tego, czuje tylko w sercu dziwny niepokój, coś nieujętego — jakby do niego dobiegały echa pytań, których dosłuchać nie może a odpowiedzieć na nie musi — jakby się w nim budziły pragnienia i żale nieznanne mu, niezrozumiałe, nie mające nigdy znaleźć zadośćuczynienia, a takie krwawiące, jak żar tej lampki, który stygmatem kładzie mu się na czoło.

Gdzie, kiedy te oczy już patrzyły na niego? jakim budzą mu duszę przypomnieniem? On przecież nigdy, nigdy nie stawał przed nimi, nie mówił do nich — nie słyszał nawet, jak inni mówili.

— Nigdy! — powtarza z uporem i zacina się w tem przeczeniu, a jednak, gdy tak mówi, gdzieś na samym dnie duszy, daleko, daleko, poza cieniami tylu mętnych lat, tylu brudnych godzin ży-

cia, w tej najtajniejszej głębi, do której sam już zapomniiał drogi, jawi mu się niewyraźne, błękitnawe światelko — rąbek wspomnienia, które przeczy temu »nigdy«, i cichym głosem szepcze mu: Dawno, dawno...

.....

Wielka, ogromnie brudna izba; cztery rodziny mieszka w niej kątem — moc wrzasków, kłótni, moc głodnych, wiecznie poniewieranych dzieci i ich płaczu i śmiechu.

Najcichsza ze wszystkich, najmniej płaksiwa, to Błada Marynia. — Odebrał ją ojciec od Sióstr z ochronki, bo mówił, że chce z córki mieć wyręczenie, żeby mu choć szmaty uprała. Ale Ignac Gątowicz, najstarszy i najmądrzejszy w gromadzie dzieci, ten, co to potem poszedł do warsztatów kolejowych na ślusarza, i okradłszy magazyn, uciekł — od razu, zobaczywszy dziewczynę, ręką machnął i zasądził:

— Niedługo tu ona będzie popasać.

— Albo co?

— Zamrze... moja siostra też taka była biała i tak samo kaszłała... no i co? może nie umarła? Jeszcze ją z Harmateryi za darmo pochowali! — kończy z tryumfem.

Wyrok, wydany przez Ignaca, zadzierżgnął pierwsze ogniwo zbliżenia pomiędzy Marynią a Józ-

kiem Chlebogą — zaciekał go, podrażnił jego myśl, której już i wtedy nie zaspakajały hałaśliwe gry i bijatyki z innymi chłopcami. Lepszym się od nich czuł, bo i matka mu mówiła, że na dobrą sprawę... ho, ho! I nie kłamała, bo jak zaczęła później rozbijać się po sądach, taki wyprawowała mu opiekuna, co go do szkół musiał pchnąć i zajmował się nim, aż póki go za tę spowiedź z gimnazjum nie wydalili.

Ale wtedy, gdy pierwszy raz zobaczył Marynię, nie znał jeszcze opiekuna, ani szkół, ani książek, a jednak coś mu się już gotowało w piersi, coś go rwało poza tę brudną izbę, do innych ludzi, innych słów, innych myśli. Wiadomość, że Marynia zamrze prędko, zaciekała go ogromnie. Jak jej też będzie potem? lepiej, czy gorzej? czy całkiem nic?... Wpatrywał się uporeczywie w bladą twarz dziewczynki, którą choroba, smutek i wychowanie jakie odebrała u pobożnych Sióstr, wyrzeźbiły inaczej zupełnie, niż te, otaczające ją, w pół dzikie twarze dzieci, rozwłóczonych po rynsztokach ulicy. Marynia na każde jego spojrzenie odpowiadała cichym uśmiechem, może myślała, że on na nią patrzy z przyjaźni, z życzliwości, nie z zaciekawienia, co to z nią będzie po śmierci.

Tak czy tak, wkrótce poprzyjaźnili się naprawdę; sam już los zbliżał ich: ona miała ojca pijaka, on matkę... Łatwiej im było obojgu o razy

i złorzeczenia, niż o chleb; dwie dziecięce niedole wspierały się i ratowały wzajem.

Jednego letniego poranku bawili się w gromadzie towarzyszy »na bramie«. Jakaś pani przeszła mimo, niosąc olbrzymi bukiet róż.

— Proszę pani! mnie kwiatek, mnie różę, mnie jeden pączek! — zaczęli na wyścigi wołać mali obszarpańcy, biegnąc za nią z wyciągniętymi rękami.

Czy to, że Józiek najnatarczywszy był w tym pościgu, czy innym jakim trafem, dość, że jemu właśnie i Maryni, którą, jak zwykle, ciągnął za rękę, dostały się dwa purpurowe kwiaty. Dzieci stały chwilę olśnione zachwytem i radością.

— Chodź, zaniesiemy do kościoła — rzekła nagle Marynia.

— Do kościoła? po co?...

— Bo tak... bo trzeba... położymy na ołtarzu przed Matką Boską. W ochronce zawsześmy rwały kwiaty dla Matki Boskiej.

— Poszli. Józiek, oporny trochę, ale równocześnie ciekawy tej nowej przygody, nowych wrażeń. Jeszcze nigdy nie kładł kwiatów na ołtarzu! I w kościele bywał rzadko — nigdy prawie. Nikt go tam nie prowadził, a Ignac, którego raz przytrzymało za rękę, gdy sięgał do kieszeni jakiegoś pana, nastraszył go, że »w kościele za byle co ha-resztują«.

To też, gdy weszli w mroczną, głęboką nawę,

w chłopcu serce trzęsło się trochę, ale Marynia szła przodem tak spokojnie, jakby nic, i od chwili do chwili odwracała się ku niemu z uśmiechem. A przed każdą kaplicą klękała i żegnała się powolnym, szerokim znakiem krzyża, schylając pobożnie głowę.

Józiek robił, jak ona; przeżegnać umiał się przecież, nie chciał zdradzić się przed Marynią, że nie wie, jak się tu zachować, a zwolna, zwolna, niepokój i oporna niechęć przemieniały się w jakąś ciszę i zadowolenie, które budziły w nim chłód i cisza kościoła i piękno gotyckich łuków, złoconych ołtarzy i barwnych okien kościelnych, działające bezwiednie na wrażliwe uczucia chłopca.

Przed kaplicą, większą od innych, przybraną w zieleń i kwiaty, Marynia zatrzymała się, wyjęła mu z ręki różę i postąpiła tuż, do samego ołtarza. Józiek nie szedł już za nią: nie śmiał jakoś. Na ołtarzu, malowana, a przecież jakby żywa, wychylała się ku nim Postać w długiej, białej sukni; jakaś niby ludzka — ale nie: insza i piękniejsza, niż wszyscy ludzie, których Józiek widział kiedy w życiu. Naokoło głowy miała jakby promienie słońca, a stała na sierpie księżycowym i wyciągała ręce do dzieci.

Józiek przeżegnał się z własnej ochoty, a potem stał trochę zalekniony, trochę smutny a trochę wdzięczny, jakby mu ktoś coś dobrego rzekł albo i dał. Nie przykrzyło mu się nic a nic, zamyslił się

i Marynia musiała go aż za rękę szarpnąć, na znak, że odchodzą. Dopiero w przedsionku kościoła oprzytomniał jakoś i zrobiło mu się żal róż, które Marynia położyła na samym kraju ołtarza, bo dalej dosięgnąć nie mogła.

— Ej, co tam po nich! kiedy tam i bez tego więcej kwiatów, niż u ogrodnika — on swoją weźmie.

— Nie można, byłby grzech! z ołtarza nie można odbierać, broń Boże! — mówiła Marynia z przejęciem.

— To czemuś dała?

— Jakiś ty! to przecież dla Matki Boskiej. Ona się przez całe życie wstawia za nami i nawet, jak będziemy umierać, weźmie nas pod swoją opiekę, żebyśmy poszli do nieba.

— Ii... nim będziemy umierać, to się taka rzecz zapomni.

— Ona nie zapomni!

Józiek nie rzekł już nic, słowa Maryni wstrząsnęły go; myśl, że jest ktoś, co przez długie lata pamiętać będzie o tej jego róży, złożonej na ołtarzu, co mu za jeden kwiatek odplaci opieką przez całe życie i w godzinę śmierci, przejęła go dziwnem wzruszeniem. Nagle, nie mówiąc słowa, zawrócił do kościoła, pędem prawie dopadł do kaplicy Matki Boskiej i ukląkł tuż przed ołtarzem. Ponsowe róże krwawiły się na białym obrusie, jasna postać wychylała

się z obrazu, patrzyła na nie i wyciągała ręce do Józka.

Przeżegnał się od ramienia do ramienia, patrząc w obraz; potem, z rozmachem uderzył się w piersi, i ucałował kamienną posadzkę.

Robił to wszystko pospiesznie; bał się, czy go kto nie zobaczy, zwłaszcza Marynia. Skończywszy odetchnął głęboko i odszedł, dziwnie rad i uspokojony. Przez kilka dni potem było mu jakoś jaśniej i weselej na świecie, choć matka poniewierała nim gorzej, niż kiedy. Potem Marynia zachorowała i umarła, i z mieszkania ich wyrzucili, bo komorne było niezapłacone i... wszystko poszło w zapomnienie.

.....

Krwawa lampka przed obrazem rozświetla się coraz to jaśniej, a równocześnie dusza Chlebogi zapływa z wolna blaskiem cichego wspomnienia z dzieciństwa, które zmartwychwstało nagle w jego pamięci. Pomiedzy owym porankiem letnim a dzisiejszą wieczorną godziną, tyle lat spiętrzyło się wałem; tyle wrażeń i uczuć deptało po jego duszy, wszystko w niej głuźąc i przeistaczając — a przecież, Chleboga poczuł się nagle tym samym chłopakiem, podnoszącym lękliwe, zdumione spojrzenie na cudowne, zaświatowe zjawisko, i choć to poważne, jakby z brązu odlane oblicze, które ma przed sobą, tak odmienne

od przejasnej twarzy białej Dziewicy, co strzegła kościelnego ołarza, jemu się zdaje, że dziś patrzą na niego, z ciemnego obrazu, te same, co wówczas, pełne miłosierdzia oczy.

Dziś?... czy dziś tylko?

Dreszcz niepojętego wzruszenia przenika duszę Chlebógi, i oto ogarnia go poczucie, że te oczy szły za nim nieprzerwanie przez wszystkie dni, wszystkie godziny życia. Nie z ram obrazu, ale gdzieś z zaświatów, te same oczy dniem i nocą patrzyły na niego, na każdy jego czyn, patrzyły... na to wszystko — i czekały, czekały.

Pochylił głowę i zacisnął twarz w dłonie, przejęty nagłym lękiem, a spojrzenie Maryi spoczywało wciąż na nim, takie jasne, takie miłosierne.

.....

— Można?... można wejść?

Usłyszał stuknięcie klamką i lekkie skrzypnięcie drzwi. Zerwał się z twarzą wpół przytomną, jakby znalazł się tu nagle zrzucony z innych światów. W progu, objęta płatem światła, padającym z ulicy, stała dziewczyna w jasnej, perkalowej sukni i fartuszk, z głową trochę pochyloną i rękami tak w dół opuszczonymi, że się powieki wydawały prawie zamknięte.

Była bardzo młoda, raczej dziecko jeszcze, dziecko z postawy, układu i niewykończonych ry-

sów twarzy, kobiecość miała tylko na w pół rozchylonych ustach i w opuszczeniu tych rzęs, które na dziecinne policzki rzucały cudowne, młode zawstydzenie.

Chleboga na jej widok wydał cichy okrzyk, twarz mu się rozedrgała ruchliwą falą sprzecznych wrażeń. Wyciągnął ręce jakimś niepewnym, niewykończonym ruchem, jakby zapragnął i objąć ją i odtrącić.

Chwilę stali naprzeciw siebie niemi, potem dziewczyna podniosła na niego spojrzenie i uśmiech, w którym był cały czar, cała moc kochania.

Pociągnięty tem spojrzeniem Chleboga gwałtownie posunął się ku niej.

— Anielcia!... dobra, droga Anielcia! mój promyczek kochany! — szeptał zmienionym głosem, biorąc ją za obie ręce i wciągając w głąb pokoju. Dziewczynka nie opierała się. Nie знаła jeszcze przeczuć ani lęków.

— Przepraszam pana, że tak późno... pan się już może nie spodziewał; ale ojciec teraz dopiero co poszedł na dworzec i dzieci musiałam pousypiać, więc dlatego...

— Więc to już bardzo późno? — rzucił znów niepewnym głosem Chleboga, puszczając jej ręce.

— O, późno; ale przecież jeszcze będziemy mogli obejrzeć te książki i obrazki, które mi pan obiecał pokazać; ja się już tak cieszę cały tydzień!

Ale ani razu nie mogłam przyjść; doprawdy, ani razu. Przy dzieciach zawsze tyle roboty — strach! Za to dziś mamy czas; ojciec pojechał z nocnym pociągami, dzieci śpią, a ja już wszystko w domu porobiłam.

Postąpiła sama parę kroków i stanęła, plecami zwrócona do biurka.

— Jak tu ładnie u pana! — uśmiechnęła się, rozglądając się po pokoju.

— Podoba się Anielci?... to trzeba tu przychodzić często... codziennie. Gdy Anielci nie ma, to wcale nie jest tak ładnie, jak w tej chwili — mówił zciśzonym głosem Chleboga, a zmacona przed chwilą wahaniem twarz jego, zaostrzała się w zwykły wyraz drapieżnej stanowczości.

— Nie tak ładnie?... dlaczego?

— Bo jest smutno, pusto — nie ma do kogo zagadać.

— Prawda, pan zawsze sam — kiwnęła główką ze współczuciem. — Jabym tak nie mogła — jabym chciała, żeby zawsze ze mną ktoś był.

— Kto?... ja np.?

Pochylił się, wbijając w jej łagodną twarzyczkę swoje blade niebieskie, rozetlone oczy.

— Ej, gdzie pan! — roześmiała się z tak nieprawdopodobnej propozycji. — Dzieci, albo ktoś bądź — pana, to dobrze, żeby choć raz na tydzień zobaczyć.

— Dlaczego tylko raz na tydzień mielibyśmy się widzieć? — Dlaczego nie być zawsze razem, Anielciu? — zawsze — tak, jak dwoje ludzi, którzy są sobie najmiłsi, najbliżsi na świecie?...

Ujął znów jej ręce i nagle przytulił chciwe, różowe usta do jej drobnego, wpeł otwartego dzióbka. — Moje kochane, moje śliczne Anielatko. — Moje — moje ty!... — powtarzał szep-tem sflumionym, a coraz bardziej zaostającym się w tonie.

Dziewczynka stała jak oszołomiona, nie oddając mu, ani broniąc pocałunków — na jej przybliżonej twarzyczce wzruszenie grało gamą zmiennych, opalowych tonów.

Wtem Chleboga podniósł powieki i wstrząsnął się; opuścił ręce tak nagle, jakby odtrącał dziewczynę od siebie — sam zmieniony na twarzy — pobladły. Ponad główką Anielci, patrzyły na niego znów, błękitne oczy Częstochowskiego obrazu. Czerwona lampka przeświecała niby kręgiem zorzy jej rozrzucone, jasne włosy; złote ramy obrazu zdały się ją obejmować i brać w siebie.

Chwilkę stali naprzeciw siebie milcząc.

— Anielciu... proszę iść stąd, już późno, już za późno... — zaczął Chleboga głosem sflumionym, wskazując dziewczynie drzwi. — Proszę iść do domu, tu nie trzeba przychodzić.

Anielka zaczerwieniła się, a potem bardziej

jeszcze przybladłe, rozświetlone oczy przyćmiły się, w gardle miała już łzy.

— Pan mi sam kazał przecież — wyrzekła z trudnością — mówił pan... że będziemy razem oglądać książki, obrazki... i żeby koniecznie przyjść. Ja się tak cieszyłam, cały tydzień czekałam wolnej chwili, a teraz... pan mnie wypędza, jak psa!...

Chleboga wichrzył ręką włosy i milczał — pierś podnosiła mu się szybkim, zdyszczanym oddechem kogoś, zmaganego ciężką walką.

— O co się pan tak odrazu pogniewał?... ja przecież nic nie zrobiłam...

— Ja się nie gniewam — to... dla Anielci — proszę iść stąd... proszę! i proszę pamiętać, żeby... nie chodzić już tak nigdy do... obcych ludzi.

— Albo to pan obcy? — wykrzyknęła Anielka, i nim się Chleboga opamiętał, przycisnęła jego rękę do ust — ot, jaki pan obcy dla mnie! — Pan mi przecież sam powiedział, że ja... że pan... nie ma prócz mnie nikogo blizkiego na świecie — prawda? pamięta pan? — dodała, dopraszając się, pełnym łez spojrzeniem, jakiegoś tkliwszego słówka.

— Prawda... nie, nieprawda! to tylko tak... takim rzeczom nie trzeba wierzyć Anielciu, tak się zawsze mówi... każdemu.

— Nie! nie każdemu! — wybuchnęła z rozżaleniem wpółdziecinnem, a wpół po kobiecemu już namiętne. — Nie każdemu, tylko takim... których

się kocha... a pan... ja wiem — pan mnie już wcale... nie lubi, choć ja panu nic... nie!... — szlochała coraz gwałtowniej, a czerwona lampa rzucała rubinowy blask na jej złotą, schowaną w dłoniach główkę.

Chleboga zacisnął usta i oczy wbił przed siebie, jakby nie słyszał wcale płaczu Anielki. W zestawieniu z oblewającym ją, purpurowem światłem, jego twarz wydawała się w tej chwili dziwnie szarą.

Po chwili dziewczynka uspokoiła się.

— To mam już iść?... całkiem iść stąd? — spytała błagalnie a nieśmiało, jakby, zawstydzona własnym wybuchem, miała ochotę wyprosić się od kary.

— Tak, Anielciu... proszę całkiem iść... na zawsze.

— Tylko się obejrzę, jak u pana jest. Pan mi obiecywał, że... tak nam tu dobrze będzie, ile razy przyjdę. Ja wiem, że to już nie — dodała pospiesznie — ja już nigdy nie chcę tu przyjść i zaraz odejdę... zaraz...

Splakanemi oczyma obejmowała pokój, sprzęty, cały ten kącik świata, z którego wypędzano ją na zawsze, choć tu zostawało jej pierwsze kochanie.

— Jaka śliczna Matka Boska! — zawołała nagle, zauważywszy obraz. — Pan się przed nią modli codzień?

— Nie... nigdy.

— Dlaczego?!

— Bo... nie umiem... nie umiem... modlitwy do Matki Boskiej.

— Jakto?!... żadnej? Ja pana nauczę, przepowiem panu, prawda? to przecież można? potem już zaraz pójdę. To taka krótka modlitwa!

Spojrzała błagalnie, mokremi od łez oczyma. Taka ją nagle ogarnęła gorąca chęć pomodlenia się tu za niego, z nim! Nie rozumiała wcale, co się z nim stało, czemu on się tak nagle zmienił dla niej, czemu ją wypędzał, ale posłuszna usuwała mu się z drogi, i tylko tak chciała jeszcze coś zrobić dla niego, czemś mu okazać, że on dla niej zawsze jest i będzie tym samym, tym drogim, jedynym! Niechby ją choć wspomniał czasem, i niech mu tu będzie dobrze, szczęśliwie! niech go Matka Boska ochrania.

Uklękła przed biurkiem i złożyła ręce, podniósłszy oczy na obraz.

— Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko — brzmiał jej cichutki głosik, tłumiony łkaniem.

— Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko — powtarzał szeptem Chleboga.

LISTY, KTÓRE GO NIGDY DOJŚĆ
NIE MIAŁY

THE HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON

Kalinówka — wrzesień.

— Więc nie zobaczę Pana już nigdy — jak to się łatwo powie, albo napisze takich kilka słów, a jak okropnie trudno wsłuchać się w nie duszą i uwierzyć — i żyć dalej, jakby nigdy nic..

A przecież trzeba —

Cały dzień dzisiaj krzątałam się po domu, z gorączkowym pragnieniem zgłuszenia sobie w pamięci, choć na jedną sekundę, tego okropnego słowa: nigdy! które się tak rozdzwoniło wkoło mnie, że wszystkie inne głosy dochodzą mnie tylko zdaleka — jakby z innych światów.

Daremnie — teraz się już nie staram — jest szara godzina, siedzę przy oknie, wpatrzona w pusty, mroczący się ogród, i szepczę sobie: nigdy, nigdy!... Smutno mi jest, jak tylko może być komu na świecie — a przecież, w najgłębszej głębi serca, uświadamiam sobie najdokładniej, że ten dzisiejszy

gorzki dzień jest jeszcze tysiąc razy lepszy od dnia, który przyjdzie jutro, i pojutrze i jeszcze później.

Bo dziś, to jeszcze tak niedaleko od wczoraj — jeszcze, gdy przymknę oczy, mam obraz Pana tuż, blisko pod powiekami — i głos Pana słyszę — i czuję dotknięcie ręki, gdy mi Pan mówił: — Do widzenia — proszę o nas nie całkiem zapomnieć — nawet, gdy się pani tam wśród swoich znacznie lepiej bawić będzie, niż tu z nami.

Poco właściwie Pan mi to powiedział? — Pan przecie nie jest okrutny, ani trochę; widziałam, jak Pan raz wyszedł z pokoju, aby nie pokazać łez, które się Panu skrzyły w oczach, przy słuchaniu opowieści o pogrzebie tego Tomaszka, ojca siedmiorga dzieci, którego maszyna porwała. Wszyscy mówili o tym wypadku, badali przyczyny, roztrząsali — Pan nie powiedział ani słówka, tylko wyszedł z pokoju — ja jedna wiedziałam dlaczego — tak — ja jedna tylko — inni ani inne nie zauważyły nawet, że Pana wśród nas zabrakło. — Więc wobec cudzego cierpienia jest Pan miększy, wrażliwszy, niż kobiety — nigdy dla nikogo nie bywał Pan okrutny — tylko mnie właśnie, powiedział Pan nieraz coś, co zabolalo do żywego — taki niby żart, niby pytanie, które się zapuszcza w cudzą duszę, sondując: a jak tam głęboko żywa krew? czy — chcąc jej dostać — trzeba aż ukłuć sztyltem? czy wystarczy drasnąć szpilką?...

Wystarczy — oh, wystarczy! — ze strony Pana do mnie, wystarczy cień cienia samej intencji draśnięcia, żeby mnie zabolalo bardzo, i bolalo dlugo — dlugo.

Dlaczego to Panu piszę? — dlatego, bo wiem, że Pan tych ćwiartek nigdy czytać nie będzie — więc cóż to szkodzi Panu, mnie, całemu światu, że raz jeden w życiu wypowiem swoją duszę do samego dna — tak, jak jej nigdy nie potrafiłam wypowiedzieć wobec Pana, nie tylko słowem, ale nawet spojrzeniem — nawet zawieszeniem głosu — milczeniem, wtedy, kiedy trzeba było milczeć, aby okazać, że się coś rozumie i czuje. — Ja, w takich chwilach, mówiłam zawsze mnóstwo słów. Wiedziałam, że to Pana trochę dziwi i trochę gniewa — a przecież nie mogłam inaczej. Jakiś instynkt samozachowawczy cisnął mi te słowa na usta — czułam, że jedna sekunda milczenia położy moje serce jakby na dłoni Pana — takie żywe, ciepłe serce — że je Pan będzie mógł wziąć i obejrzeć dokładnie, jak pod mikroskopem, i... rzucić.

Może Pan myśli, że nie byłby Pan tego zrobił memu biednemu sercu — że byłby je Pan utulił miękko, i kołysał w dłoni, jak zranionego ptaka, aż dopóki samo nie rozwinęło skrzydeł i nie uleciało z tej dobrej, kochanej dłoni — może Pan tak myśli — ale ja wiem, że byłoby inaczej — bo moje serce jest ptakiem, który nie uleciałby

nigdy od Pana — a dłoń Pana znużyłaby się szybko i opadła bezwładnie, albo sięgnęła w inną stronę.

Co też tam Państwo robią w tej chwili, w tym cudnym Dobroszynie?... Jeszcze dwa dni — całe dwa dni — będziecie tam wszyscy razem... beze mnie. Okropnie mi żal. Bo to, że Pan zdała odmnie będzie całe życie, to się musiało stać — to było pewnie odrazu postanowione, tam gdzieś, gdzie się ważą losy ludzkie — ale te dwa dni mogłam jeszcze mieć — i doznaję wrażenia, że to było jeszcze moje, dane mi, pod tym warunkiem tylko, żebym miała odwagę wyciągnąć rękę i wziąć — a ja stchórzyłam i dlatego, jak dziecko, siedzę teraz za karę w pustym, szarym pokoju, gdy Wy na werandzie pijecie razem herbatę, śmiejąc się, patrząc na siebie, układając plany na jutro jeszcze, równie szczęśliwe jak dziś i wczoraj.

Czemu ja pozbawiłam się tej radości, i to dla takiego marnego powodu! dlatego, że Maryetta, słysząc, jak mnie Pan namawia, abym nie wysyłała do domu telegramu o konie, szepnęła ze złośliwym uśmiechem: Ależ nie wyszle — niech pan będzie pewny, że nie wyszle... przecież tylko o to chodzi, aby być proszoną — przez pana.

Pan na te słowa zamilkł i popatrzył na mnie z wyczekiwaniem — a ja oświadczyłam zaraz, że telegram wyszle, bo jechać muszę koniecznie —

i już nikt ani jednym słowem nie spróbował zmienić mego postanowienia.

Nienawidzę Maryetty za to, że mnie okradła z tych dwóch dni — choć właściwie, czy nie większa wina moja, że tak stchórzyłam przed jej złośliwym uśmiechem i przed temi słowami, które były najczystsą prawdą, jak gdyby najwierniejszym echem mej duszy. Dlaczego tak pospiesznie i gorąco zadałam im kłam? dla kogo? na co?... Pan był tam jedynym człowiekiem, którego wola i sąd mogły mieć dla mnie wagę — a przecież, choć czułam w owej chwili, że byłby Pan rad, gdybym przywtórzyła słowom Maryetty i została — nie uczyniłam tego — poszłam napisać telegram — oglądając się wprawdzie, czy nie usłyszę poza sobą czyjś lekki, goniący za mną krok — ale nie usłyszałam nic — i telegram został wysłany...

Państwo zostaliście wszyscy przy łuszczeniu orzechów na werandzie — i dziś pewnie tam siedzicie od podwieczorku. — A może stary Łukasz przysłał ze swej pasieki ten plaster miodu, tak dawno przez nas oczekiwany... może otrząsaliście razem jabłka w sadzie — może, może... gubię się w domysłach — gdybym choć widzieć mogła Dobroszyn — tak, zdaleka, niewidziana przez nikogo!... Gdyby! —

Dostałam kartkę od Pana — dobrą kartkę — za którą, oh, jak dziękuję całym sercem! — Wiem już teraz przynajmniej, że wczoraj nie było trzęsienia jablek — i że się Józef upił i stłukł szklanke — Czy to dobry, czy zły znak?... dla tych, co tam byli, naturalnie — bo dla mnie, dobrym znakiem jest tylko to, że Ktoś pomyślał o przysłaniu mi Dobranocy — i wdzięczną jestem za to Panu, i Bogu i wszystkim, bo cały świat, w promieniu tej kartki, już mi dziś jaśniej wygląda. — Gdybym tak mogła być pewną, że Pan codzień, choćby przez jedną sekundę pomyślał o mnie — życzliwie — (Pan zresztą nie umie inaczej — niemiłą osobę, przykre wspomnienie, potrafi Pan usunąć z pamięci tak prędko i tak bez śladu) — więc, gdybym przypuścić mogła, że ja nie zostanę tak usunięta, byłoby w tem dla mnie tak dużo, tak dużo radości!!

Nie piszę umyślnie: szczęścia — bo »szczęście« to jest coś, przed czem się mruży oczy i chowa głowę pod skrzydło, jak przed zalewem słonecznych promieni; na »szczęście« nasze ludzkie serca są za ciasne i pęknać by mogły od uderzenia jednej takiej, słonecznej fali — ale radość, to jest to, co dodaje tchu i mocy — radość jedna, mała, drobna, lśniąca jak gwiazdka na samym dnie ciemnej toni życia, już wystarczy, aby całą tę toń rozświetlić.

I moje życie takby nabrało blasku, gdyby choć

co parę dni poczta przyniosła mi kilka słów od Pana. — Czy za wiele żądam? — minutę czasu, raz na tydzień. — Jedną tysięczną życia Pana, za to, co ja, z mego życia...

Myślałam zasypiając, co by się też stało, gdyby jakaś czarodziejska moc odkradła mi mój wczorajszy list i dała go Panu do przeczytania — taki szczery list — szerszy od wszystkich słów, które wymieniliśmy kiedykolwiek.

Czy stałoby się to, żeby się Pan ucieszył — czy rozgniewał — czy zasmucił? siliłam się nad rozwiązaniem tej zagadki, ale nadaremnie, bo Pan, w niektórych razach, jest taki trudny do odgadnięcia, taki »złożony« z tysięcznych odcieni — a ja nie mam takiej opalizującej duszy i dlatego w odgadywaniu Pana tak się boję pomylić. — Gdybym była odważniejszą... gdybym raz jeden odważyła się była sięgnąć śmiało po to słowo zagadki, które Pan zdawał się mi podsuwać do odczytania tyle, tyle razy — pamięta Pan? w ów wieczór nad stawem, albo na kamiennych schodach ganku, gdy potknąwszy się, uklękłam przed Panem, a Pan rzekł, że radby ze mną zamienić rolę — albo jeszcze, na owej furze snopów, które mieliśmy wieźć razem »na wspólny, twardy kawałek chleba«.

W owych chwilach zdawało mi się, że czytam już, że zgaduję... ale może właśnie odczytywałam na opak, i dobrze, że ani jednym podniesieniem

powiek nie zdołałam Panu wypowiedzieć, czego się domyślałam — bo gdyby to była omyłka, z jakąż litosną pogardą miałby Pan prawo uśmiechnąć się nademną w duszy! To przecież ma być taki wstyd i śmieszność, gdy kobieta zakocha się bez wzajemności, a jeszcze uwierzy, że jest kochaną! Nawet w komedjach, gdy autor nie ma już czem rozśmieszyć widzów, to wymyśla taką krotoczwilę — i wszyscy śmieją się wtedy tak wesoło. — A więc i Pan...

Nie — nie wierzę w to ani trochę... może wszyscy — ale nie Pan! — Pan przecie nie jest »wszyscy« — Pan jest jeden, jedyny na świecie — mój Jedyny!...

Widzi Pan — napisałam! napisałam to wszystkimi literami i bez wstydu — tylko z radością, z uniesieniem skrzydeł takim, jakie podnosi do lotu ptaka, gdy raz pierwszy śmiałą piersią rzuci się pod błękity. — Mój Jedyny! — jak to cudnie brzmi, nawet wtedy, gdy to sobie powtarzam sama jedna, w czterech pustych ścianach mego pokoju — tak daleko od Pana, — oh, może o sto mil. — Po raz pierwszy w życiu, pochyliwszy się nad duszą własną, patrzę w nią, jak w zaczarowaną krynicę, płynącą srebrem, złotem i wonią kwiatów i wszystkim pięknem, jakie jest na świecie!

Patrzę jak urzeczona — będę tak patrzeć wiecznie; będę się cieszyć mojami skarbami. Prze-

cież rok temu byłam stokroć uboższa, chociaż nie miałam tak często łez w oczach. Ale ja tych łez nie oddam — nic i nikt mi ich nie zabierze — to przecież jedyna rzecz, którą mam od Pana. Gdyby nie mój żal, nie byłibyśmy sobie niczem w życiu — zupełnie niczem — tacy obcy, jak dwa przydrożne kamienie, co patrzą na siebie przez szerokość życiowego gościńca... i nie widzą się, nie odczuwają wzajem. Ja tego nie chcę!... nie ma nie być między nami — niech choć będzie mój żal — moja tęsknota taka, żeby starczyła na dwoje serc.

* * *

Czy pamięta Pan ów wieczór, kiedy siedząc na ganku, trochę cofnięci od całego towarzystwa, rozmawialiśmy o moim domu, o rodzicach, rodzeństwie, o dziadziu, którego wszyscy tak kochamy, i o babci, co umarła przed dwoma laty — o całym życiu mojem — życiu cichutkiem, trochę biednym, ale dla mnie tak miłym, na którego jednostajnem, bladawem tle, wakacye w Dobroszynie uwypukliły się, niby haft złotolity.

Pan był tak dziwnie dobry tego wieczoru — pytał Pan o wszystko, o każde drobne wydarzenie z mego dzieciństwa, o każdy sprzęt w pokojach. Zdawało mi się, że Pana oprowadzam za rękę po wszystkich kątach naszego starego, kochanego domu,

że Pan poznaje Rodziców moich i Dziadzia, i patrzy na nich tem swoim najlepszem spojrzeniem, którem Pan czasem obejmuje główki małych dzieci, albo próchniejącą na rozdrożu starą kapliczkę, albo kwiat jakiś, dziwnie piękny a zerwany bez potrzeby. Przez tę jedną godzinę życia czułam się tak bliską Pana, jakbyśmy siedzieli dłoń w dłoni, zespoleni każdym uderzeniem serca — i było mi tak lekko, dobrze, a przedewszystkiem tak cicho i ufnie. Przez tę jedną godzinę — nigdy już potem — nigdy przedtem.

Gdyśmy w tej rozmowie obeszli już niby dookoła całego domu, Pan mię zapytał: — Jeżeli pani, tak nad wszystkie cuda świata, przekłada ten swój rodzinny kąć, i bzy wyrastające na dziedzińcu i starą bramę na pordezwiąłych zawiasach, co skrzypi, gdy mają nadjechać niespodziani goście — co będzie, gdy ktoś zapragnie panią wyrwać z pomiędzy tego wszystkiego i zabrać sobie i uwieźć daleko?... Czy pani zgodzi się odejść od wszystkiego, co pani kocha, za cenę tego kochania, które pani padnie pod stopy?...

Chciałam odpowiedzieć... raz jeden w życiu śmiało i otwarcie, bo tego wieczoru nic się pana nie bałam — ale ledwie wyrzekłam jedno słowo, przez niebo przeleciał ten ogromny meteor, co to, wie Pan, aż w gazetach o nim pisano — i wszyscy naokoło zaczęli wołać: Jaki cudny! i pytać się nas, czyśmy widzieli — i tak się jakoś przerwała nasza

rozmowa. — A potem wróciliśmy do pokoju, i pi-
liśmy wiśniakiem zdrowie meteoru, bo ktoś zapro-
ponował, że to może balon albo aeroplan — potem
Maryetta śpiewała »Dwie zorze« i »Otwórz Janku«
i tyle innych pieśni, a Pan, jak zwykle, akompa-
niował jej i powiedział zaraz po pierwszej pio-
sence: »Pani ma dziś głos, jakby kto grał smycz-
kiem po księżycowej strunie...« Pamiętam, wszystko
pamiętam! — Nawet i to także, że gdyśmy po skoń-
czonym koncercie mówili sobie: dobranoc — Pan,
miał rękę może znużoną graniem, bo tak lekko,
tak bezwładnie ujęły się nasze dłonie — inaczej
całkiem, niż wszystkich minionych dni. — Ale od-
tąd już, takie krótkie, przelotne »Dobranoc« weszło
w zwyczaj między nami — i już tylko raz jedyny,
w chwili pożegnania, wyciągnął pan do mnie rękę
nie tak obco i nie z taką, wyzywającą prawie, nie-
dbałością. — Niech mi Pan powie, czy ja co zawi-
niłam tego wieczoru, gdy tak pragnęłam nie zawi-
nić niczem wobec Pana — czy może... zawinił kto
inny?

Słyszałam dawniej, że gdy się spadającej gwie-
ździe przesze najgorętsze swoje życzenie, to czasem
bywa ono spełnionem. Długi czas wierzyłam w to,
i tak kochałam te dobre, litosne gwiazdy, co same
spadając w przepaść, rzucają w przelocie dar szczę-
ścia wyciągniętym ku nim błagalnie dłońmi. Teraz
już przestałam w to wierzyć — na zawsze.

Są czasem takie złośliwe, niedobre meteory —
umieją przeciąć, jak nożem, ludzkie szczęście.

* * *

Dziwnie pięknie było dzisiaj w naszym ogrodzie: pochmurno, cicho, ciepło — tak powinny być zawsze tam, gdzie przebywają ludzie smutni — bo w takiej szarości i ciszy serce upowija się także w lekką, przezroczą mgłę, i cieplej mu i ciszej, niż w jaskrawych promieniach słońca, które świecą tak ostro, jakby przebijały się przez samo serce. Chodziłam długo, bardzo długo po wązkich, krętych uliczkach — potem usiadłam na tej ławce pod klonem, o której mówiłam Panu — pamięta Pan? — ławka, stół i cała ziemia dokoła mnie usłana była złotymi liśćmi — tyle złota! gdyby to naprawdę był kruszec, to byłabym jak zaczarowana księżniczka z bajki, która może każdą łzę osuszyć, każde szczęście okupić sobie i drugim...

Tak, w bajkach, wielkie skarby mają wielką moc — przyciągają ku sobie pięknych królewiczów, którzy wraz z nieprzebranymi skarbami zdobywają zwykle rękę i serce zaczarowanej królowny — a w życiu?...

Czy, gdybym miała wiele złota, mój zaczarowany królewicz trafiłby do mnie łatwiej, prostszą drogą, aniżeli teraz, gdy siedzę tylko wśród złotych,

klonowych liści i rubinowych jagód kaliny — czy by trafił?...

Nie chcę o to pytać — od tego pytania odwracam zawsze oczy i duszę, gdy mi stanie wpoprzek mych myśli o Panu — czasem, sam cień takiej wątpliwości, już wydaje mi się grzechem przeciw tym kilku jasnym tygodniom, które przeżyliśmy w Dobroszynie — zwłaszcza przeciw tym pierwszym, jaśniejszym — póki nie było między nami... meteoru! Tak, ja wiem: Pan nie odwrócił się odemnie dlatego, że jestem niebogata — coś innego stało się między nami; może moja własna niezręczna nieśmiałość, może zbyt subtelna duma i wrażliwość Pana — może... ktoś trzeci, korzystając właśnie z tych naszych słabych stron, wcisnął się pomiędzy nas i zdmuchnął ten wiotki płomyk, który chwiał się pomiędzy nami, trwożliwy jeszcze, ślizgający się kryjomo po przezroczej tkance paru szczerzych słów i ciepłych spojrzeń... Może — ale to pewne, że gdybym ja nie czuła poza sobą cienia ubóstwa, gdyby mnie w każdej minucie nie płoszył lęk, że wszyscy — ale przede wszystkim Pan — widzi we mnie ubogą pannę, pragnącą zdobyć męża dla losu — to inaczej, śmielej byłabym szła ku Panu, po kładce każdego jaśniejszego uśmiechu i zyczliwszego słowa.

Choć wiem, że dla Pana, tak jak i dla mnie, pieniądze same przez się nie znaczą nic i nie są

nawet drobnem ziarnkiem piasku, w porównaniu do tej bezmiernej toni szczęścia, jaką dać może miłość — a przecież... o ziarnka piasku codzien rozbija się fala morska, i piaszczystej mielizny, przez wieki, żadna toń nie pochłonie ani zakryje.

Czy i inne kobiety, zbliżając się do Pana, odczuwają, że Pan jest świetną partyą i boją się tego? czy tylko ja jedna, byłam tak drobnostkowa i małoduszna, że taki wzgląd nawet, skrepował mnie zimnymi więzami i hamował krok każdy? Andzia — szczęśliwa Andzia! mogła rzucić na szalę swój własny, równie duży majątek, i dlatego pewnie, tak wesoło, tak serdecznie bawiliście się razem, jak bawić się może tylko dwoje ludzi, stojących na tym samym, pewnym gruncie — a Maryetta... ona, co ostatnia przybyła pomiędzy nas, prawie obca wszystkim z początku — ona może nawet nie wiedziała, że Pan jest, nietylko »młodym uczonym, mającym świetną przyszłość«, ale i spadkobiercą krociowego stryja, co pragnie synowicy z hrabiowską koroną i stutysięcznym posagiem.

Może nie wiedziała...

* * *

Wypogodziło się na pełni — będzie jeszcze długie, ciepłe, babie lato. Ludzie cieszą się, bo w polu jeszcze tyle roboty — taki lęk, aby jak

w roku zeszłym, śnieg nie przysypał niewykopanych kartofli, mróz nie ścisnął nieprzeoranych ugorów. Ale będzie pogoda, będzie — w ogrodzie tak jasno od księżyca, jak nie bywa nigdy latem, gdy srebrne promienie wsiąkają w przesłone gęstych liści, i łamią się i gubią, zanim dobiegną do ziemi. Teraz na drzewach już liście rzadkie, a zato barwne, jak motyle skrzydła — nawet przy księżycu mieniają się w dziwne, perłowe kolory, i tak jakos widno, tak pusto i przestronno w całym ogrodzie.

Wybiegłam, zarzuciwszy chustkę na głowę, żeby mi włosy nie zwilgły rosą — bo lubię moje włosy od czasu, gdy mi Pan powiedział, że śliczny jest taki kask złoty, miedzią przetykany — wdzięcznam im za tę miłą chwilę życia. To przecież tak dużo — każdą taką dobrą chwilkę można odbić tysiąc razy we wspomnieniu, i tak wydłuża się ją w złoty promień, grzejący życie. Czy pan doświadczył tego kiedy? — czy Pan ma dar pamięci takiej, co odbudowuje przeżyte chwile z taką świeżością i czarem, że się je odczuwa znowu tem samym tętnem serca, tą samą rozkoszą czy bólem? Ja pamiętam.

Choćbym nie wiem jak chciała, odwrócić głowę i odejść od przeszłości w inną ścieżkę życia — nie umiem! A teraz nawet nie chcę — po co? — gdziebym poszła?

Patrząc w ogrodzie na osrebrzone księżycem i rosą kalinowe kiście, myślałam o tych wiśniach, któreśmy rwali w Dobroszynie tego ranka, gdy Maryetta przyjechała niespodzianie z pospiesznego pociągu, choć oczekiwaliśmy jej dopiero w południe, osobowym. Zdaje mi się, że słyszę jeszcze turkot żydowskiej doróżki, która ją przywiozła z kolei i widzę, jak w chwilę potem, Ciozia prowadzi ją przez sad ku nam, ubraną w popielaty, ledziutki płaszczyk i białą panamę. Andzia, skora do zachwyków, wykrzyknęła zaraz: Jaka śliczna! jaka stylowa! — Kazio, nie lubiący nowych znajomości pomknął poza maliny i nie pokazał się aż przy obiedzie... a Pan, popatrzwszy bardzo uważnie na płynącą trawnikiem, strzelistą postać, rzekł szeptem: Może ładna, może stylowa, ale jakaś nie swojska — gotowa nam zepsuć nasz miły Dobroszyn.

Jak ja się ucieszyłam temi słowami! aż prawie przebaczyłam Maryecie, że przybywając o parę godzin wcześniej pomiędzy nas, gdzie nikt jej z upragnieniem nie wyczekiwał, zmąciła nam ten cudny ranek pod wiśniowemi drzewami.

Właściwie zmąciła go mnie tylko, bo ja jedna, ze zwykłą słabością, dałam się wziąć za kark marniej przemocy konwenansu i bawiłam Maryettę rozmową o pięknem położeniu Dobroszyna i wielkiej obfitości owoców w sadzie — Pan i Andzia biliście się swobodnie i tak wesoło zielonemi jabłkami,

jakby Was nie nie obchodziło, co się poza wami dwojgiem dzieje — i dopiero po długiej godzinie, gdy słońce zaczęło coraz bardziej dopiekać, przystąpił Pan do mnie i rzekł z niewinną miną: — Czy tych palących zagadnień życiowych nie mogłyby Panie roztrząsać równie dobrze na ganku, albo w bawialni? albo w lodni? Widzę wprawdzie, że paniom rozmowa idzie tu cudownie, ale panna Anna i ja, jesteśmy już i tak zbici na kwaśne jabłko, nie trzeba nas w dodatku smarzyć na patelni. — Byłam naprawdę oburzona, że Pan jeszcze śmiał się skarżyć za siebie i Andzię, gdy to ja przecież, poświęciłam się za wszystkich — ale nie mogłam mego oburzenia długo dochować w sercu, bo zaraz potem, gdy wstąpiliśmy do lochu na kwaszone ogórki, tak mi Pan życzliwie doradzał, który ogórek mam wybrać, tak nawet sam wybierał dla mnie — że przebaczyłam.

Maryetta nie jadła z nami ogórków — natomiast zażądała od Pana ognia, aby zapalić papierosa, a gdy się okazało, że Pan nie ma zapalek, dziewczyna, robiąca masło, pobiegła do kuchni i przyniosła na blaszanej pokrywce kilka węgielek. Dmuchałiśmy na nie wszyscy, aby je lepiej rozżarzyć, a najoporniejszy, najmocniej spopielający węgielek, jako próbę wytrzymałości, braliśmy kolejno w palce, kto dłużej utrzyma. Pan syknął i zaraz upuścił, ja — nie wiem sama czemu —

przez jakiś niemądry upór — trzymałam tak długo, aż mnie zapiekło jak żywym ogniem i skóra na palcu poczerniała. Nie przyznałam się jednak, że mnie boli; nie chciałam w wytrzymałości ustąpić pierwszeństwa Maryecie, która bawiła się tym węgielkiem, podrzucała go na dłoni, przykładając do ust i policzków, jakby to nie był węgiel, ale jakiś iskrzący breloczek. — Mnie ogień wcale nie parzy — jestem jak salamandra — powtarzała z tryumfem — mogłabym wejść w sam środek płomienia i nie opalić się.

Ja nie jestem salamandrą, to też mnie piekło porządnie, i nawet przy obiedzie ciągle przyciskałam palec do noża albo zimnego talerza, żeby mniej bolało.

Może Ktoś zauważył to i pożałował, bo gdyśmy przechodzili na czarną kawę do bawialni, posłyszałam nagle poza sobą współczujący szept: Boli?... bardzo?... i nim się opamiętałam, już uczułam na swoim ręku pocałunek długi, kojący, taki łagodny, jakby naprawdę chciał mi wziąć mój ból, albo uspić go pieszczotą.

Za tę chwilę byłabym chętnie, jak Scewola, włożyła rękę w ogień.

Po co ja Panu piszę takie rzeczy? przecież Pan wie, Pan wie wszystko — a gdyby nawet... to i tak, kartki te nie padną Panu nigdy przed oczy. Ale mi dobrze, w tem bezmiernem oddaleniu ja-

kiemi dzielą nas, nietylko dziesiątki mil, ale i życie samo, otwierać moją duszę przed Panem, jak się otwiera kielich kwiatu, gdy go już rosa i słońce z pąka rozwiną do całej pełni rozkwitu. Dobrze mi, bo gdy tak piszę, jestem z Panem — i chwilami zdaje mi się prawie, że Pan to czuje i że mi Pan myśl moją wzajem, jak pocztowego gołębia, odsyła z odpowiedzią.

Ale nie... ja przecież wiem dobrze, że nie.

* * *

Dziękuję za list. — Choć tak mało w nim było słów do mnie osobiście, a tak uprzejme, etykietałne podziękowanie dla Dziadzi — za ów, przesłany z biblioteki Dziadzi, rękopis — przecież nie jest mi dziś tak pusto, jak było wczoraj.

Wiem przynajmniej, w której stronie świata Pan przebywa, i że Pan oddał już do druku pierwsze arkusze swojego dzieła — tego dzieła, o którego istnieniu Pan mnie jednej powiedział w Dobroszynie — i że... dla p. Klementyny załącza Pan najuprzejmiejsze ukłony. Panna Klementyna nawzajem dziękuje Panu najuprzejmiej za pamięć... a panna Klima — ta z Dobroszyna — spłakała się, przekonawszy, że tam dla niej nic w tym upragnionym i wyczekiwany liście nie było.

A przecież to nieprawda — każda wieść o Panu,

choćby przeleciała obok mnie, nie dotykając mnie nawet skrzydłem — zawsze jeszcze jest dla mnie darem, jakim byłby np. dźwięk dzwonu, dolatujący w pustyni, wędrowca, obumierającego śmiertelną ciszą, łękiem i głodem. — Choć dźwięk nie nasyci, nie obroni ani pokrzepi, przecież na krótką chwilę budzi z omdlenia, krzepi duszę i ciało — na krótką chwilę tylko.

Więc niech Pan napisze znów — gdyby u Dziadzi był jeszcze cały stos, równie cennych dla Pana rękopisów, zdobywałabym je kolejno i przesyłała Panu, żeby za każdy uzyskać taki list... z uprzejmymi ukłonami dla panny Klementyny. A niech Pan nie myśli, że takie zdobywanie skarbów Dziadunia poszłoby mi łatwo, bez trudności i ofiary — jak przesłanie uprzejmego ukłonu. — Dziadzio kocha swoją szafkę biblioteczną i każdy zamknięty w niej świstek, przypominający mu lepsze, młodsze czasy — a przytem, co za zgorzenie, gdy powiedziałam, że ten rodzinny nasz pamiętnik — echo srebrnego pobrzęku kos raclawickich, a potem groźnego wycia wichrów nad Berezyną — chcę wyjąć z ukrycia i powierzyć niepewnym, dzisiejszym pocztom — (w mniemaniu Dziadzia wszystko, co dzisiejsze, jest niepewne), aby go przesłać Panu — jakiemuś panu! nieznanemu prócz mnie nikomu w naszej rodzinie — ani nawet w okolicy. — Że Pan, nieznanym u nas, znany jest jednak w Akademii

umiejętności i w ministeryum oświaty, to ani trochę nie przekonywało Dziadzia.

Musiałam długo prosić, przedstawiać — a Pan wie, jak ja tego nie umiem i nie śmiem — to też zdaje mi się, że miałam już łzy w oczach i że dopiero ten argument ostatecznie zwyciężył. — Dostałam upragniony zeszyt i pakowałam go, do dalekiej drogi, drżącemi z radości i wzruszenia rękami. Widziałam w myśli, jak Pan otrzymuje go z poczty i otwiera, uważnie a z zadowoleniem, i czyta — czyta te same, pożółkłe éwiartki, po których moje oczy przebiegały tylokrotnie z nabożeństwem, jak po modlitewnej książce — czyta i myślą zwraca się na te same kwietne pola i śniegowe szlaki, którymi moja myśl błądziła nieraz, przez długie, ciche godziny życia. — Tak, tam przecież myśli nasze mogły się spotkać i pobratać — jak to dobrze!

Ślicznie Pan w swym liście napisał o tym pamiętniku naszego »rodzinnego Patrona« — my go właśnie tak nazywamy zawsze, bo przecież był męczennikiem i imię Jego powtarza się teraz w każdym pokoleniu naszej rodziny — nawet Dziadzio był zadowolony ze słów Pana, i z pietyzmu, z jakim Pan »jak relikwię« opakował rękopis do powrotnej drogi — a i mnie było także dziwnie radośnie, że Pan tak rozumiał i uczcił to, co my wszyscy czcimy i kochamy.

Więc mniejsza już o ten ukłon — Pan jest

lepszy i rozumniejszy od wszystkich dzisiejszych ludzi (sam Dziadzio tak powiedział i ja zresztą tak dawno już to myślę) — więc skądże ta pretensya, aby ten »najlepszy« miał wyróżnić z pomiędzy wszystkich, mnie, co się z najlepszemi nawet równać nie mogę,

W jednym tylko słowie pomylił się Dziadzio — bo gdy przyniesiono list Pana, zawołał mnie i rzekł: — Masz — czytaj głośno, co tu ten twój uczony napisał.

»Mój«?... o, Dziadziu!

* * *

Słońce zachodzi — ostatnie jego promienie padają na ostatnie astry i lewkonie, rozkwitające w ogrodzie — smutno mi, ale spokojnie; mam takie jakieś poczucie, jakby się wszystko dokoła mnie kończyło, zasuwano w jakąś dal błękitną, na granicy której stoję, z opuszczonemi bezwładnie rękami, nie wiedząc sama czy żałować, że nie chwytam w puste dłonie nic z tego, co życie przesuwa wkoło mnie.

Może dlatego osnuły mnie takie myśli, że słyżę jeszcze, ucichający na gościńcu, turkot kół i wiem, że te koła nie zaturkoczą już nigdy w naszej bramie, że gość, przyjaciel, co bywał tu tak często od lat kilku, tym razem odjechał — na zawsze.

Tak — i to się już skończyło — i przecież nie żałuję tego — od powrotu z Dobroszyna, to co dawniej wykwiłało na mojej ścieżce cichym, błękitnym kwiatem, tak cierpliwie czekającym swojej doli, zmieniło się dla mnie w gałązkę ciernia, która raniła mnie wyrzutem, ilekroć wzrok zwróciłam ku niej — to też nie wiem, dlaczego dziś mi jeszcze smutniej i puściej, że się umknął z pod moich stóp ten błady kwiatek, którego przecież zerwać nigdy nie miałam zamiaru — a teraz bałam się tknąć, nawet najprzelotniejszym spojrzeniem.

Pan nie wie, że ta panna Klima, co w Dobroszynie każde lepsze słówko Pana, każdy odblask życzliwszego spojrzenia, garnęła w serce i pamięć jak skarb, miała gdzieś w świecie — o miedzę od swego rodzinnego domu — miłość człowieka zacnego i rozumnego; miłość szczerą, gorącą i cierpliwą, która czekała tu jej powrotu z takim upragnieniem — a doczekała się tylko bólu i goryczy.

Jak to się wszystko dziwnie składa w życiu.

Zdaje mi się, że rodzice moi, choć widzieli od początku, że nie kocham p. Janusza, liczyli jednak, że z czasem przywiążę się do niego i życzyli sobie tego bardzo gorąco — p. Janusz liczył także na owo »z czasem« — ale w ostatnich tygodniach coś się w naszym spokojnym, na pozór, tylko przyjaznym stosunku zmieniło tak, że już nie chciał odkładać dłużej — zapytał się — choć, jak mi powie-

dział przy pożegnaniu — już pytając się czuł, że to nadaremnie. — Jednak się jeszcze zapytał i nawet nie cofnął się odrazu, za pierwszym odmownym słowem, ale bronił swojej miłości tak, jak tylko mężczyźnie bronić jej wolno. — Okropnie dla mnie przykrą była ta rozmowa — i teraz, choć nikt w domu nie zrobił mi najłżejszej wymówki, czuję się jakby zawstydzona, że przezemnie narobiło się tyle zawodu i zmartwienia p. Januszowi, Rodzicom, wszystkim.

A Pan jeden wie, dlaczego tak się stało — i że nie mogło się stać inaczej.

* * *

Więc to naprawdę można się tak spotkać przypadkowo w cudzem, dalekiem mieście? można wśród obcego tłumu zobaczyć nagle, przy białym stolyczku ogrodowej kawiarni, postacie znajome, miłe, bliskie przez to samo, że się z nimi tyle dobrych chwil przeżyło — oh, co to musi być za radość! — Nawet sobie nie wyobrażam, jak się może odbyć takie spotkanie — bo ja, to chyba krzyknęłabym z radości na cały ogród, ażby się wszyscy Niemcy porwali z przestrachem od swoich »Kaffee« i »Bier«. — A może nie... może przeciwnie onie miałabym i nie miałabym mocy, z nadmiaru szczęścia, nawet ręki wyciągnąć do Pana? — Nie wiem —

od chwili, gdy mi oddano słiczną kartkę, z kopią Rafaelowskiego obrazu, siedzę bez ruchu przy swem biurku, i po raz dziesiąty i setny zaciskam powieki, próbując sobie wyobrazić, że to ja, zamiast Maryetty, siedziałam wśród szmaragdowych jeszcze trawników Grossgartenu, że to poza mojem krzesłem ozwał się nagle głos dźwięczny, polski, głos z Dobroszyna, żartobliwem powitaniem: *Küss die Hand, Freulein!* — Ach, gdybym to naprawdę była ja!

Przecież i do mnie przystąpiłby Pan z uśmiechem i dobrem słowem — nieprawda? — Na obczyźnie to tak się mile wita każdego ze swoich — a myśmy przecie w Dobroszynie byli »sami swoi«, Pan po tyle razy to powtarzał — i ta dzisiejsza kartka Pana, taka jakaś dobra, jak gdyby uśmiechnięta każdym słowem, przypomniła mi najlepsze dni naszej wakacyjnej przyjaźni.

Czy naprawdę żał Panu, że nie ma wśród was p. Klimy, co się tak niekulturalnie wyźwierza na Niemców? — p. Klimie żał także — okropnie żał — że ją nie równie miłego nie może spotkać w życiu, bo ona nie jeździ po europejskich stolicach, a do jej dalekiego, poleskiego zakątka nie zabłądzi nikt z Europy — prawda...

»Gdybym to ja miała skrzydłeczka jak gąska...« chodziłabym teraz z Panem i Maryettą po tych niezliczonych salach drezdeńskiej galerii, partryłabym na obrazy i słuchałabym, co Pan rozpo-

wiada o dawnych mistrzach, o sztuce, o historii — strach, jakbym słuchała! — polykałabym każde słowo — bo Pan tak ślicznie mówi o takich rzeczach; jakby Pan czytał z najmędrzej książki i ze swojej własnej duszy — a ja przecież o tem wszystkim nie wiem nic a nic — prawdziwa gaska! tylko że mi jeszcze i »skrzydłeczek» brak.

Maryetta jest lepsza, niż myślałam, kiedy się zgodziła na opuszczenie kościelnego koncertu, żeby napisać do mnie tę wspólną kartkę. Nawet nie wiem, czy ja na jej miejscu potrafiłabym tak postąpić — zwłaszcza, że my się przecież nie lubimy; słusznie czy niesłusznie, ale to już tak jest i tak pozostanie. — Niemniej, podziękuję jej bardzo serdecznie za kartkę, która rozczulila mnie naprawdę. Może nawet serdeczniej napiszę do niej — niż do Pana. Ale Pan przecie wie, że taka panińska kartka, to może być i nic i bardzo dużo, choć słowa zawsze niby te same: mdłe i bezbarwne — zależy tylko od tego, jak się ją pisze i jak się ją czyta.

Po odpowiedzi poznam, czy Pan dobrze przeczytał moją kartkę — ja napiszę, jak potrafię!

* * *

Miałam dziś list od Andzi — już jest w Krakowie, zapisała się na kursa Baranieckiego. I ją pewno zobaczy Pan po powrocie z urlopu — tylko

odemnie Kraków tak daleko, daleko! Pyta się Andzia, czy wiem co o Panu, czy otrzymuję od Pana obiecane kartki, bo ona — nie.

A więc naprawdę, Pan dla mnie jest lepszy, niż dla innych? dlaczego? za co? Byłam pewna, że Pan raczej będzie pisywał do Andzi niż do mnie, bo przecież cały ostatni tydzień tak jakoś dziwnie było wszystko między nami — tak, jakbyśmy się nie lubili ani trochę, albo gniewali bardzo.

Ja rozmawiałam ciągle z Kaziem albo z wujem Romanem i śmiałam się tak głośno, choć nieraz doprawdy, miałam ochotę płakać — a Pan, rozmawiając z Maryettą, rzucał niby od niechcienia takie słowa, które wyglądały na pocisk w moją stronę zwrócony — dopiero w sam dzień odjazdu rozporządziło się między nami — ale to już tak na krótko.

A przecież coś z tej pogody snuje się jeszcze między Kalinówką a Dreznem, skoro to ja właśnie otrzymuję czasem od Pana parę przyjaznych słów... Nie napiszę o tem nic Andzi — wolę wcale nie odpowiedzieć na jej list; miałabym wrażenie, że tracę coś z własności tych drogich kartek, gdybym się chwaliła ich posiadaniem — a ja utracić nic nie chcę — i tak mam tak mało!

Wczoraj był dzień Zaduszny — chodziliśmy na cmentarz z wiankami astrów i nieśmiertelników; było tak ciepło i cicho, że nawet płomyki lampek nie drgały na grobach.

Oprócz nas było jeszcze z sąsiedztwa parę osób, które na naszym cmentarzu mają swoje groby. Był także p. Janusz, choć on nie ma tu nikogo, wyglądało to tak, jakby się chciał po dawnemu pomodlić na naszym grobie — bo przecież Babcię tak kochał i nawet nazywał Ją tak samo, jak my: Babcią. Ale do nas tym razem nie przystępował, tylko z Tatkiem zamienił parę słów, a nam się uklonił zdaleka, przy wyjściu. Moja młodsza siostrzyczka trąciła mnie nieznacznie, wskazując w jego stronę, i spytała: Nie żal ci?

Nie — nie żal — tego mi wcale nie żal. Radabym tylko, żeby i p. Januszowi żal nie było.

Czy kartki do Drezna mają może dłuższą drogę, niż z Drezna tutaj, że dotąd nie mam wiadomości, czy Pan moją odebrał? A może Pan wyjechał już? jak to przykro nie wiedzieć...

* * *

Pierwszy śnieg dzisiaj — i tak, dziwnie spóźniony w tym roku; jesień była taka, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają: pogodna, ciepła i długa... oh, przede wszystkim długa — mnie się czasem zdaje, że od tego wrześniowego poranku, gdy powóz zjechał po mnie przed ganek w Dobroszynie, już parę lat upłynęło.

Dobry był ten ranek — taki miły, chociaż

smutny — a smutny, choć rozbrzmiewał wybuchami śmiechu. — Niby to wtenczas było mi tak okropnie żal, że się wszystko kończy — ale czułam się jeszcze w pół odurzona gwarem pożegnań i potokami słońca, które tak dziwnie ozlacało stół jadalny (pierwszy raz owego ranka zeszedliśmy się tak wcześniej do jadalni na pożegnalne śniadanie) i niespodzianką ciepłego uśmiechu, z jakim Pan znów zwrócił się do mnie po tylu dniach chmurnego milczenia — to wszystko wprost odejmowało mi wrażenie rzeczywistości. Dopiero, gdy powóz ruszył z przed ganku i Państwo wszyscy cofnęliście się z powrotem do domu, poczułam tak nagle, jakby mi to kto w sercu powiedział: skończyło się — skończyło! — i odrazu ten jasny ranek, wraz z całą słoneczną smugą dni minionych odsunął mi się w przeszłość tak daleką, że aż nieprawdopodobną.

Czy Pan lubi patrzeć przez okno, jak pierwszy śnieg spada na ziemię? Ja dawniej lubiłam, pasyami — i dziś jeszcze lubię — tylko że mi smutno — nic się jakoś nie cieszę na tę zimę i na święta; to też i pierwszy śnieg mnie nie cieszy.

A przecież tak słicznie opada, taki prawdziwy »pierwszy śnieg«: bez deszczu, wichru, nawet bez wielkiego zimna. Ścieżki ogrodu trochę wilgotne, ale stwardniałe już paru przymrozkami; dzikie wino nad gankiem jeszcze się czerwieni resztką liści, i na okwitlej grzędzie astrów migocze znowu parę bla-

dych, przeczulonych kwiatów — wczoraj w południowych godzinach rozwinęły się — biedaczki. Śnieg opada powoli, dużymi, jasnymi płatami; kładzie się po ścieżkach, po zielonych jeszcze trawnikach, bardzo lekkim, przezroczem nakryciem — robi to takie wrażenie, jakby ogród był znużony i przymykał powieki do snu... Jak daleko odbiegło lato — jak daleko! już nigdy nie wróci.

* * *

Wołają mnie — jest list od Pana... oh, dziękuję!...

* * *

Biegłam po list Pana — ile mi tchu starczyło, biegłam po ten list... z wiadomością, że Pan i Maryetta jesteście już narzeczonymi. Więc to naprawdę? — już trzy dni wiem o tem, a jeszcze w każdej minucie zdaje mi się, że dowiaduję się dopiero, i nie mogę uwierzyć, tak napewno, z całym przeświadczeniem — jak się wierzy w rzeczy możliwe i już dokonane.

A przecież to jest nawet całkiem naturalne — nikt a nikt u nas w domu nie zdziwił się, gdy powiedziała, tak odrazu, otworzywszy list, że Pan się zaręczył z jedną z tych panienek, co razem ze

mną spędzały lato w Dobroszynie. Dziadzio zapytał tylko, czym się domyślała, że się Pan o nią stara — a Dziunię zaciekało, czy Maryetta ładna i czy się bardzo w Panu kocha.

Ładna jest — o tak! ładniejsza od wszystkich panien, jakie znam — i tak umie nosić zawsze tylko te suknie, słowa, myśli, w których jej do twarzy. Póki jej nie znałam, nie miałam pojęcia, że się tak można ubrać we wszystko!

Powiedziałam Dziadziowi, że domyślałam się... trochę — cóż mogłam powiedzieć innego? przecież nie to, co mi się dzieje w duszy. — A może... może ja naprawdę zgadywałam coś, tylko nie miałam odwagi spojrzeć temu prosto w oczy, tak, jak teraz już muszę patrzeć — może dlatego, tak mi było trudno, nawet szczerze podać Maryecie rękę przy pożegnaniu.

Oh, żeby się Pan z kimkolwiekbaż na świecie żenił, tylko nie z nią — o ile mnie byłoby lżej!

Zresztą... czy ja wiem? może mi się tak tylko zdaje — możeby to zawsze było tak samo.

Gdybym chociaż wiedziała, czy Pan już w Dobroszynie miał tę myśl? — Prawda, że nie?... prawda?...

Więc teraz to już nieodwołalnie skończyło się wszystko w życiu — już nawet tych listów pisać nie mogę — bo przecież, chociaż nigdy nie roiłam sobie, żeby Pan mógł je kiedyś przeczytać — i żeby

wogóle między nami... ale teraz znowu jeszcze jest inaczej — całkiem inaczej.

Już teraz nawet to, co było, nie należy do mnie — bo gdy myślę o tem, że się Pan zaręczył i że się Pan za parę miesięcy ożeni z Maryetą, to nie śmiem sobie nic przywłaszczyć z życia Pana — mam takie uczucie, jakbym wyciągała rękę po coś, co mi Pan chce odebrać.

Jeżeli potrafię, nie będę myślała o Panu — już nigdy — a gdybym nie potrafiła...

PRACA BABUNI

THE END OF THE WORLD

Wiosna była wczesna, ale już gorąca; śniegi, jeszcze do niedawna pokrywające ziemię, wsiąkały teraz w jej łono, niosąc pożądaną karm wszystkim ziarnkom zbóż, nasionom traw i kwiatów, które budziły się do życia i wypuszczały w górę pierwsze, nieśmiałe kielki — a promienie słońca biegły z błękitów nieba na ich spotkanie i uderzając o mokrą ziemię, wołały: prędej, prędej!

Prędej! to słowo zdawało się drgać w tchnieniu wiatru, w szmerze wód rozpętanych z lodu i niepochwytym prawie dla ucha szeleście drobnych, wiotkich listeczków, w które drzewa stroiły się, jak w obłoki zielonej gazy. Z godziny na godzinę, niemal w oczach, obłoki te stawały się coraz gęstsze, bardziej szmaragowe — ziemia pracowała gorączkowo, a promienie słońca przenikały ją coraz silniej, przyspieszając tętna jej życia, wołaniem: prędej!

Młodzi narzeczeni, stojąc przy otwartem oknie, dłoń w dłoni, szeptali z cicha o niedalekim już dniu ślubu, o przyszłości wspólnej, pogodnej i jasnej, jak ten błękit kwietniowego nieba — a ile razy oczy ich spotkały się i zatoneły w sobie na chwilę, tyle razy w tem spojrzeniu zdał się im z głębi duszy zrywać okrzyk: prędszej!

— Tereniu, krawcowa przysłała spytać się, kiedy przyjdiesz do miary?

— Ach, mój Boże! nieznośna krawcowa! czyż to nie szkoda takiego dnia na mierzenie sukien — ale niech mateczka powie, że przyjdziemy za pół godziny.

— Jakto? naprawdę, musi pani iść?... musi?

— Muszę! — odpowiada p. Jańcia z głębokim przekonaniem — muszę, bo mam dziś zmierzyć trzy suknie, a potem przecie pójdziemy obstawiać szpilki do bukietów weselnych, a wieczór teatr...

— A przed teatrem jeszcze mieliśmy wstąpić do Adamskiego — wybrać portyery do jadalni.

— A prawda! widzi pan, co tu roboty! Boże, Boże! ja nawet nie wiem, jak my sobie radę damy — nie można tracić czasu!

I rzuciwszy narzeczonemu śliczny uśmiech na wynagrodzenie tego, że rozmowę z nim nazwała stratą czasu, Jańcia pobiegła prędko po kapelusz i okrycie.

— A pan zaczeka tu na nas?... — zapytała pani Worniczowa, zwracając się do przyszłego zięcia.

— O nie, biegnę do Bromilskiego, zobaczyć, czy uwiadomienia są już gotowe, a potem muszę w księgarni przepatrzyć skorowidz i wynotować wszystkie potrzebne nam poczty, bo doprawdy trudno sobie dać radę z tymi adresami.

— Niezmiernie mi przykro, że mój mąż ani syn nie mogą panu dopomagać w tych żmudnych zatrudnieniach, ale doprawdy oni tacy zajęci! Stefan z tym swoim egzaminem aż zmizerniał, a mąż taki jest pedant, że nawet dla przygotowań do ślubu córki, nie chce opuścić ani jednej wizyty w szpitalu.

— Ależ proszę pani, cóż to dziwnego, gdy od takiej wizyty zawisło nieraz życie ludzkie! Zresztą, czyż mogłoby być dla mnie coś miłszego, nad zajmowanie się temi przygotowaniami?

W tej chwili wbiegła Jańcia, już w kapeluszu i zarzutce, wołając:

— Moja mamó, dziewczynki tak proszą, żeby mogły pójść z nami, one dziś jeszcze wcale nie wychodziły.

— Prawda, biedactwa — nie mam teraz czasu nawet wyprowadzić ich na spacer. A skończyły już lekcye?

— Skończyły, ale za godzinę przyjdzie nauczycielka muzyki.

— No, za godzinę może już wrócimy — niechże się zbierają, ale jak najprędzej!

W pół minuty wszystkie trzy, najstarsza narzeczona i dwie młodsze, podlotki, z długimi na półtora łokcia warkoczami na plecach, stały się w salonie już całkiem gotowe do wyjścia.

— Chodźmy! Chodźmy, bo się spóźnimy! — wołała z ożywieniem Jańcia.

— Czekał, jeszcześmy się nie pożegnały z babunią.

— A prawda! — i młoda gromadka pobiegła pędem ku drzwiom otwartym do sąsiedniego pokoju.

— Do widzenia babciu! Do widzenia! — wołały wnuczki na wyścigi.

— Do widzenia! — odpowiedział im głos cichy, ale jasny jeszcze, pełen miękkości i dźwięku, bo wypełniony w każdym tonie falą bezbrzeżnej słodyczy i tkliwości.

— Gdyby mateczka czego potrzebowała — odezwała się pani Worniczowa — proszę zadzwonić. Klara szyje w jadalni. A może jej kazać przyjść tutaj?

— Nie, nie, niech szyje — mnie nic nie potrzeba.

— Więc: do zobaczenia.

Liczne, spieszne kroki oddaliły się od drzwi i ucichły — babunia, jak długo mogła, łowiła je uchem; tak się jej naraz smutno zrobiło w tem du-

żem, pustem mieszkaniu. Starość więcej jeszcze od młodości potrzebuje ruchu i życia wkoło siebie, bo ona już tylko cudzemi siłami krzepić się, cudzą wolą pragnąć i dążyć, cudzem szczęściem radować się umie. A babunia od tak niedawna dopiero czuła się starą, że nie mogła jeszcze oswoić się z tym ciężarem, który ją przygniótł ku ziemi prawie nagle, nieprzygotowaną jeszcze do dźwignięcia go, mimo że już od lat wielu miała siwe włosy na skroni.

Pół roku temu stała się dla niej rzecz straszna — pociemniał jej świat, wszystkie otaczające ją przedmioty owinęły się w jakąś mgłę szarą, dozwalającą ledwie niedokładnie dostrzegać ich kształty, i już odtąd mgła ta z każdym dniem stawała się coraz gęstsza i bardziej nieprzenikniona. Z początku zdawało się i jej i całej rodzinie, że to wina tych chmurnych dni listopadowych, kradnących biednym ludziom wszystkie promienie słońca — ale gdy nadzedł styczeń, a odblask iskrzących śniegów nie rozwił tej szarości, otaczającej ją dokoła, zrozumiała, że to jej oczy winny same wszystkiemu, że to one, wcześniej niż cały organizm, znużyły się życiem i zasuwwały się powoli ciemnością grobu.

Biedne oczy babuni! Takie błękitne zawsze, takie dobre — dziś zdające się bardziej jeszcze wypogadzać i wyjaśniać, odkąd życie przestało już rzucić w nie, na przemiany, swoje ognie i cienie —

biedne oczy, które tak bardzo pragnęły patrzeć jeszcze na życie swoich kochanych, a z każdym dniem coraz mniej widziały dokoła siebie.

Państwo Worniczowie wzywali porady najsłynniejszych lekarzy, ale konsultacye nie były nigdy długie: Zanik nerwu — rzecz tak częsta w tym wieku — nie było się czemu dziwić, ani próbować walki, której przegrana była nieuniknioną — największy mędrzec nie potrafił ani na sekundę rozetlić iskierki życia, gdy ono już zgaśnie.

I tak, ta wiosna, która zstępowała na ziemię cała mieniąca się od blasków słońca, błękitów nieba, barw kwiatów, ku babuni szła tylko falą ciemności coraz głębszej, odgraniczającej ją niby murem od reszty żyjącego świata. Ciemno było wkoło babuni, a i głucho także, bo dopiero tracąc wzrok, przekonała się biedna, jak bardzo przytępioty miała i słuch. Póki widziała dobrze, nie czuła tego; śledziła grę rysów, tych tak dobrze sobie znanych twarzy i słuchała oczyma; teraz dzień każdy odosabniał ją coraz bardziej — dużo czasu spędzała samotnie w swoim pokoju, nie mogąc już tak swobodnie, jak dawniej, snuć się po całym domu, w ślad za gromadką młodych, których ożywienie młodości nieustannie korciło do przenoszenia się z miejsca na miejsce — a i wśród nich będąc, nieraz słyszała, że się śmieją, a nie rozumiała z czego, w tonach głosu podchwytywała radość, zdziwienie,

czasem podrażnienie chwilowe, a główny wątek rozmowy rwał się jej tak, że go z nielicznych, lepiej dosłyszanych słów, powiązać nie mogła.

Nie chciała pytać, usiłowała raczej, przez poczucie pewnej drażliwości, ukrywać po trochu to swoje drugie kalectwo — zresztą, przedewszystkiem nękała ją teraz trwoga, aby osobą swoją nie zaciężyć nikomu, i nawet smutek swój usuwała z przed oczu dzieci i wnuków — i na ustach miała zawsze słowa spokojnej rezygnacji: Co tam już dla mnie! Czy tych kilka lat życia tak, czy tak przeżyję — mnie już nie bardzo nie zaboli, nie osmuci.

I po części wierzono jej — młodym zdaje się zawsze, że starzy są jakimiś istotami odmiennego gatunku, że serce, które wie, że już wkrótce bić przestanie, musi bić spokojnie i cicho, choćby najcięższe smutki i troski tłoczyły się całą falą goryczy w te ostatnie chwile życia. O tych burzach rozpaczy, ukrytych pod śnieżną osłoną siwizny, wiedzą tylko ci, co sami mają już siwe włosy, a nie mają jeszcze pogodnej ciszy przystani. Wierzono zatem babuni na słowo i z dniem każdym bardziej oswajano się z tem, że dla niej już słońce przygasza zwolna ostatnie swoje blaski — chwilami usiłowano jej to wynagradzać wybuchami gorętszej tkliwości, chwilami zapominano nawet całkiem, że się jej coś więcej nad przeciętną miarę kochania należy — życie ze swymi obowiązkami, ze smutkami i radością

wołało na młodych: pędzej, pędzej! i nie pozostawiało dużo chwil wolnych na oglądanie się za przeszłością, którą uosabiała wysoka, choć już przygięta ku ziemi, postać babuni. Oni szli naprzód, ona przyzostawała w tyle, opłacając sama jedna, sercem, koszta tego rozstania.

Spieszne, nerwowe kroki zmały nagle ciszę, przeszły przez salon, zatrzymały się u drzwi pokoju babuni, a ona wtedy dopiero, ostrzeżona raczej instynktem niż słuchem, podniosła głowę, pytając: Kto tam?

— To ja babciu — odpowiedział głos młody, dźwięczny bardzo, ale niby znużony, dobiegający do ust jak jakieś bezwiedne echo zwątpienia, smutku — czy może tylko braku woli i chęci.

Wysmukła postać młodego człowieka osunęła się na niziutki fotelik prawie u stóp staruszki, i babcia poczuła, jak wnuk, ujawszy jej rękę, położył ją sobie na gorącym czole:

— Co ci to, Stefanie?

— Nic mi — jestem tylko zmęczony.

— Egzaminami...

— O... zdaje mi się, że w ogólności życiem.

— Tak wcześnie? — spytała łagodnie babcia, uśmiechając się, jak do dziecka, do tego dorosłego mężczyzny, który dla niej był zawsze tylko jej najpierwszym, najukochańszym wnuczkiem. — Cóżby to o takim znużeniu mogli powie-

dzieć ci, którzy już takie trzy życia, jak twoje, mają poza sobą.

— Och, babciu, to się nie mierzy na lata — ja wiem, że to śmieszne, gdy ja mówię takie rzeczy ale dzisiejsze pokolenie żyje za prędko, za dużo pracuje, za dużo spieszy się przedewszystkiem. Dziś czteroletnich malców uczą już spieszyć się — a pośpiech to praca straszna, cóż dziwnego, że dwudziestoczteroletni są już znużeni, że brak im siły i chęci na czyn! Ja ośmnaście lat uczyłem się, żeby dojść do zdania tego egzaminu, który mnie czeka jutro — a dziś już, nie zdawszy go jeszcze, pytam się sam siebie: Po co? na co? czy warto?...

— Warto, jeżeli pracując w zawodzie, który ten egzamin przed tobą otworzy, przysporzysz trochę szczęścia sobie i drugim.

— Czy przysporzę?... To wielkie pytanie — my dziś nie umiemy być szczęśliwi, zresztą nie mamy na to czasu — po egzaminach przyjdzie walka o byt, troska o karierę — ta nieustanna gonitwa, w którą trzeba wkładać wszystkie siły moralne i fizyczne, trzeba po drodze życia pędzić co tchu, żeby choć o krok naprzód się posunąć.

— To też o życiu naszym nie stanowi to, gdzieśmy zaszli, ale to, cośmy idąc, zrobili — celem jego właśnie te ślady pracy, które pozostawiamy poza sobą.

— Ach babuniu, kiedyż tych śladów tak mało.

Życie odrabia, niszczy, burzy wciąż to, co my budujemy — Mój ojciec, z setkami lekarzy, każde tchnienie swoje prawie, zaprzedał walce z chorobą, cierpieniem, śmiercią — i cóż? Ludzie cierpią i mrą naokoło, jak gdyby ani jednego lekarza nie było. — Prawnicy wszystkie siły mózgu wyężdżają, aby z tysiąca paragrafów zbudować mur ochronny przeciw zbrodni, wyzyskom, niesprawiedliwości — a one to właśnie, one tylko, święcą swój tryumf na każdym kroku. Mędrzec życie poświęca na odkrycie jednej gwiazdy, gdy nieprzeliczone ich miliardy krążą gdzieś w przestrzeniach niedoścignionych dla oka — cóż dziwnego, że w chwili zastanowienia, jasnowidzenia może, pytamy sami siebie; na co pracować, na co męczyć się? czyżby nie na jedno wyszło, istnieć tylko istnieniem kwiatu, który wprowadzie nie wie, po co żyje, ale ma czas przynajmniej odechnąć pełną piersią i powiedzieć: żyję! Szczęśliwe kwiaty, które się nie urodziły pod klątwą pracy, przygnębiającą całą ludzkość.

— To nie klątwa, Stefanie — to błogosławieństwo — więcej jeszcze: to prawo Boże, z pod którego nikt się nie może uchylić. I kwiaty pracują, żeby żyć — ale pracują nieświadomie — nasza świadomość, to nie klątwa, to korona naszego człowieczeństwa.— A jednak, prawda, że czasem ciężar tej pracy, który do ostatniego tchnienia dźwigać na sobie musimy, wydaje nam się prawie nad nasze siły...

Jasne, błękitne oczy babuni pokryła niby mgła i po twarzy jej pomarszczonej, zwykle dziwnie pogodnej, przesunął się taki wyraz znużenia i smutku, że wnuk z bezwiednym porywem tkliwości przytulił się do niej i zapominając o swoich własnych skargach, szepnął serdecznie: — Babuniu, ty przecie już teraz możesz odpoczywać — już się dość napracowała dla nas wszystkich przez całe życie.

— Mylisz się, dziecko drogie i mnie Pan Bóg wyznaczył jeszcze na koniec życia pracę ciężką, której usiłuję podołać, jak mogę, ale przecie nie zawsze mogę i chwilami czuję się taka zmęczona!..

— Czem zmęczona?... Nad czymże ty tak pracujesz, babuniu? — szepnął Stefan, patrząc prawie z łagodnym uśmiechem pobłażliwości, na tę postać tak już bezsilną, odpoczywającą prawie po dniach całych w poręczach wygodnego fotelu, a jednak opowiadającą jeszcze o swojej pracy.

— Pracuję, Stefanie — pracuję po dniach całych i nieraz po nocach także, wszystkimi siłami, jakie mi Bóg pozostawił, pracuję nad tem, ażebym mogła szczerze, nieprzerwanie, z głębi serca mówić Mu: bądź wola Twoja!

Za oknem zaświergotała para jaskółek, powracających może, w ten cudny wieczór wiosenny, do rodzinnego gniazdka z zamorskiej podróży — babunia mocą przyzwyczajenia zwróciła żywo głowę ku oknu — jakby spodziewała się, że jeszcze dojrzy

swoje ukochane płaszyny, że pogoni oczyma śladem ich czarnych skrzydełek w błękitny nieba i pochwyci sobie stamtąd jakiś promień złoty, na rozświetlenie tych szarych chmur, cisnących się do niej nawałą ze wszech stron.

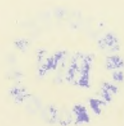
Stefan na ostatnie jej słowa nic nie odpowiedział, zsunął się tylko z niskiego fotelu na kolana, prawie do stóp staruszki, i okrywał pocałunkami jej ręce, obejmując spojrzeniem, pełnym bezbrzeżnej tkliwości tę twarz, wypogodzoną już znowu i cichą, z dużemi, szeroko otwartemi oczyma, w których promień zachodu odbijał się, jak w martwej tafli jeziora.

Z wieży pobliskiego kościoła płynął, w szkarłaty zachodu, głos dzwonu, wołającego na Aniol Pański, i na zdyszaną dziennym trudem ziemię, siał srebrną rosę słów, błagających o wiekuistą światłość i odpocznienie.

SPIS RZECZY.

	Str.
Dzwony	1
Jeż	41
W promieniu słońca	51
Spowiedź	73
Gałązka głogu	93
W starej wieży (Bajka)	97
Gwiazdka bezdomnych	107
Przed obrazem	145
Listy, które Go nigdy dojść nie miały	183
Praca babuni	217





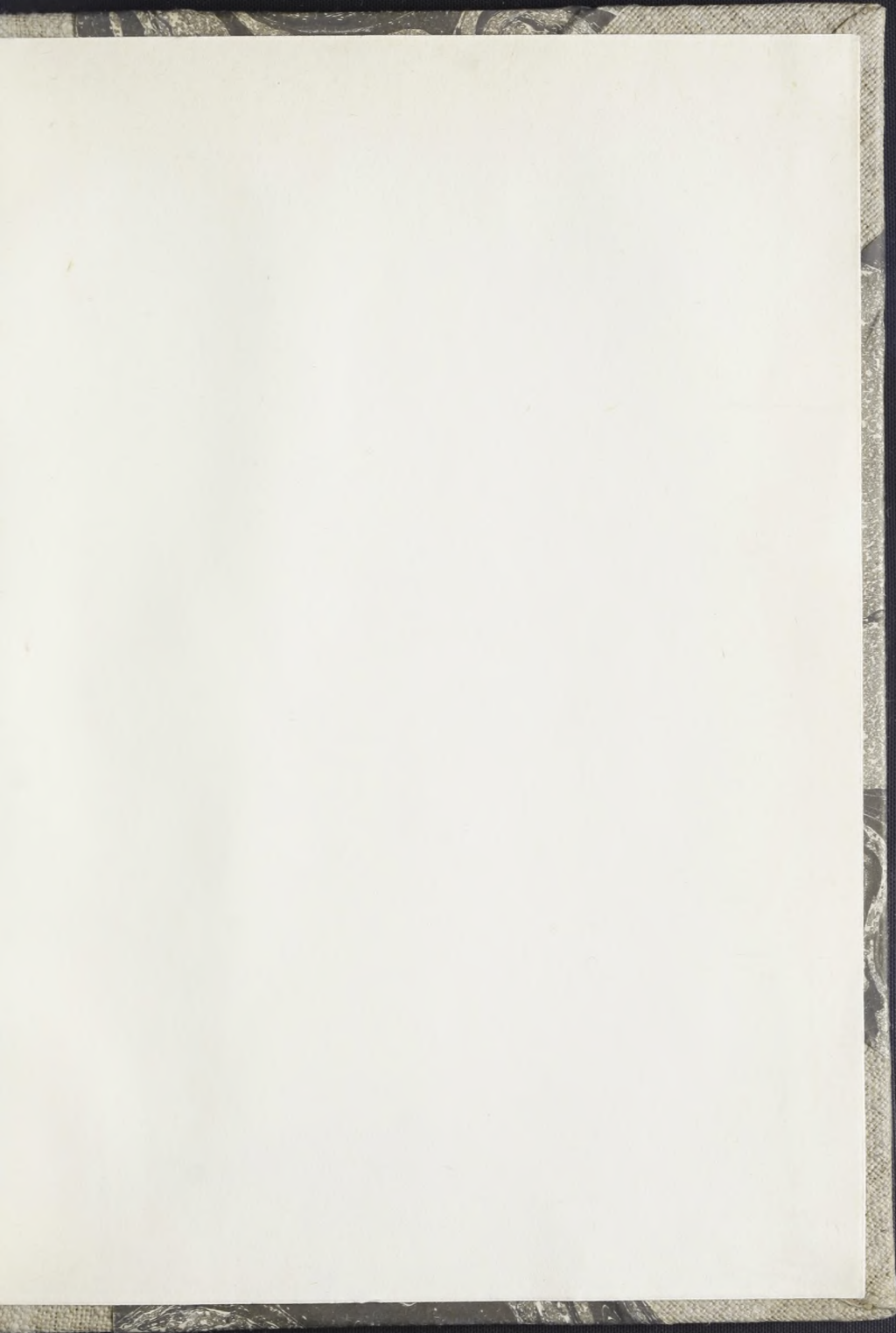
Antykw. Naukowy
86.05.16 Poczna
- 400,-

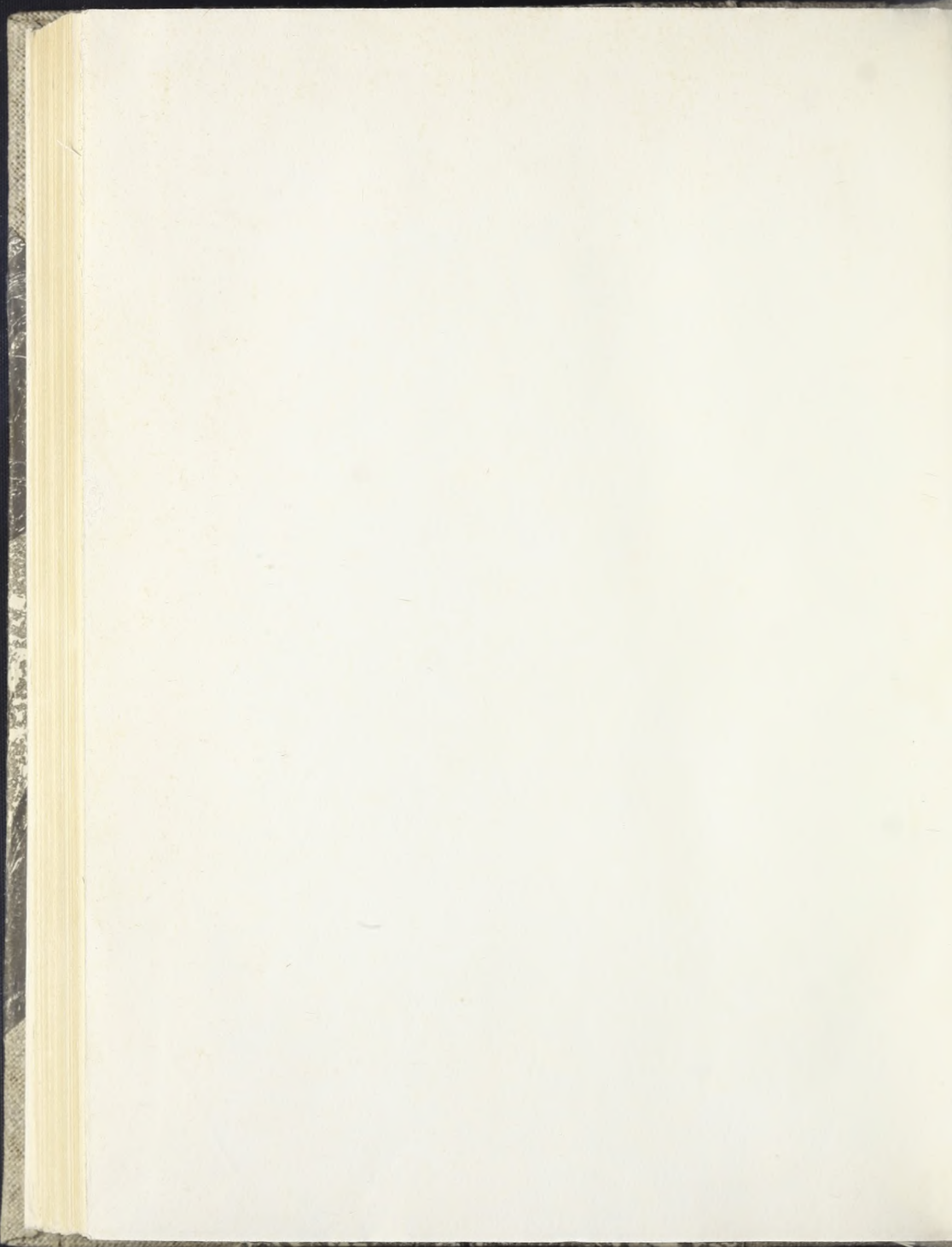
SSA/3/86

400-



BH





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020819352



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

1465898

